MIESIĘCZNIK

Fantastyka

10 (13) październik 1983 cena 50 zł

Korga

VI WORLD SF
ALDISS,
LUNDWALL,
WOLLHEIM
JAKO ROZMÓWCY I AUTORZY

GTW

IMPREZY

Ogłoszono już terminy dwóch najważniejszych imprez 1984 roku. Są to:
20-23.04.1984 - Seacon 6/EUROCON9/7th WORLD SF GENERAL MEETING (wielka połączona impreza organizowana przez Brytyjskie Stowarzyszenie SF, Europejskie Stowarzyszenie SF i WORLD SF w Brighton w Anglii)
20-24.04.1984 - EUREKACON (Narodowa Konwencja Australijska w Melbourne)

* * *

W ostatnim tygodniu października w Dzierżoniowie odbędą się Dni Fantastyki organizowane przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Dzierżoniowie, redakcję „Fantastyki" i PSMF. Jest to pierwsze, organizowane na taką skalę spotkanie polskich fantastów od września 1980 roku, kiedy to w Krakowie odbył się IV Ogólnopolski Konwent i Miłośników SF „Orbity Przyjaźni".

NAGRODY

ZSRR

Podczas uroczystego jubileuszu 25-lecia czasopisma „Uralskij Sledopyt" obchodzonego w końcu kwietnia w Swierdłowsku wręczono doroczną nagrodę „Aelita" w dziedzinie twórczości fantastyczno-naukowej przyznawaną przez Związek Pisarzy RFSRR i redakcję pisma. Tegorocznym laureatem „Aelity" został swierdtowski pisarz Władysław Krapiwln za powieść „Dieti Siniego Flamengo".
Laureatami „Aelity" w minionych latach byli między innymi: Arkadij i Borys Strugaccy. Aleksander Kazancew i Zinowij Jurijew.

USA

W Stanach Zjednoczonych utworzono nową nagrodę w dziedzinie SF. Jest to PHILIP K.DICK MEMORIAŁ AWARD. Przyznawana ona będzie corocznie przez jury składające się z wybitnych pisarzy książkom wydanym w poprzednim roku w masowych wydaniach kieszonkowych. Nominacje do nagrody 1983 roku otrzymały:
„Waiting For The Barbarians"- J.M. Geotzee
„Aurelia" - R.A.Lafferty
„The Prometheus Man" - R. Faraday Nelson
„Sortware" - Rudy Rucker
„Roderick" - John Sladek
„The Penumpral Anthology of Science Fiction Poetry" - Steve Rasnick Tern.
Nagrodę przyznawać będzie jury w składzie: Ursula K. LeGuin, Thomas M. Disch i Norman Spinard.
Postanowiono również od przyszłego roku reaktywować utworzoną przez Jamesa Blisha WILLIAM AETHLING AWARD

RFN

Podczas COLONIACON, który odbył się w dniach 18-19.06.1983 w Kolonii przyznano nagrody niemieckich fanów w dziedzinie twórczości SF - FABUŁA PRESS AWARD. Otrzymali je:
- za najlepsze opowiadanie: Ralph Carnell za utwór „Die Jagt"
- za najlepszą grafikę: Christian Holi
- za najlepszą książkę prezentującą malarstwo SF: Kareł Thole, (autor okładek min. „Fantastyki" 2/82 i 1/83
- dla najlepszego magazynu: „Fantasia".

WYDAWNICTWA

POLSKA

Po „Alfie" działania mające doprowadzić do uruchomienia serii SF podjęło „Wydawnictwo Pomorskie" w Bydgoszczy.
Krajowa Agencja Wydawnicza w Rzeszowie przygotowuje nie lada rarytas dla fanów SF oraz dla tych, którzy poważniej interesują się gatunkiem. Począwszy od 1984 roku zapowiedziała wydawanie „Złotej Serii Klasyki Polskiej SF". W serii tej ukazywać się będą najciekawsze utwory polskich fantastów, które powstały do 1945 roku.

* * *

Regularne wydawanie literatury SF podejmuje ponownie zasłużone w tej dziedzinie wydawnictwo „Śląsk" w Katowicach. Serdecznie witając je w gronie edytorów programowo wydających fantastykę, zgłaszamy tylko jedno „ale": czy po to przez tyle lat pokolenia polskich pisarzy i fanów walczyły o nadanie SF należnej jej rangi, by zasłużone bądź co bądź w tej dziedzinie wydawnictwo podjęło edycje oczekiwanych przez tysiące czytelników książek we wspólnej serii z kryminałami i literaturą sensacyjną?

* * *

P.W. „Iskry" przygotowuje wznowienie słynnej „Kosmicznej trylogii" Krzysztofa Boruinia i Andrzeja Trepki. Po latach ukaże się więc w nowym wydaniu książka - legenda - cenowy bestseller wszystkich giełd książki SF. Wśród innych cenionych wznowień odnotować należy przygotowywane przez „Śląsk" wznowienie „Katastrofy na Słońcu Antarktydy" - klasycznej już dziś powieści Adama Hollanka oraz przygotowywaną przez KAW serię „Polska SF na świecie", w której ukazywać się będą wznowienia tych książek polskich autorów, które zdobyły sobie uznanie światowych wydawców.

BUŁGARIA

W planach wydawniczych sofijskiego wydawnictwa „Otieczestwo" znalazła się powieść Adama Wiśniewskiego-Snerga „Robot".

NRD

Nakładem Verlag „Neues Leben" w Berlinie ukazała się powieść Konrada Fiałkowskiego „Homo divisus".

RFN

Wilhelm Heyne Verlag zakupiło prawa autorskie na wydanie kolejnej książki polskiego autora. Tym razem są to „Bogowie naszej planety" Ewy Szymańskiej i Aleksandry Szarłat.
ANGLIA/SZWECJA
Brian W. Aidiss i Sam Lundwall przygotowują światową antologię opowiadań SF, w której znajdą się 24 utwory autorów zrzeszonych w World SF. Wprawdzie tytułów poszczególnych utworów ujawnić jeszcze nie chcą, ale twierdzą, że w wyborze tym z pewnością znajdzie się również opowiadanie polskiego autora.

FRANCJA

Nakładem „Editions Fleuve Noir" ukaże się w 1984 roku powieść spółki autorskiej Andrzej Krzepkowski/Andrzej Wójcik „Obszar nieciągłości".

USA

Tygodnik „Publishers Weekly" opublikował dane na temat amerykańskiego rynku wydawniczego w 1982 roku. Ogółem, nakładem amerykańskich wydawnictw ukazało się 4.000 tytułów książek SF, z czego 1.000 tytułów to pozycje wydane po raz pierwszy.

NASZ LAUREAT?





W lipcowym numerze „Fantastyki" opublikowaliśmy ilustrację sygnowana, przez p. Sławomira Kota, nadesłaną na nasz konkurs graficzny. O wyborze zadecydowały niewątpliwe walory plastyczne pracy. Opinię o wartości grafiki podtrzymujemy, musimy - niestety - zmienić opinię o osobie, która ją przysłała. Otóż po ukazaniu się numeru w sprzedaży otrzymaliśmy wiele telefonów i listów od Czytelników wskazujących, że zamieszczona przez nas grafika to po prostu przerysowany znaczek poczty austriackiej z serii poświęconej ochronie środowiska. Pan S. Kot tylko w jednym przypadku mógłby być usprawiedliwiony - a mianowicie, gdyby to on był autorem projektu graficznego wydanego w Austrii znaczka. W każdym innym, to co uczynił musi być zakwalifikowane jako zwyczajny plagiat. Radzimy, żeby dobrze się zastanowił nad moralną stroną swojego postępowania.

Andrzej Brzezicki



To duża umiejętność - odmalować w kilku zdaniach atmosferę i tło zdarzeń w świecie, którego już nie ma i o którym tak niewiele wiemy. Jeszcze większa -”rzucić na to tło sylwetkę bohatera z czasów, które dopiero mają nadejść. A wszystko w krótkim, zwartym opowiadaniu.
Brian W. Aldiss „Biedny mały wojowniku!”

Byłem na tym filmie zaszokowany nie jego wprost drobiazgową naukowością w przedstawianiu zachowań naszych praprzodków. Wszystko w „Walce o ogień” zostało niezwykle precyzyjnie obmyślone i konsekwentnie wyprowadzone nie tylko z wyników badań współczesnej archeologii, antropologii; lecz także i socjologii, psychologii, ekonomii czy medycyny.



Jednakże ostrożny i prawdziwie rzetelny uczony naszych czasów powiedziałby: tak, taki obraz prehistorii człowieczeństw jest bardzo prawdopodobny, wiele dowodów świadczy na korzyść jego prawdopodobieństwa, czy jednak rzeczywiście rozpoznajemy w istotach, które przed stawił reżyser, scenarzysta i aktorzy, naszych prapraprzodków? Przecież te samą historie dałoby się zaprezentować, gdyby się na to miało ochotę, całkiem inaczej.

Tak mógłby oświadczyć rzetelny naukowiec probabiliśta, sceptyk, człowiek obawiający się wielkich syntez. Taka zresztą jest nauka współczesna. I to również by mnie nie zaskoczyło. Prawda najlepszego na naszych ekranach filmu science fiction wyraża się bowiem nie głównie swą naukowością, swymi prawdopodobieństwami historycznymi, lecz - po prostu - stosunkiem obrazu do naszej rzeczywistości, naszej światowej współczesności. Ten film to zwycięstwo fiction nad science, mimo że tak wiele zaważyli na jego budowie naukowcy. Jest to znakomita literacka karykatura współczesności i to w każdym calu, w każdym odruchu owych niby-praludzi. Dlatego rzecz wywołuje silne przemożne wrażenie. To nie prapraludzie, lecz my sami gramy w tym filmie role praludzi. My - zaborczy i przemyślni, my - tchórzliwi i bohaterscy, kochliwi, brutalni, delikatni i sentymentalni. Szokowała mnie na tym filmie wspaniała, czujna bezustannie, świadomość twórców. Nie po raz pierwszy science fiction uzyskuje tak duży wymiar, dzięki umiejętności pełnego wykorzystania jej jeżyka, jakże współczesnego i dokładnego, stosowanego z powodzeniem przez dzisiejszą naukę - jeżyka modeli, analogów, karykatur. Umyślnie dodałem do naukowej współczesności językowej pojecie karykatury, raczej plastyczne czy literackie, niż scjentyficzne. Bez mniej lub bardziej karykaturalnych skrótów czy symboli nie istniała nigdy i nie istnieje w ogóle prawdziwa literatura. Zresztą, nawiasem mówiąc, wszelkie lustrzane odbicia przedstawiają nas zawsze nie takich jacy naprawdę jesteśmy. Zniekształcają nas jedne bardziej, inne mniej. Jednakże muszą zniekształcać. Różne światy science fiction to różnorodne, najczęściej drastyczne próby, jakim poddajemy swoje natury i charaktery. Czy bez wielkiego ryzyka? Jeśli przecież te próby odbywamy w wygodnych fotelach, lub Wręcz w łóżkach, oglądając telewizje, filmy w kinach czy czytając książki, lub nawet pogardzane przez niektórych (także i naszych czytelników) komiksy.

Mówi się i pisze o tym, że szczytem wpływu literatury na człowieka były okresy romantyzmów literackich, że stopniowo wpływ środków literackiego oddziaływania na człowieka słabnie. Staje sie wręcz znikomy. I w zjawisku tym upatruje sie przyczyny spadku zainteresowania w ogóle zjawiskami literackimi. Kogo dzisiaj porwałaby na przykład „Oda do młodości”? A to nieprawda. Fałszywe wnioski ze zmiany postaw i gustów, z jakimi mamy do czynienia w dzisiejszym świecie, świecie takich samych, identycznych istot, jakie grały role praprzodków w „Walce o ogień”. Film, obraz, to znacznie dla człowieka naturalniej sza forma przekazu niż litery. Dominuje wiec nad czytelnictwem. Cóż to jednak ma wspólnego ze zmierzchem pisarstwa, powieści, poezji?

To jedynie zmiana W sposobach przekazywania samej wizji twórczej. Poza tym pisarstwo takie przechodzi ewolucje, której wielu niby-intelektualistów zdaje się nie dostrzegać, czy woli nie dostrzegać. Nie będę się tu sprzeczać o sposoby szufladkowania współczesnej literatury, dzielenia jej na ogólną, rzeczy-, wista, morską, science fiction, czy jeszcze inne. Szufladkowanie niewiele ma wspólnego z istotnym wartościowaniem tekstów czy obrazów. Jest prymitywną próbą ślepego kontrataku krytyki, która straciła klasyczne kryteria rozróżniania wartości, a nie zdołała - czy to nie mogąc czy też nie potrafiąc - wypracować nowych kryteriów.

Zjawisko to u nas jest szczególnie silne wobec naszego jakże mocnego zapatrzenia się w dawnosć, w historyczność, w klasyczność. Może stąd ten pęd u nas do fantastyki, znajdującej coraz to liczniejszych czytelników, ludzi pragnących postrzegać świat innymi, bardziej nowoczesnymi oczyma. Oczyma, które widzą przez mikroskop, lunety, okulary, szkła kontaktowe, które obserwują zjawiska i sprawy inaczej niż dawniej. Nawet materia jest przecież dla nas inna niż dla naszych przodków. Trudno ją dziś oglądać w sposób naturalistyczny, gdy wiemy że wszystko co nas otacza i my sami jesteśmy zbudowani z cegieł, pojedynczo niedostrzegalnych. Tych nowych źródeł , świadomości nie da się wyeliminować. One tkwią już głęboko, coraz głębiej w człowieku schyłku XX stulecia. Walka o ogień to nasza walka, nie naszych przodków, inaczej ten film byłby idiotyczną, nieznośną bajką. To nie przypadek, że w dobie walki o nasz ogień rozchodzą się w mgnieniu oka w setkach tysięcy egzemplarzy lepsze (a także i gorsze) wizje science fiction. Dla człowieka zawsze najważniejsza była i jest przeszłość i przyszłość. Zapatrzenie w przeszłość, w jej wzorce i jej idoli dominowało w XIX i w dużej mierze w XX wieku. Ten wiek się jednak kończy i odkrywa przed nami przyszłość tak pełną ataków techniki, że aż przez to ryzykowną. Wiec zbierają się twórcy science fiction na narady ó tym, jakby te przyszłość ujawnić, jak identyfikować jej ryzyka, jak z nimi walczyć, jak prorokować jutro - jego blaski i jego cienie. Czy będziemy wieczni, czy też sami zniszczymy doszczętnie swoją cywilizacje.

Światowa Organizacja Science Fiction (World Science Fiction) założona kilka zaledwie lat temu, gromadzi zrzeszonych w niej twórców, usiłuje mobilizować ich wysiłki, a wyniki ich rozpowszechniać we wszystkich krajach tej planety. To zadanie jest dopiero w początkowym stadium, ale warto się nad nim zastanowić, czytając jakże różnorodne, jakże odrębne rzeczy pisarzy różnych narodowości, wybranych, czy dobranych jako czołówka tej młodej, ambitnej organizacji. Proszę - oto próba igrania z historią zademonstrowana przez „czeskiego Lema”, poczytnego pisarza zza południowej naszej granicy Josefa Nesvadby. Posmakujcie także uroków prozy, znanego już w naszym kraju i bardzo renomowanego na świecie twórcy, jakim jest Brian Aldiss, romantyk, którego spojrzenie na świat skarykaturowała wojna w tropikach. On tam właśnie walczył o ogień. Przyjrzyjcie się też pogodnemu talentowi Szweda Ldndwalla. Poczytajcie nasze wywiady z luminarzami światowej science fiction. Jak trudno przełamywać bariery miedzy twórcami! Zdawało mi się jeszcze stosunkowo niedawno, gdy nasze pismo zaczęło wychodzić, gdy uczestniczyłem w obradach EUROCONU w zeszłym roku, że przepaści oddzielające amatorstwo od zawodowstwa, zwłaszcza w sztuce SF, zaczynają się niwelować. Tymczasem one się pogłębiają. I nie wiem czy coś w tej sytuacji zmieni wspólne zgromadzenie w przyszłym roku, w okresie Wielkanocy, przedstawicieli amatorów i zawodowców w Brighton koło Londynu. Pierwsze tego rodzaju. Oby nie ostatnie!

1 0 - 9 - 8 - 7 - 6 - 5 - 4 - 3 - 2 - 1 - 0

Adam Hollanek

fantastyka

02-784 Warszawa-Ursynów, ul. Służby Polsce 2, tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy).

Redakcja: Adam Hollanek (red nacz.) Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu ogólnego), Marek Kubala, Maciej Makowski .(kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red,), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier, działu literatury :, polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier. działu nauki), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red), Oarosław J. Toruń, Andrzej Wójcik (z-ca red. nacz). Opracowanie graficzne: ‘ Andrzej Brzezicki i Marek Zalejski Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-KsiązkaRucn”, ul. Noakowskiego 14,00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Biuro Reklam i Propagandy tel. 2556-26.

Warunki prenumeraty:

• dla zakładów pracy

- instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW ,,Prasa-Książka-Rucn” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach,

- instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy.

• dla prenumeratorów indywidualnych

- osoby zamieszkałe na wsi t w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach: pocztowych i u listonoszy,

- osoby zamieszkałe w miastach - siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora przy użyciu „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Rcich”

• prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Rucb Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28; 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych t o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty:

- do dnia 10 listopada na i kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny,

- do dnia I każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul Okopowa 58/72. Druk t oprawa P.Z Graf RSW Lódź. Zam 2314/83 r. N 150000 egz M-6

Skan i opracowanie
GTW

WORLD SF
THE INTERNATIONAL SCIENCE FICTION ASSOCIATION OF PROFESSIONALS

VI WORLD SF GENERAL MEETING

Adam Hollanek, Andrzej Wójcik

To się już staje jakąś dziwną regułą. Wyjeżdżaliśmy z Warszawy w upalnym słońcu. Jeśli tu taki żar, to co będzie tam, na słonecznym Południu? „Widzieliśmy już siebie w charakterze Murzynów błyskających po powrocie jedynie bielą zębów i gałek ocznych. Niestety. Zagrzeb i tym razem powitał nas deszczem. Na szczęście hotel „Esplanade", w którym odbywał się tegoroczny 6 Świa-. towy Kongres Profesjonalistów SF oddalony jest od dworca zaledwie o kilkadziesiąt metrów. Przebrnęliśmy te kilkadziesiąt metrów w deszczu zadając sobie pytania takie same jak zawsze przy podobnych okazjach: „Kogo zastaniemy? Kto przyjedzie? Jak będzie!?" Poprzedniego dnia, w Wiedniu spotkaliśmy się z pracującym w tamtejszej agendzie ONZ dotychczasowym przedstawicielem Polski w WORLD SF - profesorem Konradem Fiałkowskim. Poświęcił nam mnóstwo czasu wprowadzając w labirynty tej najpoważniejszej organizacji zawodowców, parających się tworzeniem i upowszechnianiem literatury fantastyczno-naukowej, ale i ostudził nieco nasz zapał informacjami, o tym, kto i dlaczego nie przyjedzie. Podczas wieczornej wizyty w domu wielkiego przyjaciela i mecenasa polskiej fantastyki i polskich fantastów Franza Rottensteinera również hiobowe wieści. Francuzów nie będzie, bo szykują się na Eurocoh, a obecnie mają swój zjazd, Niemców też raczej nie należy się spodziewać, ponieważ mają swoją wielką imprezę w sierpniu w Hanowerze, Skandynawom coś nie wypaliło, dla Australijczyków zaś za daleko... W Zagrzebiu, w hotelowej recepcji pusto. Przyjechaliśmy wcześnie rano, chyba za wcześnie... Prosimy recepcjonistę o kontakt z Bruno Ogorelcem - sekretarzem jugosłowiańskiej sekcji narodowej WORLD SF, a jednocześnie pracownikiem biura podróży CENTROTOURIST organizującego całą imprezę. Na wieść o naszym przyjeździe zjawia się niebawem. W kilka minut zaznajamia nas z programem i załatwia sprawy związane z zakwaterowaniem. Przydał się pobyt Andrzeja na SFERACONIE 4 w lutym. Wszyscy witają nas jak starych znajomych. W kilkanaście minut po zakwaterowaniu w pokoju zjawia się Zoran Milowić - młody tłumacz literatury angielskiej, który swą pomocą i serdecznością służyć nam będzie do ostatniej chwili imprezy. W hotelu nie zabawiamy długo. Zoran zaprasza nas do siebie. Andrzej próbuje upitrasić jakąś ohydną potrawę z kalmarów, ale jakoś nikt nie chce tego jeść. W małym pokoiku w Velkej Młace n* przedmieściu Zagrzebia zbiera się kilka osób. Plotki, ploteczki, informacje... Jacek niestrudzenie grzebie w bibliotece Zorana. Wygrzebie stamtąd do końca kongresu kilkadziesiąt antologii opowiadań z całego świata. Materiał ogromny. Teraz jeszcze trzeba zdobyć prawa autorskie. Ale po to przecież tu przyjechaliśmy.

Po południu oficjalne otwarcie imprezy. Przed wejściem do sali obrad zaimprowizowane party. Przy bufecie z coca colą i nie tylko.,, spotykamy starych znajomych - Josefa Nesvadbę z Czechosłowacji, Jeremija Parnowa z ZSRR, Ljubena Diłowa z Bułgarii, łona Hobanę z Rumunii, Gianfranco Vivianiego z Włoch, Michaela Bishopa z Anglii. Prym w tym towarzystwie wodzi jednak, jak zwykle, pełen humoru, zaskakujący dowcipami, wiecznie młody Sam Lundwall ze Szwecji. Na widok Jacka rozkłada szeroko ramiona i następuje szokująca w tym statecznym gronie scena powitania „na niedźwiedzia". Nie widzieliśmy się w końcu już 5 lat. Wkrótce okazuje się, że „Fantastyka" mimo niecałego roku swego istnienia znana jest nie tylko w Polsce. Lundwall chwali oprawę plastyczną. Inni wypowiadają się o tekstach. Nie są to bynajmniej zdawkowe, uprzejmościowe uwagi. Opinie są rzetelne, czasem krytyczne, ale i pełne nieskrywanej zazdrości. No cóż - 150 000 sprzedawanego nakładu nie szokuje nikogo u nas. Ale jeśli wziąć pod uwagę fakt, że największe magazyny amerykańskie z trudem dobijają do 100 000... A przecież USA to w dziedzinie SF potęga.

Skoro już o potędze mowa, to właśnie w barku spotykamy jednego z twórców tej potęgi, człowieka - legendę, następcę Gernsbacka i Campbella, wydawcę, który wylansował niejednego mistrza światowej SF - Donalda Wollheima. Znaliśmy się wcześniej z korespondencji. Zawsze przychylny Polakom i nam przysłużył się na początku naszego istnienia udostępniając prawa na opublikowanie w Polsce utworów G. R. Martina. Teraz możemy porozmawiać z nim osobiście. oczekiwanie na otwarcie imprezy przedłuża się. Nie zjawił się jeszcze następca Harry'ego Harrisoną i Fredericka Pohla na stanowisku przewodniczącego World SF - Brian W. Aldiss. Wreszcie* przybywa w towarzystwie małżonki i po serdecznym powitaniu zaprasza wszystkich do sali. Otwarcie jest krótkie acz związane z kolejną niespodzianką. Na ponad 460 członków WORLD SF 90% stanowią pisarze i wydawcy z Zachodu. Do Zagrzebia przybyło przede wszystkim wielu Włochów, Anglików i Amerykanów, natomiast inne kraje zachodnie reprezentowane są raczej skromnie. Tymczasem stawiła się pełna reprezentacja krajów socjalistycznych. Rzekomo z powodu braku quorum nie odbędą się więc w tym roku wybory do władz organizacji. Większością głosów przełożono je na kolejny, 7 zjazd w Brighton w Anglii. Na szczęście to jedyny nieprzyjemny zgrzyt. W końcu nie na wybory zjechali się tu wszyscy. Zaraz po otwarciu zaczyna się to, co we wszystkich tych zjazdach jest najcenniejsze spotkania, wymiana informacji, panele i całkiem .prywatne „room party". Tak się jakoś składa, że jedno z najbardziej udanych wyprawili właśnie Polacy, a ściślej rzecz biorąc Jacek z Andrzejem podczas pamiętnego 3 Euroconu w Poznaniu. Więc i w „Esplanadzie" pierwszego wieczoru wyznaczono sobie spotkanie w polskim pokoju. Ani się obejrzeliśmy jak do okien zapukał, świt...

Następnego dnia Adam Hollanek dokonuje oficjalnego zgłoszenia polskiej grupy narodowej do WORLD SF. Poprzednio jedynym reprezentantem Polski był prof. Konrad Fiałkowski. Teraz zgłaszamy jedenastu uczestników i chęć utworzenia dużej grupy narodowej. Zgłoszenie zostaje przyjęte. Z rąk sekretarza organizacji - Michaela Bishopa Adam otrzymuje nominację na szefa. Formalności nie zabierają zbyt wiele czasu i od tego momentu możemy już oficjalnie uczestniczyć w obradach i podejmowaniu decyzji. Zaczyna się zwyczajny kongresowy kołowrotek. Ustalenia, kontakty, wymiana materiałów, pozyskiwanie praw autorskich, oficjalne spotkania w Pen Clubie i na kongresowej sali i nieoficjalne w pokojach po zakończeniu referatów i dyskusji. Jednych i drugich jest mnóstwo. Jugosłowiański WORLD SF okazuje się ponadto doskonałą okazją do podjęcia pewnych wspólnych ustaleń przez delegacje krajów socjalistycznych. Tak się bowiem składało, że na ostatnich trzech Euroconach zawsze kogoś brakowało. Teraz są wszyscy. Informujemy o naszych planach zwołania kolejnego, pierwszego, od trzech lat konwentu w Dzierżoniowie, o chęci organizacji spotkania pisarzy z KS. Ustalamy wspólnie zasady działania na kolejnym - viii Kongresie Europejskim we wrześniu w Lublanie. Postanawiamy zredagować wspólnie leksykon pisarzy, wydawców i innych twórców SF z krajów socjalistycznych, każda sekcja narodowa w swoim zakresie. Równocześnie informacji leksykonowej domagają się władze World SF. Dobrze się więc złożyło, że od razu załatwiliśmy obydwie sprawy. A w tzw. międzyczasie zbieramy materiał dla „Fantastyki". Jacek nagrywa na magnetowid wywiady dla potrzeb redakcji i naszego klubu miłośników fantastyki. (Teksty wywiadów przedstawiamy czytelnikom na następnych stronach.) Przy okazji otrzymujemy też szereg propozycji współpracy z wydawnictwami innych krajów. Zainteresowanie polską fantastyką jest na świecie coraz większe, a z porównania wygłoszonych referatów wynika, że wcale nie jesteśmy kopciuszkami. Wprawdzie trudno nam się równać z 4 000 tytułów rocznie ukazujących się na rynku amerykańskim, ale z obliczeń wynika, że teza Andrzeja, iż jesteśmy na 4-5 miejscu na świecie znajduje swoje potwierdzenie. Podbudowani tym faktem już z mniejszą tremą i bez kompleksów staramy się wywalczyć jak najwięcej korzyści. I chyba nam się to udaje. Dogadujemy się z -największym włoskim wydawcą Gianfranco Vivianim, dla którego fakt, iż Adam rozmawia z nim po włosku jest tak zaskakujący, że bez wahania zgadza się na współpracę, dogadujemy się z Wollheimem, Węgrami, Rumunami, Bułgarami, Jugosłowianami... Oczywiście na efekty trzeba poczekać, ale już to, co uzyskaliśmy przez pierwsze trzy dni z pewnością przyczyni się do wzbogacenia treści „Fantastyki" a i polskim wydawcom pozwoli odsunąć od siebie widmo dewizowej bariery przy zakupie znacznej ilości praw autorskich. Andrzej zaciera ręce. Tak samo goszczący na zaproszenie Briana W. Aldissa Wiktor Bukato - przedstawiciel wydawnictwa „Alfa". Zadowoleni powinni być też i nasi pisarze, których książki, z polecającą opinią Adama, znikają w teczkach zagranicznych wydawców. I oto ani się obejrzeliśmy jak trzeba było pakować manatki i po uroczystym bankiecie, na którym wręczono nagrody (pisaliśmy o tym w poprzednim numerze) wracać do domu. Deszcz lał prawie cały czas, a my nawet nie mieliśmy okazji porządnie zmoknąć. Ale to chyba strata niewielka

WORLD SF

THE INTERNATIONAL SCIENCE FICTION ASSOCIATION OF PROFESSIONALS

Mówi Brian W. Aldiss przewodniczący World SF

„Jestem właściwie zadowolony, że pisarz tworzący SF musi się zmagać z głupotą krytyków...”

„F” - Co Pan sądzi o World Science Fiction organizacji, której Pan przewodzi?

BA: Jest to potężna organizacja, posiadająca tajnych agentów w każdym kraju, łącznie z Antarktydą. I ciągle się rozrasta. Mówiąc zaś poważnie, myślę że naprawdę dojdziemy do tego, iż będziemy mieć przedstawicieli w każdym zakątku świata. Dotychczas są wśród ‘nas ludzie z około 40 krajów. W Europie: od ZSRR do Irlandii. Nie mamy nikogo ze świata arabskiego. Chętnie także widzielibyśmy wśród nas większą liczbę osób z Ameryki Płd. Jednak nawet w końcu XX wieku dużą rolę odgrywała odległość, trudności komunikacyjne. Mamy natomiast, członków WSF w Australii i spodziewam się ich udziału w niektórych spotkaniach. Będą organizować World Convention za dwa, czy trzy lata i z kolei oni spodziewają się, że ktoś z nas tam do nich pojedzie. I pewnie tak będzie. Chcemy stworzyć silną organizację, która byłaby zdolna propagować zalety science fiction na całym świecie. Na razie wychodzi trochę na to, że rozmawiamy i kontaktujemy się w bardziej szczupłym gronie, ale powoli to się będzie zmieniać. Mamy zamiar rozpocząć publikację antologii międzynarodowej i chyba ona stanie się milowym krokiem do internacjonalizmu w science fiction.

„F”: WSF skupia tylko profesjonalistów. Jak wyobraża Pan sobie pomoc pisarzom z różnych krajów w tłumaczeniu i rozpowszechnianiu ich utworów?

BA: To właśnie jest jednym z naszych celów.

„F” - Niemniej jednak - na przykład w USA czy w Wielkiej Brytanii - panują pod tym względem dość dziwne obyczaje. Kraje jakby zamykają się, unikają tłumaczeń utworów, pochodzących z innych krajów.

BA: W stosunku do Wielkiej Brytanii nie jest to całkiem ścisłe. Co najmniej połowa wydawanych u nas książek’ jest autorstwa cudzoziemców, przede wszystkim Amerykanów.

„F”: - No właśnie” - Amerykanów, czyli ludzi z tej samej strefy językowej.

BA: - Gdyby pan mieszkał w W. Brytanii wiedziałby pan, że Stany są absolutnie innym krajem. To prawda, że nie robi się u nas zbyt, wielu tłumaczeń, ale istnieje tak wielki przepływ informacji między krajami mówiącymi po angielsku, że ciężko jest znaleźć miejsce na import z innych języków. Nie powinien pan jednak sądzić, ze postępujemy jak członkowie zamkniętego, ekskluzywnego klubu. Obawiam się jednak, że sytuacja przypomina na zewnątrz rzeczywiście przepływ jednokierunkowy. Muszę tu jednak powiedzieć, że ja wspólnie z Harry Harrisonem przygotowałem ‘Serię antologii najlepszych utworów i znalazły się tam tłumaczenia Josefa Nesvadby z Czechosłowacji, a także utworów węgierskich i francuskich itd. A więc podjęliśmy jakąś próbę przełamania barier. Uważamy jednak, iż większość najnowszych tendencji w science fiction wywodzi się właśnie z Anglii, że nasz wkład jest tutaj bardzo duży i jeśli coś się zmieni, być może będziemy robili więcej tłumaczeń z języków obcych. Proszę nie zapominać, WSF została założona przez Anglika, Irlandczyka i Amerykanina, a więc znów ludzi ze strefy anglojęzycznej.

„F”: Ale przecież nie oni wynaleźli literaturę SF. W jaki sposób zapoznaje się Pan z książkami innojęzycznymi itd. Fanowie w Polsce uważają, że książki tłumaczone z naszego języka nie zawsze są najlepiej wybrane.

BA: Nie powinniście chyba specjalnie narzekać na brak tłumaczeń z literatury polskiej, gdyż ukazały się u nas np. liczne prace Sławomira Mrożka, szeroko dostępne są książki St. Lema....

„F”: Mrożek nie pisze science fiction, zaś Lem jest gwiazdą. Inni są dla was na uboczu, widzi się, zauważa tylko Lema. W Polsce jest wielu bardzo dobrych autorów tłumaczonych na, inne języki. Oprócz angielskiego. Idziecie po linii najmniejszego oporu.

BA: To zjawisko, o którym pan mówi nie jest związane z jakimś szowinizmem, lecz ze sposobem, w jaki pracuje ludzki umysł. W taki właśnie sposób ludzie myślą: na przykład poza Anglią rozpowszechniło się mniemanie, że w Anglii działa tylko jeden pisarz SF - Arthur C. Clarke. I bez względu na to czy jego powieści są dobre, czy nie, sprzedają się w dużych ilościach, każda książka przynosi mu fortunę. Podobne zjawisko można zaobserwować w Stanach - Isaac Asimov publikuje następną część serii „Fundacja” i staje się ona bestsellerem sprzedawanym w milionach egzemplarzy bez względu na jej jakość. Dlaczego? Odpowiedź leży w magii nazwiska. To może się nie podobać panu czy mnie, ale w taki właśnie sposób ten świat jest urządzony.

„F”: W Polsce Ciarkę nie cieszy się tak dużąpopularnością. Znacznie bardziej u nas popularny iest np. Pan.

BA: To tylko ukazuje jak wrażliwi są Polacy. Zawsze was za takich uważałem. Teraz wraz z Samem Lundwallem przygotowujemy antologię, która zawierać będzie 24 opowiadania z 24 różnych krajów i mamy oczywiście nadzieję, że wśród nich znajdzie się utwór pochodzący z Polski. I tu właśnie istnieje mała szansa, że dzięki niej, dzięki naszej organizacji; będziecie mogli zaprezentować jakiegoś młodego, rozwijającego się pisarza. Ja jako wydawca byłbym bardzo szczęśliwy mogąc zaprezentować nowe nazwisko.

„F”: A teraz jeszcze pytanie o to nad czym Pan obecnie pracuje, a także prośba o kilka słów na temat ostatnich Pana książek.

BA: „No cóż, zacznijmy może chronologicznie. W 1979 roku napisałem książkę „Life in the West” (Życie na Zachodzie), w której staram się dać jakąś ogólną panoramę sytuacji świata, tak jak ją widzę. Podziały polityczne, religijne i wszelkie inne między Wschodem a Zachodem. Została napisana częściowo w formie akademickiej dyskusji, rozgrywającej się na Sycylii. Biorą w niej udział przedstawiciele ze Wschodu i z Zachodu. A potem powoli w swoich opisach przechodzę do spraw ogólnoludzkich. Nie jest to utwór science fiction, a powieść raczej współczesna, realistyczna. Uważam ją za w miarę udaną, chociaż nie całkiem. Ale stała się dla mnie bodźcem do stworzenia czegoś bardziej ambitnego. Zawarte w niej myśli i problemy wykorzystałem w cyklu „Heliconia”, który ma się ukazać w trzech częściach. Pracowałem nad nim przez pięć lat. Pierwsze trzy poświęciłem tylko badaniom, gromadziłem wiedzę, radziłem się specjalistów a w końcu napisałem pierwszą część - „Heliconia Spring”. Właśnie ukazała się i rozprowadzono ją po świecie. Druga część, zatytułowana „Heliconia Summer” ukaże się na jesieni, natomiast trzecią - „Heliconia Winter” - jeszcze piszę, niedługo skończę. Heliconia jest to nazwa planety, na której rok jest bardzo długi. Ziemski rok ma 365 dni, natomiast na Heliconii krążącej wokół swego podwójnego słońca rok trwa aż 2952 lata ziemskie. Jedna generacja może żyć tylko w czasie jednej pory roku - wiosny czy lata. Ta książka jest dla mnie bardzo ważna. Trudno powiedzieć, czy stanowi szczytowe osiągnięcie mojej twórczości, gdyż takie stwierdzenie prowadzi do wniosku, ze wszystko, co napiszę w przyszłości musi być gorsze, ale na pewno jest kamieniem milowym na mojej drodze pisarskiej. W sumie zamknięcie całości zajmie mi sześć czy siedem lat, gdyż, ze względu na dość ‘sporą ilość szczegółów, na obszerną podbudowę naukową, chcę po ukończeniu trzeciej części skorzystać jeszcze raz z pomocy swoich doradców^ ekspertów naukowych i wspólnie z nimi ułożyć encyklopedię Helicoąii. To chyba może być bardzo ciekawe.

„F”: Jaki rodzaj SF według Pana cieszy się największą popularnością w W.Brytanii?

BA: Sądzę, że w Anglii tradycyjnie dużą popularnością cieszy się rodzaj, który można określić jako intelektualną SF. Bierze on swój początek od H. G. Wellsa, poprzez „Brave New World” A. Huxleya i utwory Orwella, a jest kontynuowany przez takich autorów jak Doris Lessing, Anthony Burgess, w pewnym stopniu również Kinglsęy Amis. Tworzą oni utwory, które można nazwać intelektualną dyskusją nad drastycznymi problemami, mogącymi w przyszłości przyczynić się do obezwładnienia nas. Nie mamy chyba czysto technokratycznych pisarzy takich jak w USA powiedzmy Niven, Pournelle, Asimov. Takiego stylu pisania nie spotyka się w Anglii. Myślę, że współczesna brytyjska fantastyka jest bardziej miękka, nieco nostalgiczna, oglądająca się na przeszłość. To chyba trochę niebezpieczny trend, mimo iż może być bardzo urokliwy. W każdym jednak razie jest to przykład zadziwiającej różnorodności, którą można odnaleźć w science fiction. A fantasy? No cóż, Anglia jest przecież krajem rodzinnym J.R.R. Tolkiena, sądzę jednak, że współcześnie powstająca fantasy nie całkiem jest zgodtia z gustami Angł+ków. W Stanach powstaje ogromna ilość utworów fantasy, ale one nie trafiają do Anglii i chyba nie będą trafiać.

„F”: Których brytyjskich pisarzy najbardziej by Pan polecał?

BA: Gdy słyszę takie pytanie natychmiast nasuwają mi się cztery nazwiska, które zawsze i każdemu rekomenduję. Dwa z nich nie należą do pisarzy młodych. To ludzie należący raczej do mojego pokolenia - J. G. Ballard i Michael Moorock, a z młodszych - Bob Shaw oraz Christopher Priest, który ostatnio znalazł się na liście dwudziestu najlepszych współczesnych pisarzy brytyjskich. Pojawiła się też generacja młodsza od Priesta, ale wydaje mi się, że jej przedstawiciele nie lubią być zaliczani do podejrzanego, posiadającego wątpliwą reputację gatunku, opatrzonego nazwą science fiction. Nie czują się dostatecznie silni by powiedzieć: na kolana! Jestem pisarzem science fiction! Tworzą raczej coś pośredniego utwory, które mogą być zaakceptowane zarówno przez czytelnika SF, jak i przez wszystkich pozostałych. Nie potrafię niestety wymienić nazwisk tych młodych pisarzy dlatego , że oni pracują gdzie indziej, na innej płaszczyźnie, nie należą całkowicie do SF. Jestem właściwie zadowolony, że pisarz tworzący SF musi się zmagać z głupotą krytyków i przez to przedstawiać się całkowicie i wyłącznie jako pisarz science fiction.

„F”: Dziękujemy za rozmowę.

„F”: Uczestniczy! Pan w konwencie w Dublinie, na którym postanowiono założyć World Science Fiction. To byto kilka lat temu. Jakie zmiany widzi Pan między organizacją wtedy i dzisiaj? Czy w ogóle jakieś zmiany nastąpiły?

SL: W pewnym stopniu tak. Wtedy, gdy w Dublinie Harry Harrison rzucił myśl stworzenia takiej organizacji ścięliśmy tylko stworzyć podstawę do okresowych międzynarodowych spotkań. Takie byto założenie. Stwierdziliśmy, że na całym świecie jest ogromna liczba profesjonalistów SF, którzy nigdy się nie spotkali. Z różnych przyczyn. Pomyśleliśmy sobie, że jeżeli przekształcimy to dublińskie zgromadzenie w rodzaj instytucji, będzie to podstawą do organizowania bardziej regularnej wymiany poglądów. Więc ad hoc założyliśmy World SF. I to było wszystko. Potem okazało się, że ta organizacja może również służyć czemuś szerszemu. W tej chwili realizujemy kilka dużych pomysłów - m.in. chcemy wydać antologię SF, w której mają się znaleźć utwory pisarzy z 24 krajów, poprzedzane wstępami na. temat twórczości SF w tych krajach. Mam nadzieję, że la antologia również ukaże się w tych 24 krajach. Ma ona być początkiem naszej działalności wydawniczej. Staramy się to wszystko zorganizować i mamy nadzieję, ze nam się to uda.

„F”: WSF jest organizacją, skupiającą wyłącznie profesjonalistów - pisarzy wydawców, tłumaczy itd. Jednak czy tego typu organizacja może istnieć bez fandomu? Panowie to takie dziwne istoty, które chcą być wszędzie i wszystko wiedzieć, we wszystkim uczestniczyć i taka, w pewnym sensie zamknięta, organizacja jest na pewno dla wielu z nich solą w oku. Czy WSF jest zdolna odeprzeć zakusy amatorów? Czy dopuści fanów do siebie, pozwoli im wejść w swoje szeregi?

SL: Nie sądzę, abyśmy musieli to robić. Ja sam jestem członkiem kilku organizacji różnego typu, np. Związku Pisarzy Szwedzkich. Nigdy nie mieliśmy żadnych fanów, a niektóre z tych organizacji istnieją już ponad sto lat. Nie sądzę, aby istniała potrzeba mieszania amatorów i profesjonalistów w WSF i żeby to miało się stać jakimś szczególnym problemem, jeśli chce pan to tak określać. Miłośnicy SF mają wiele swoich konwentów. Natomiast WSF jest czymś innym -.pracujemy w inny sposób i mamy inne cele. Nie widzę przyczyn, dla których miałby powstać konflikt, tak jak nigdy nie było takich konfliktów z amatorami w innych zrzeszających pisarzy organizacjach.

„F”: Jest jednak pewna różnica między tymi innymi organizacjami, z których wiele, jak to Pan powiedział, liczy już sobie ponad sto lat, a fandomem SF, stanowiącym zupełnie szczególne zjawisko. Miłośnicy np. Leslie Charterisa nie organizują chyba konwentów...

SL: Uczestniczyłem w takim.

„F”: To musiał być wyjątek. A nawet jeśli nie - to landom SF jest najsilniejszy i najbardziej prężny. Mogą jednak zostać członkami WSF ci spośród fanów, którzy staną się zawodowcami.

SL: Oczywiście. Niektórzy ludzie, wywodzący się z ruchu fanów przechodzą na zawodowstwo i jest zupełnie naturalne, jeśli zakładają jakiś własny związek i w nim pracują. Takich związków jest bardzo wiele i to nie tylko w sferze SF. W moim kraju są grupy fanów poezji, muzyki różnego typu, thrillerów, filmów ozy czegokolwiek. Niektórzy ich członkowie są zarówno fanami, jak i profesjonalistami. Również większość z cas - zebranych tutaj zawodowców - jest fanami, uczestniczymy w spotkaniach, w życiu fandomu.

„F”: Jak Pan myśli - czy istnieje możliwość, aby wszystkie lub niektóre z tych najróżniejszych organizacji, ze wymienię tylko najważniejsze WSF, European SF Society, SF Writers oł America lub też coroczne spotkania Worldcon - połączyły się kiedyś w jedną wspólnotę?

SL: Nie, nie wydaje mi się to możliwe. Moje doświadczenie w tym względzie podpowiada rrii, że będzie raczej odwrotnie - niektóre z tych organizacji rozpadną się na mniejsze i w sumie ich liczba jeszcze wzrośnie. Ludzie mają raczej tendencję do zrzeszania się w małych, niezależnych grupach, w których mogą robić to, na co mają ochotę. SF Writers of America w ogóle nie należałoby tu liczyć, gdyż jest to organizacja czysto amerykańska, będąca związkiem zawodowym pisarzy w klasycznym sensie.

„F”: Przyjmują jednak członków, pochodzących z innych krajów - np. Pan należy do SFWoA.

SL: Tak, ale warunkiem jest wydanie książek w Stanach. Skupiają się więc w nim wyłącznie pisarze tworzący dla USA. Jest to zresztą jedną z przyczyn, dla których zorganizowaliśmy WSF. To: czym my chcemy się zajmować jest zupełnie różne od celów SFWoA. Oni są po to, by bronić amerykańskich pisarzy przed amerykańskimi wydawcami, natomiast WSF zabiega o międzynarodowe współdziałanie pisarzy. Tzw, Worldcon jest również pomysłem amerykańskim i jest tylko corocznym spotkaniem grupy fanów amerykańskich. Jest to oczywiście największe tego typu spotkanie, ale nie jest międzynarodowe.

Mówi
Sam Lundwall
sekretarz
World SF

„Nie sądzę, aby istniała potrzeba mieszania amatorów i profesjonalistów w WSF...”

„F”: Jednak te wszystkie organizacje są chyba w jakiś sposób połączone. Choćby przez fakt, ze często te same osoby należą równocześnie do kilku z nich. Np. D. A. Wollheim jest związany zarówno z WSF jak i z organizacjami amerykańskimi. Stwarza to chyba szczególnie korzystną sytuację piszącym dla niego pisarzom, gdyż jest on lepiej zorientowany, ma większe możliwości promocji swoich autorów niż wydawcy nastawieni wyłącznie na zarabianie pieniędzy SL: Wszyscy chcą zarabiać pieniądze. „F”: No tak, ale myślę, że DAW ma jeszcze inne cele poza tym.

SL: Na pewno. Inni również. Jednak do różnych organizacji wstępuje się z różnych powodów. Ja na przykład jestem członkiem Związku Pisarzy Szwedzkich oraz jestem członkiem SFWoA. Obie te instytucje to rodzaj związków zawodowych, robią tedy co innego... WSF, do którego również należę, zajmuje się czymś innym. Nie uważam, żeby wszystkich i wszystko wrzucać do jednego worka.

„F”: Porozmawiajmy trochę o polskiej obecności w WSF, szczególnie tej literackiej. Powiedział Pan, że jest w przygotowaniu międzynarodowa antologia. Czy znajdzie się w niej miejsce również dla polskich autorów?

SL: Tak, mam trochę materiałów pochodzących z .Polski.

„F”: Mógłby pan wymienić autorów?

SL: Nie, nie mogę o tym mówić przed sfinalizowaniem całości.

„F”: Chodzi tylko o to - czy te utwory zostały napisane przez Stanisława Lema czy przez innych autorów?

SL: Mogę tylko powiedzieć, że staramy się uzyskać z każdego z tych 24 krajów utwory najlepsze. Polskie opowiadanie może być autorstwa kogokolwiek - St. Lema czy kogoś innego - pod warunkiem, że będzie to bardzo dobre opowiadanie.

„F”: Dla niektórych czytelników St. Lem jest szczytem, nie może być nikogo lepszego, ale inni - niemała ich liczba - woleliby już czytać jego następców.

SL: Myślę, że dobry pisarz zawsze zostanie doceniony. Jeśli ktoś jest lepszy niż Lem, to u nas znajdzie się jego opowiadanie. My nie szukamy nazwisk - szukamy utworów dobrych, oryginalnych opowiadań. Najlepszych. Z całą pewnością zdarzą się jakieś pomyłki, ale jeszcze za wcześnie o tym mówić.

„F”: Czy ma Pan dostateczną ilość materiałów z Polski?

SF: Nigdy nie ma dostatecznej ilości - zawsze chciałoby się mieć więcej. Wybór nie został jeszcze dokonany, więc chętnie widzielibyśmy jakieś dodatkowe utwory.

„F”: Czy stykał się Pan z polską SF, poza Lemem oczywiście?

SL: Tak, ale w dość ograniczonym zakresie ze względu na barierę językową - muszę poprzestawać na tym, co zostało przetłumaczone na znane mi języki, a nie było tego dużo. Czytałem „Robota” p. Snerga-Wiśniewskiego, który został dla mnie przetłumaczony na szwedzki. To dobra książka, podobała mi się. Poza tym wydałem w Szwecji „Homo divisus” Konrada Fiałkowskiego i kilka opowiadań. Wiem, że ostatnio dużo się w Polsce pisze i w miarę możliwości będę się starał czytać, zapoznawać z polską SF.

„F”: Dziękujemy za rozmowę.

Rozmowy przeprowadził

Jacek Rodek



WORLD SF
THE INTERNATIONAL SCIENCE FICTION ASSOCIATION OF PROFESSIONALS

Mówi Donald A. Wollheim znany amerykański wydawca SF

„Autorzy europejscy wyrośli na innej glebie, piszą inaczej...”

„F”: Czy na wstępie mógłby Pan polskiemu czytelnikowi powiedzieć kilka słów na temat swojego wydawnictwa?

DAW: - Publikujemy DAW Books. Ta nazwa jest znakiem firmowym wydawnictwa publikującego książki w masowych nakładach. Specjalizujemy się wyłącznie w science fiction i fantasy. Miesięcznie drukujemy cztery nowe książki i jedno lub dwa wznowienia starszych tytułów. Tego typu politykę prowadzimy z dużym sukcesem przez ostatnie dwanaście lat i jesteśmy bardzo dumni, że w tym okresie udało się nam odkryć kilku znakomitych nowych autorów. W tym C.J. Cherryh, która w zeszłym roku otrzymała Hugo Award za swoją wielką powieść „Downbellow Station”, czy takich pisarzy jak Tanith Lee, odkryta przez nas wspaniała autorka science fiction i fantasy, pochodząca z Wielkiej Brytanii, jak MA Foster, Joe Clayton i inni. Nasze książki były tłumaczone na wiele języków - utwory pani Cherryh ukazały się też w wielu krajach Europy a jej „Cassandra” została ostatnio wydrukowana jako krótkie opowiadanie w waszej „Fantastyce”. Sprzedaliśmy juz prawa autorskie do wielu krajów.

„F”: Właśnie, sprawa tłumaczeń. Autorów amerykańskich przekłada się na wiele języków i znani są na całym świecie. A jak to wygląda w relacji odwrotnej: tj. wydawanie zagranicznych autorów na rynku amerykańskim. Rozumiem, że wiążą się z tym pewne problemy, ale zaskakuje nas rażąco niski procent przekładów, czym to jest spowodowane?

DAW: Problem z tłumaczeniem na angielski książek napisanych w innych językach i wydawaniem ich w Stanach Zjednoczonych wiąże się przede wszystkim ze specyfiką USA jako kraju. Mamy tak dużą liczbę pisarzy, tworzących po angielsku, że nie ma wyraźnej potrzeby wydawania książek tłumaczonych z innych języków. Poza tym w odróżnieniu od Europy, której każdy mieszkaniec ma świadomość tego że jego naród jest otoczony innymi krajami, w których mówi się innymi językami, krajami posiadającymi własne kultury, Stany Zjednoczone są ogromnym jednolitym krajem, w którym każdy mówi po angielsku. A mniejszości innojęzyczne nie odgrywają bardzo dużej roli. W związku z tym dla amerykańskiego wydawcy zrobienie przekładu wiąże się przede wszystkim z ustaleniem czy proponowana książka jest na tym samym poziomie, co materiał, który otrzymuje od rodzimych autorów. Poza tym jest nieomal regułą, że wydawcy nie znają języków obcych. Nie chcemy też publikować zbyt dużej ilości przekładów ze względu na rodzaj konkurencji między amerykańskimi i nieamerykańskimi pisarzami. Tak więc ilość tłumaczonych prac jest u nas naprawdę mała.

„F”: Więc polscy pisarze są u was bez szans?

DAW: Jak na razie jedynym polskim pisarzem, którego wydawano w Stanach Zjednoczonych był oczywiście Stanisław Lem. Ale nawet jego książki nie ukazywały się w dużych, paperbackowych nakładach. Zwykle byty to wydania twardookładkowe, bardzo drogie i posiadające stosunkowo niewielkie nakłady. Lem cieszy się popularnością wśród intelektualistów i jego książki się recenzuje. Natomiast wydania masowe wymagają powszechnej akceptacji, zrozumienia i powinny być sprzedawane w ilości 30—100 tys. egz. a Lem się tak nie sprzedaje. Problemem jest także i to, że autorzy europejscy wyrośli na innej glebie, piszą inaczej. Ich punkt widzenia jest inny. Maią inne poczucie humoru. Lema pod wieloma względami nie w pełni się u nas rozumie. Nawet znakomicie przetłumaczony bywa niedoceniany. .Odnosi się to również do autorów niemieckich, francuskich czy innych nie angielskich. Te wszystkie trudności powodują, że w USA ukazuje się tak mało literatury przekładowej.

„F”: Czy mógłby Pan powiedzieć o najchętniej czytanym obecnie w USA rodzaju fantastyki. Jest ich przynajmniej kilkanaście.

DAW: Trudno to jednoznacznie określić. Niewątpliwie nastąpił ostatnio duży wzrost popularności fantasy, ale jako odrębnego gatunku, niezależnego od SF. Tak jest. W tej chwili bardzo wielu zwolenników tego typu książek nie czyta „zupełnie science fiction, a nawet jej nie lubi. Co do science fiction, jak już powiedziałem, trudno jest określić, który z jej rodzajów jest najbardziej popularny. Większość utworów jakie powstają to ‘ historie przygodowe, lub próbujące jakichś ekstrapolacji społecznych, dziejące się w „przyszłości międzygwiezdnej”, pośród różnych społeczeństw. Tematem dość często poławiającym się w powieściach, zwykle w formie historii przygodowej, jest powrót świata do poziomu barbarzyńskiego, co spowodowane zostało katastrofą nuklearną. Pozostają małe, izolowane grupy, które zaczynają budować cywilizację na nowo, od początku. Te książki mające zwykle fabułę przygodową z jakimiś Mongołami, nomadami, czy Indianami, atakującymi wszystko wokół w kompletnie zdewastowanym i zmutowanym świecie, są pisane z głęboko pacyfistycznych pozycji. U nas zresztą właściwie nie ma kwestii popularności rodzajów gatunku SF. Dużą rolę natomiast odgrywa popularność samego autora. Wydawcy publikują, często jakąś książkę tylko dlatego, że jest napisana przez popularnego autora, bez względu na jej wartość. Jeśli spojrzy pan na trzy zeszłoroczne bestsellery SF to znajdzie pan A.C. Clarke’a „2010 Odyssey Two”, która należy do hardcoer SF, Asimova z jego „Foundation”, Roberta Heineleina „Friday”.

„F”: Tak, to wielkie i zasłużone nazwiska w dorobku światowej SF, właściwie to już klasycy. Ale czy mógłby Pan powiedzieć kilka słów o jakimś młodym nie tak popularnym w świecie autorze, którego książki dopiero wchodzą na falę popularności, zdobywając sobie coraz większe rzesze wielbicieli?

DAW: Ciekawym zjawiskiem (chociaż nie należy do najmłodszych) jest Gene Wolf, napisał cykl czterech powieści, dziejących się w bardzo odległej przyszłości. Są to książki znakomite pod względem literackim, a wiele zawartych w nich wizji jest tak fantastycznych, że niemal trudnych do zrozumienia. Książki te cieszą się dużą popularnością. Sądzę jednak, że te utwory tkwią w kręgu SF, mimo że wydają się ubrane w szaty fantasy. Jednak wszystko w nich daje się w końcu wyjaśnić i zinterpretować.

„F”: Teraz o nieco innej sprawie. Chodzi o opinię wypowiedzianą zresztą przez obywateli USA, że czytanie książek staje się zwyczajem zanikającym w pańskim kraju, ludzi bardziej interesują gry komputerowe, telewizja, filmy, a po książkę sięgają coraz rzadziej.

DAW: Tak, jest to sytuacja niewątpliwie godna pożałowania i rzeczywiście od dłuższego czasu obserwuje się tego typu tendencję. Jest na przykład grupa ludzi, których określamy mianem „Trackies” - od serialu telewizyjnego „Star Track” - „Gwiezdna wędrówka”. Przez długi czas wydawcy związani z SF zastanawiali £ię czy ci ludzie zdolni są stać się czytelnikami książek. Moim zdaniem, część z nich może tak, ale większość na pewno nie. Podobnie wygląda rzecz i z tymi co pasjonują się filmem „Gwiezdne wojny”, i dwoma dalszymi częściami tego obrazu. Książka, która napisana została według scenariusza „Return of the Jedi” - „Powrót Jedi” jest w chwili obecnej jednym z największych bestsellerów. Ale sądzę, że ci, którzy ją kupili nie czytają niczego poza nią z dziedziny SF. W gruncie rzeczy prawda jest taka, że nie tylko w USA większość ludzi nie czyta książek, i to nie tylko SF, ale w ogóle żadnych. Ktoś obliczył, że w Stanach, które są niewątpliwie krajem ludzi bardzo wykształconych, ciągle jedynie 2% mieszkańców posiada nawyk czytania książek. A przeciętnie jeden Amerykanin kupuje mniej niż jedną książkę rocznie. Tak jak pan powiedział ludzie oglądają telewizję, chodzą do kina, a nie można przecież czytać książki i jednocześnie oglądać telewizji, więc z tych dwóch możliwości wybierają łatwiejszą - oglądają telewizję.

„F”: Powróćmy na koniec do SF i poruszmy sprawę krytyki. Powiedział Pan na spotkaniu plenarnym, że krytycy, nie czytając SF, bardzo chętnie zabierają na jej temat głos. Chyba to odnosi się nie tylko do krytyków amerykańskich. Krytycy literatury „głównego nurtu” przyznają, że nie lubią, nie znają, i nie czytają SF, ale utrzymują równocześnie, że SF jest literaturą drugorzędną, w większości złą i porównują ją często z literaturą popularno-kryminalną. A nierzadko wyrażają opinię, że nie jest to w ogóle literatura.

DAW: Tak, u nas mamy podobną sytuację. Krytycy, jak to pan nazwał „głównego nurtu”, patrzą na SF jako na rodzaj taniej, młodzieżowej pisaniny. Jest to wynikiem ich snobizmu, a poza tym tego, że oni rzeczywiście nie czytają SF, odwracają się plecami do wszystkiego co jest oznaczone tą nazwą. Jest to ich sprawa, ludzie, którzy znają SF wiedzą, że jest to literatura i to czasem bardzo dobra. W historii angielskiej literatury są utwory, które weszły do klasyki i są powszechnie uznawane jako wielka literatura, a które mogłyby być z łatwością do SF zaliczane. Na przykład „Podróże Guliwera” ewidentnie należą do tego gatunku, oprócz tego, że są satyrą społeczną. Innym wielkim dziełem literackim, należącym do science fiction jest „Frankenstein” Mary Shelley. Można wrócić nawet do „Utopii” Thomasa More’a, która jest studium społecznym, ale należy do SF. Przykłady dałyby się mnożyć. W tamtych czasach literackie odkrywanie nieznanych krain było po prostu odpowiednikiem naszej science fiction. Tak więc w całej historii literatury pięknej „głównego nurtu” można znaleźć bardzo wiele prac o wczesnych elementach SF. Oddzielanie w tej chwili SF od innej literatury tylko dlatego, że posługuje się pewnymi schematami czy rekwizytami, jest nonsensem. Po pierwsze nie istnieje definicja pozwalająca oddzielać i segregować, a poza tym to w ogóle nie o to chodzi, nie to powinno być kryterium oceny.

„F”: Dziękujemy za rozmowę.

Biedny mały WOJOWNIKU!

Brian W. Aldiss

(Poor Little Warrior!)

Claude Ford wiedział bardzo dobrze jak to jest, kiedy poluje sie na brontozaura. Nie zachowując zbytniej ostrożności czołgasz się przez trawę pod wierzbami, przez szamponiaste błocko wśród prymitywnych kwiatów o płatkach tak zielonobrązowych jak boisko piłki nożnej. Twoim oczom ukazuje się rozwalona pośród trzcin kreatura. Jej cielsko ma w sobie tyle gracji co wór piachu. Leży tam, pozwalając grawitacji przygniatać się do miękkiej podściółki bagiennego bł6ta, w poszukiwaniu grubych kiełbaskowatych trzcin, zataczając wielkimi jak królicze nory nozdrzami zamaszyste półkola na stopę ponad trawami. To jest piękne: tutaj horror osiągnął swe szczyty, opisał pełne koło i w końcu znikł pod wpływem własnego ruchu. Oczy potwora błyszczą i mają w sobie tyle życia jak wielki palec u nogi siedmiodniowego trupa, a cuchnący kompostem oddech i szorstkie futro w jamach słuchowych są szczególnie godne polecenia każdemu, kto odczuwał kiedykolwiek skłonność do wyrażania się ciepło o tym dziele Matki Natury. Ale kiedy ty, mały ssak z przeciwstawnym palcem i ściskaną w swych bezbronnych łapkach, samopowtarzalną, półautomatyczną, dwulufową, sterowaną cyfrowo, nierdzewną, dużej mocy strzelbą kalibru 065 z celownikiem teleskopowym, skradasz sie ukradkiem pod osłoną prehistorycznych wierzb, to twą uwagę przyciąga przede wszystkim odór bijący od skóry jaszczura. Wydziela ona woń przenikającą do głębi jak basowa struna pianina i przez ten smród kojarzy ci się ze zmiętym arkuszem marszczonego papieru toaletowego. Jest szara jak morze wikingów, idiotycznie pofałdowana, głęboko, jak fundamenty katedry. Na jego grzbiecie gonitwa - widzisz je stąd! - to małe, brązowe wszy, zamieszkujące te szare ściany i kaniony - wesołe jak duszki, okrutne jak kraby. Gdyby jedna z nich skoczyła na ciebie, złamałaby ci pewnie kark. A kiedy jeden z tych pasożytów przestaje na chwile przebierać kończynami po jednym z kręgów bronta, dostrzegasz, że z kolei on dźwiga na sobie własną bandę amatorów łatwego życia - każdy wielki jak homar. Widzisz to, bo jesteś teraz blisko, oho, tak blisko, że słyszysz walenie prymitywnego serca potwora, słyszysz jak jego komora utrzymuje cudowny rytm z przedsionkiem. Czas na słuchanie wyroczni należy do przeszłości: przekroczyłeś już etap wróżb, teraz szykujesz się do zabijania. On albo ty. Przesąd ma dzisiaj swoje małe święto, od tej chwili tylko te twoje roztrzęsione nerwy, ten rozdygotany konglomerat mięśni, splątanych pod błyszczącym od potu pancerzem skóry w niemożliwe do rozsupłania węzły, ten cholerny pęd do zarżnięcia smoka odpowiedzą ci na wszystkie twe modlitwy. Mógłbyś teraz strzelać. Czekasz tylko, aż ta głowa, ten maleńki czerpak gigantycznej koparki, zatrzyma się jeszcze raz, by przełknąć ładunek sitowia. Wtedy jednym; nieopisanym wulgarnym hukiem będziesz mógł pokazać temu obojętnemu na wszystko jurajskiemu światu, że stoi oto i spogląda w dół na końcowy efekt działalności seksostrzałowca ewolucji. Wiesz czemu zwlekasz, nawet gdybyś wolał tego nie wiedzieć - to pracuje robak - stare sumienie - długie jak rzut baseballową piłką, długowieczne jak żółw, ślizga się, potworniejsze, od węża przez każdy swój zmysł. Mówi' przez namiętności, że masz przed sobą bezbronne stworzenie. Szepcze przez inteligencje że nuda - sep, który nigdy nie nażre się do syta - opanuje cie znowu po wykonaniu zadania. Drwi przez nerwy, że kiedy przestaną płynąć strumienie adrenaliny, zaczną się wymioty. Wmawia obłudnie - przez ośrodek mózgu sterujący pracą siatkówki oka - piękno tego widoku.
Oszczędźmy temu biednemu, staremu, oślizłemu błotołazowi słowa piękno. Matko Święta, czy to nie film przyrodniczy, czy się nie mylimy? Widzimy teraz, jak na grzbiecie potwora siedzi okrągły tuzin - ludzie, dajcie mi przekreślić te okrągłość - jaskrawo upierzonych ptaszysk. Mają wszystkie barwy, których znalezienia mógłbyś się spodziewać na cudownej, baśniowej Plaży Copacabana. Są tłuste, bo żywią się okruchami z pańskiego stołu. Teraz patrz na to cudowne ujecie! Patrz, jak ogon bronta unosi się w górę... spód niego wynurzają się wreszcie, och jakie to cudowne, pac, pac, dwie kopy siana. Ludzie, to faktycznie było piękne - bezpośrednia dostawa od konsumenta do konsumenta. Teraz ptaki fruwają nad tym. Hej, wy, wystarczy tego, żeby się zaokrąglić, a i tak już jesteście wystarczająco krągłe... I nie pozostaje teraz nic innego jak wskoczyć z powrotem na ten stary rumsztyk i czekać na następną rundę. I teraz, gdy słońce kryje się za widnokręgiem jurajskiego świata mówimy: „Dobrze im na takiej diecie..."
Nie, zwlekasz, a to twoja życiowa szansa. Zastrzelić bestie i usunąć ją z dręczącego cie koszmaru. Ujmując w dłonie swoją odwagę podnosisz ją do ramienia, mrużysz oko, celujesz. Straszliwy huk, jesteś na wpół ogłuszony. Rozglądasz się oszołomiony wokół. Potwór wciąż chrupie. Ulżył sobie, rozpętując wichurę, która rozkołysałaby statek Starożytnego Żeglarza.
Rozzłoszczony (a może to jakaś subtelniejsza emocja?) - wypadasz teraz z zarośli, stajesz naprzeciw niego, i taka odsłonięta pozycja jest typowa dla tarapatów, w które wciąż cie wpędza twoja troska o siebie i innych. Troska ? A może znów coś subtelniejszego? Dlaczego miałbyś być zdezorientowany tylko dlatego, że wywodzisz się ze zdezorientowanej cywilizacji? Ale nad tym będziesz się zastanawiał później, jeśli w ogóle będzie jakieś później, bo oto te dwa oddalone od siebie na odległość splunięcia ślepia skupiają się na tobie i w ich źrenicach widzisz odbicie całej swojej postaci. Dostrzegasz w nich wole walki. Nie samymi tylko szczekami, potworze, ale również ogromnymi kopytami i, jeśli ci to odpowiada, z potężnym rykiem! Niech śmierć będzie sagą.
W odległości ćwierci mili rozlega się odgłos, który mogłoby wydać stado hipopotamów, zrywających się gwałtownie na równe nogi z prehistorycznego błota. W następnej sekundzie nad twoją głową przelatuje ze świstem wielki, długi jak niedziela, gruby jak sobota ogon. Uskakujesz, bo musisz uskoczyć, ale bestia by cie nie trafiła, gdyż tak się składa, że koordynacja jej ruchów nie jest wcale lepsza od tej, jaką miałbyś ty, zamierzając się na małpiatkę Budynkiem Woolwortha. Zrobione. Wygląda na to, iż uznał, że spełnił swój obowiązek. Zapomina o tobie. Sam chciałbyś tak łatwo zapomnieć. To przecież powód, dla którego przybyłeś tu z tak daleka. Ucieknijcie od Tego Wszystkiego namawiała reklama podróży w czasie, co oznaczało dla ciebie ucieczkę od Claude Forda, męża tak próżnego jak jego nazwisko, i od jego straszliwej żony imieniem Maude. Maude i Claude Fordowie. Nie potrafiący przystosować się do siebie, nie potrafiący przystosować się jedno do drugiego albo do świata, w którym się urodzili. W takim świecie, jakim jest on obecnie, był to najlepszy powód do powrotu tutaj i zastrzelenia gigantycznego jaszczura - jeśli byłeś na tyle głupi, żeby sądzić, iż sto pięćdziesiąt milionów lat w każdą stronę zmieni w jakiś sposób poplątane myśli, kłębiące się w zwojach ludzkiego mózgu. Bierzesz się w garść i tłumisz te swoje głupie, ckliwe rozmyślania, ale w rzeczywistości nigdy nie przestały cie one dręczyć ani na chwile, poczynając od skąpanych w coca coli dni twojego do-

Brian Wilson ALDISS

urodzony w Norfolk w 1925 r. Podczas II wojny światowej walczył w Armii Brytyjskiej na Dalekim Wschodzie/Zadebiutował krótkim opowiadaniem SF „Crlminal Record" w 1954 r. w „Science Fantasy". W 1960 został przewodniczącym Brytyjskiego Związku Science Fiction. W latach 196164 publikował swoje utwory w wydawnictwie Penguin. W 1958 ukazała się jego powieść „Non Stop", w 1959 dwie - „Venguard from Alpha" i „Bow Down to Nuri", w 1961 „The Primal Urge", „Greybeard", w 1956 „Earthworks", w 1967 „An Ago", w 1968 „Probability A", w 1974 „Space Opara". Wiele jego krótkich opowiadań ukazało się w odrębnych zbiorach. W latach 1978-80 pełnił funkcje przewodniczącego Euroeonu, a obecnie jest przewodniczącym World SF.

rastania. - Boże, gdyby nie istniał wiek młodzieńczy koniecznie trzeba by go wynaleźć! Dochodzisz z wolna do siebie i spoglądasz znowu na kolosalne cielsko tego wegetarianina, w którego obecność zaangażowałeś się z taką mieszaniną chęci życia i śmierci, z wszystkimi emocjami, do jakich jest zdolny ludzki organizm. Tym razem straszydło jest realne, Claude, takie, jakim chciałeś, aby było i tym razem musisz stawić mu czoła zanim się odwróci i znowu stanie frontem do ciebie. Unosisz wiec ponownie strzelbę, tego wyrównywacza szans i szukasz czułego miejsca. Ptaki trzepoczą skrzydłami, wszy baraszkują jak szczeniaki, bronto porusza się i z chrapliwym stękaniem, wężowymi ruchami szyi zanurza w poszukiwaniu pożywienia swoją małą czaszkę w jasnożółtej wodzie. Patrzysz na to nigdy przedtem, w całym swym roztrzęsionym życiu, nie byłeś tak roztrzęsiony i liczysz, że to katharsis wyciśnie na zawsze ostatnią krople kwaśnego strachu z twojego organizmu. O.K. - powtarzasz sobie nieprzytomnie w kółko, twój milion dolarów, twoje dwudziestodrugowieczne wykształcenie - tutaj to na nic. O.K. O.K. I kiedy powtarzasz to po raz enty z rzędu, ten szalony łeb wynurza sie spod wody niczym wycofujący się ekspres i spogląda w twoim kierunku.

Pasie się w twoim kierunku. Kiedy te żujące szczeki z tępymi, wielkimi jak betonowe słupy zębami trzonowymi poruszają się w górę i w dół, widzisz strugi bagiennej wody spływające z



bezwargiej paszczy, rozbryzgującej się u twych stóp, zalewające ziemie. Trzciny i korzenie, łodygi i szypułki, liście i glina - wszystko to ukazuje sie i znika na przemian w tej żółtej gębie, a wśród nich szamoczące sie, rozpełzające lub rzucające plotki, maleńkie skorupiaki, żaby wszystko w tym okropnym ruchu pełnej paszczęki, przeznaczone do obrócenia się w ruch robaczkowy jelit. I gdy trwa to glum-glumglumkanie, sponad niego mierzą cie znowu odporne na działanie szlamu ślepia.

Te bestie żyją do dwustu lat - informuje reklama podróży w czasie - a ten tu okaz jest najwyraźniej tego dowodem, bo jego wzrok liczy sobie stulecia, wypełnione dekada po dekadzie tarzaniem się w ociężałej bezmyślności. Kojarzy ci się on z mętną, brudną kałużą wywołuje wstrząs psychiczny. Wypalasz z obu luf do własnego odbicia. Bach - bach: poszły dum-dumy.

Wiekowe latarnie zamglone i święte, gasną bez wahania. Te klasztory są zamknięte do dnia Sądu Ostatecznego. Twoje odbicie blaknie i wraz z krwią odpływa z nich na zawsze. Na ich zniszczone tafle z wolna, od dołu nasuwają się jak przykrywające zwłoki brudne całuny błony mrużne. Szczeki nie przestają przeżuwać powoli, tak powoli, jak opada głowa. Zimna gadzia posoka toruje sobie drogę po pomarszczonym policzku jak wyciskana z tubki pasta do zębów. Wszystko odbywa się powoli;, pełzająca jak kapanie wody powolność Drugiej Ery, i wiesz, że gdybyś to ty zajmował sie tworzeniem znalazłbyś na umieszczenie tego wszystkiego jakieś miejsce mniej ściskające za serce niż Czas.

Mniejsza z tym! Wychylcie do dna swoje puchary, panowie, Claude Ford zaszlachtował nieszkodliwe stworzenie. Niech żyje Claude Pazur!

Wstrzymując oddech patrzysz, jak łeb dotyka ziemi, jak ziemi dotyka wężowa szyja, jak szczeki zwierają się na dobre. Patrzysz i czekasz, że coś się jeszcze wydarzy, ale już nic się nie dzieje. Nic sie już nie stanie. Możesz tak stać i patrzeć sto pięćdziesiąt milionów^ lat, Lordzie Claude, i nic tu więcej nie zobaczysz. Potężny tułów twojego bronto zostanie stopniowo pięknie oczyszczony przez padlinożerców, utonie w mule zapadając się coraz głębiej pod własnym ciężarem. Potem podniesie się poziom wód i ze spokojem szulera rozdającego chłopakom znaczone karty rozleje się tu stary zdobywca - Morze. Na ten potężny grób opadać będą muły i osad powolny, padający wielki deszcz. Łoże starego bronto uniesie sie może z tuzin razy w górę i tyleż razy opadnie w dół, dosyć łagodnie, aby nie zakłócić mu wiecznego spoczynku, chociaż do tej pory skały osadowe otoczą go grubą skorupą. Kiedy wreszcie spocznie w grobowcu wspanialszym niż ten jakim chlubił się kiedykolwiek hinduski radża, ziemskie siły wyniosą go na swych barkach wysoko, aż ciągle śpiąc, legnie bronto w wysokich partiach Gór Skalistych, wysoko ponad poziomem wód Pacyfiku. Ale ty, Claude Mieczu, będziesz miał niewielki w tym udział, w czaszce stwora zdechł maleńki czerw życia i reszta cie już nie interesuje.

Jesteś teraz spokojny. Jesteś tylko odrobinę rozczarowany. Spodziewałeś się ryku albo dramatycznego upadku, od którego zadrży ziemia. Z drugiej strony jesteś zadowolony, że stwór zdawał się nie cierpieć. Jesteś sentymentalny jak wszyscy ludzie okrutni. Jesteś delikatny, jak wszyscy ludzie sentymentalni. Bierzesz strzelbę pod ramie i ruszasz suchym lądem wzdłuż boku brontozaura, aby nacieszyć oczy swoją wiktorią.

Mijasz niezgrabne kopyta, okrążasz lśniące septyczną bielą wzgórze brzucha, docierasz do błyszczącej, jakby prowokującej pieczary odbytu, wreszcie przystajesz za zadem, pod odrzuconym do tyłu ogonem. Twoje rozczarowanie jest teraz tak dosadne i oczywiste jak bilet wizytowy: gigant nie jest nawet w połowie tak duży, jak myślałeś. Nie jest, na przykład, w połowie tak wielki jak obraz ciebie i Maude, który nosisz w swej pamięci. Biedny, mały wojowniku, nauka nigdy nie wynajdzie niczego, co-sprowadzi tytaniczną śmierć, której pragniesz w najgłębszych zakamarkach swojego po partacku straszliwego id..

Nie pozostaje ci nic innego, jak tylko przemknąć się chyłkiem do swojego wehikułu czasu z brzuchem pełnym niedosytu. Patrz, jaskrawe, żywiące się nawozem ptaszyska skapowały już jak stoją sprawy. Jeden po drugim rozpościerają skrzydła i odlatują posępnie ponad grzęzawiskiem w poszukiwaniu innych gospodarzy. One wiedzą kiedy sprawy przybierają zły obrót i nie czekają, aż przepędzą je sepy. Nie ma już żadnej nadziei, wiedz o tym, ty, który tu stoisz. Ty też stąd odejdź.

Odwracasz się, ale nie odchodzisz. Nie pozostało nic innego, jak wracać, nic, ale A.D. 2181 jest nie tylko twoim czasem - to jest Maude. To jest Claude. To ten cały okropny, beznadziejny, nie kończący sie interes z usiłowaniem przystosowania się do zbyt skomplikowanego środowiska, z usiłowaniem przeobrażenia się w funkcjonujący bez zarzutu trybik. Twoja ucieczka od tego do Wielkiej Prostoty Jury - cytując znowu reklamę - była tylko ucieczką częściową. Teraz już się skończyła.

Stoisz wiec i wtedy coś ląduje brutalnie na twoich plecach, przewracając cie na brzuch i wgniatając ci twarz w grząskie błocko. Szamoczesz się i krzyczysz, a kleszcze homara drą ci kark i gardło. Usiłujesz unieść strzelbę, ale nie możesz, cierpiąc potworne męki przekręcasz się na plecy i w następnej sekundzie ten krabowaty stwór żeruje już na twej piersi. Wpijasz się w jego skorupę, ale on chichocze i odgryza ci palce. Zabijając bronta zapomniałeś, że opuszczą go jego pasożyty i że dla takiego karzełka jak ty będą one o wiele bardziej niebezpieczne niż ich gospodarz. Robisz najlepsze, co w tej sytuacji ci pozostało - wierzgasz nogami przez ostatnie trzy minuty. Po ich upływie masz już na sobie całe stado tych stworzeń. Już elegancko oczyszczają twój tułów. Spodoba cie się tam, na szczytach Gór Skalistych. Nic nie będziesz czuł.

Przełożył **Jacek Manicki**

Cienie

(Skuggor)

Sam Lundwall

Dziewczyna zawołała mnie, gdy schodziłem po schodach z gmachu Służby Prawdopodobieństwa. Miałem wówczas dwadzieścia lat i przed chwilą wróciłem z Wysokich. Spędziłem tam prawie dwa miesiące czasu subiektywnego, zamknięty w stalowej kabinie razem z dwoma inżynierami, których miałem już powyżej uszu. Dwa miesiące nie widziałem dziewczyny! A ta była całkiem przyjemna. Może nie jakaś nadzwyczajna piękność, ale w tym momencie każde stworzenie bez brody budziło we mnie określone emocje. Zatrzymałem sie- Dziesięć lat ode mnie starsza, sądząc ze zmarszczek wokół ust i oczu, długie falujące włosy, płaszcz niemal trzy numery za duży. Jeżeli chciała wzbudzić moje zainteresowanie, to jej się udało. Nie musiała się specjalnie starać - jak już powiedziałem, w tej chwili każda istota rodzaju żeńskiego budziła moje zainteresowanie niemal automatycznie.
- Czy to odznaka Służby? - spytała.
Głos zadrżał jej nerwowo, ale wtedy nie zwróciłem na to uwagi. Rzuciłem okiem na klapę kurtki, w którą wpięty był niebieskozielony znaczek. Bardzo niepozorny. Nikt go nie zauważa, a ona zauważyła. Wręcz pożerała go wzrokiem.
- Jasne - powiedziałem. - Następne pytania?
- Pracujesz... tam? - skinęła głową w stronę odrapanej fasady budynku.
- Jeśli można to nazwać pracą. Większość czasu siedzę i liczę muchy - spróbowałem ułożyć usta w oślepiający uśmiech, ale mi sie nie udało. - A o co chodzi?
Nie spuszczała oczu ze znaczka.
- Bywałeś... - zająknęła się - w Wysokich?
- Właśnie stamtąd zlazłem - rzuciłem. - Pół godziny temu siedziałem w stalowym pudle, nie mając zielonego pojęcia kiedy mnie wypuszczą. - Wzdrygnąłem się. - Wybacz, ale na mnie już czas. Po dwóch miesiącach spędzonych w Wysokich tutaj - skinąłem ręką w stronę budynku - robi się człowiekowi trochę duszno. Zacząłem schodzić ku placowi z głową wypełnioną meczącymi wspomnieniami. Patrzyłem przed siebie, daleko. Dziewczyna poszła za mną.
- To takie straszne? - spytała.
- Czasami.
Spojrzałem na nią - rozmawiała z moją odznaką. Interesowała ją bardziej niż ja.
- Wybacz - powiedziałem - ale mam za sobą kilka parszywych chwil i chciałem się jak najszybciej stąd wynieść.
Przez kilka minut szła obok mnie w milczeniu.
- To mnie interesuje - wymamrotała w końcu.
- A mnie nie. Mam dość na najbliższy czas.
Byłem umyślnie niegrzeczny - miałem ogromną ochotę wypić i zostać sam na sam z kobietą. Głównie dlatego, by uciec od Służby Prawdopodobieństwa i tego wszystkiego, co wypełzało z mojej podświadomości. Tu nie było miejsca na uprzejmości.
- Mam prośbę - powiedziała, patrząc prosto przed siebie.
Tak też przypuszczałem. Popatrzyłem na nią z góry, na jej nerwowe usta, na błądzące oczy.
- Długo czekasz? - spytałem.
- Długo.
- I ja trafiłem ci się zupełnie przypadkowo? Kiwnęła głową.
- Pracownicy Służby Prawdopodobieństwa rzadko wychodzą na ulice - wyjaśniłem. - Po pewnym czasie nie mogą znieść zewnętrznego świata. Żyją w budynku, jakby nic innego poza nim nie istniało. Nawet okien w nim nie ma. Większość nie chce mieć żadnych związków ze światem za murami.
- Nic dziwnego - powiedziała.
- A ty skąd to wiesz?
- Czasami technicy Służby przywożą z Wysokich różne rzeczy powiedziała. - Ciekawe jak to wszystko wygląda.
- Z Wysokich nikt niczego nie przywozi - powiedziałem nieco zdziwiony. - Nie dlatego, że to niemożliwe, bo to bardzo możliwe, ale wszyscy wiedzą czym to grozi. Po prostu nie wolno.
- Długo tam pracujesz? - spytała nieco pobłażliwym tonem.
- Trzy lata.
- To może wcześniej przywozili.
- Nigdy - powiedziałem. Zmieniła temat rozmowy:
- Dokąd teraz idziesz?
- Szukam miejsca, gdzie by można było coś wypić - wzruszyłem ramionami. - A potem zobaczymy.
- W takim razie zapraszam cie, skoro już się do ciebie przylepiłam - uśmiechnęła się nieoczekiwanie. - Porozmawiamy o czymś innym.
Weszliśmy do jakiejś restauracji, wypiliśmy i podjedliśmy tak, jak to sobie marzyłem przez te dwa miesiące. Dziewczyna była bardzo miła, kiedy trzeba uśmiechała się, kiedy trzeba - śmiała. Trzy butelki wina i dwa miesiące izolacji sprawiły, 4Ż w moich oczach stała sie najpierw czarująca, a potem jej urok wydał mi się nieodparty. Zacząłem robić aluzje do swojej wysokiej po-



zycji w Służbie. Jak można było przypuszczać dała się na to złapać.
Było to w pewnym stopniu dziwne, gdyż niewielu ludzi interesuje sie Służbą Prawdopodobieństwa, czy też badaniami, jakie się tam prowadzi. Ja sam zainteresowałem się tym dopiero wtedy, gdy zacząłem tam pracować. Przedtem obiło mi się tylko o uszy, że jest to jakaś instytucja państwowa, badająca linie Prawdopodobieństwa - diabli wiedzą co to jest! -1 że w tym wysokim, szkaradnym budynku pracuje, a także mieszka całe mrowie uczonych i personelu. Nie było w tym nawet ziarna tajemniczości. Komu są potrzebne jakieś „linie Prawdopodobieństwa”? Był to po prostu jeszcze jeden szkaradny budynek. Potem skoń-

czyłem szkołę, długo nie mogłem znaleźć pracy, dzwoniłem według książki telefonicznej do wszystkich instytucji, aż doszedłem do litery „S". Ale to było bardzo dawno.
Nie jestem uczonym, nie znam się na teoriach, związanych z badaniami linii Prawdopodobieństwa, nie rozumiem nawet tego, co na ten temat wiem. Ja tylko naciskam guziki i siedzę zamknięty w stalowym pudle, aż wyrasta mi broda, nerwy napinają się do ostateczności, a nocami zaczynają śnić się koszmary. W gruncie rzeczy to wcale nie jest takie straszne - jedziesz sobie w Wysokie, przyrządy zapisują konieczne dane i wracasz z powrotem. Zdarza sie oczywiście, że utkniesz w Wysokich na miesiąc albo dwa, ale to nie jest niebezpieczne. Stopniowo przyzwyczajasz się. A dokładniej przyuczasz się. Po kilku latach już nie możesz ścierpieć zewnętrznego świata. Dlatego budynek pozbawiony jest okien. W stalowych pudłach są monitory - na nich napatrzysz się do woli.
Siedzieliśmy w restauracji przy odgrodzonym stoliku, daleko od okna.
-W gruncie rzeczy ja nic dokładnie nie wiem - przyznałem się. To nie moja sprawa, od tego są naukowcy. My tylko wchodzimy do stalowych pudeł i jedziemy gdzieś w dół linii Prawdopodobieństwa. Ja nawet osobiście nie kieruje. Jadę, gdzie mnie poślą.
- Dlaczego to się nazywa Wysokie?
- A skąd ja mogę wiedzieć? Tak się nazywa, po prostu. My jedziemy w dół linii Prawdopodobieństwa, w wariant naszego świata, który nie istniał, albo w taki, który mógłby istnieć, gdyby coś kiedyś potoczyło się inaczej. A potem tam siedzimy i wszystko badamy.
- A konkretnie co?
- Nie wiem. Mierzymy wilgotność powietrza, szukamy śladów radioaktywności, prowadzimy obserwacje wizualne... - Mimo upału wystąpiła mi na ciele gęsia skórka. - Niektóre z tych prawdopodobnych światów są okropne, chce się o nich jak najszybciej zapomnieć. A inne... inne są całkiem niezłe.
- Lepsze niż ten - to było stwierdzenie, a nie pytanie.
- Niektóre dużo lepsze - w zamyśleniu pociągnąłem łyk wina.
- A co się stanie, jeśli się wyjdzie z kabiny? - spytała.
- Drzwi są zamknięte.
- A jeśli się je otworzy?
- Wydostaniesz się na zewnątrz.
- To znaczy, że jest to możliwe?
- Oczywiście, łatwe jak splunąć, tylko... - Ugryzłem się w język. Ja nic o tym nie wiem. Nikt nigdy nie próbował wychodzić, wiec nie ma o czym rozmawiać.
- Wiec ty tam po prostu siedzisz?
- O właśnie. Czasem kilka godzin, czasem kilka miesięcy. Zależnie od okoliczności. Nie wiem dlaczego, ale czasami można wrócić, kiedy chcesz, a czasami się to nie udaje.
- Mało to wszystko skomplikowane.
- Ale tak to wygląda. Linie Prawdopodobieństwa odkryto dopiero dziesięć lat temu i naukowcy nadal błądzą po omacku. W każdym razie mnie to nie dotyczy. Ja tylko naciskam guziki, doglądam instrumentów i to wszystko. Idziemy. - Wstałem. Poszliśmy do innego lokalu i jeszcze trochę wypiliśmy. Dziewczyna stała się bardziej niż nieodparta. Pragnąłem jej do bólu. Hamowane przez dwa miesiące młodzieńcze siły burzyły się teraz we mnie i rwały na zewnątrz. Byłem gotów zrobić wszystko, dosłownie wszystko, byleby tylko ją zdobyć. Siedzieliśmy w nocnym barze i ona spytała:
- A dlaczego nikt nie przywiózł niczego z Wysokich? Wzruszyłem ramionami, w myślach tuląc ją zapamiętale.
- A może kiedyś przywozili - ciągnęła. - Kiedyś, na samym początku badań,
- Może i tak - było mi wszystko jedno. - Wszyscy wiedzą czym to grozi, dlatego... - znów się ugryzłem w jeżyk. - Nikt nic o tym nie wie.
- O czym?
- O niczym.
Do diabła, gdybym nie był taki bojaźliwy, zostawiłbym ją w cholerę i znalazł sobie inną dziewczynę. Miałem pieniądze i ochotę. Przede wszystkim ochotę. Ale nie byłem odważny. A poza tym wydawało mi się, że skoro już tak długo jej wysłuchuje, to mam do niej prawo.
- Gdy zaczynali badać linie Prawdopodobieństwa, przeprowadzali dużo eksperymentów - powiedziała - i przywozili z Wysokich różne rzeczy.
- Jasne - powiedziałem. - Przywozili, a potem wyczuli czym to pachnie i szybciutko przestali przywozić. Skąd ja mogę o tym wiedzieć? Ja po prostu pracuje! - Rozzłościłem się. - Czy nie ma już innych tematów do rozmowy? Mam wolny dzień, do wszystkich diabłów!
- Przepraszam - powiedziała, patrząc w swoją filiżankę.
- Nieważne. - Poczułem się jak dureń. - Przepraszam, uniosłem sie, ale przez dwa miesiące siedziałem w zamknięciu w stalowej kabinie i gapiłem się na jedną i te samą scenę na telemonitorach, na dodatek nie wiedząc kiedy będziemy mogli wrócić. Teraz chce zapomnieć.
Patrzyła prosto przed siebie, oczy kryły się w cieniu.
- Wyobraź sobie, że utknęłaś tam i nie możesz wrócić. Przygryzła wargę.
- Przepraszam - powtórzyła.
- No co ty! - Objąłem ją w talii. Stężała, a potem rozluźniła się i nawet posłała mi uśmiech. - Idziemy.
- Dokąd?
- Do mojej nory. Tam porozmawiamy.
- Do budynku Służby?
- No nie, do tego to ja jeszcze nie doszedłem. Mam mieszkanie kilka ulic od Służby. Ciche i spokojne.
- No dobrze - powiedziała po długim namyśle.
Wstała i wyszła na ulice. Poszedłem za nią w ciemnościach, objąłem, przyciągnąłem ku sobie. Szła sztywnym krokiem, patrząc prosto przed siebie.
- Na pewno myślisz, że jestem stuknięta - powiedziała. - Mówię tylko o twojej pracy. Masz mnie dość?
- Ani trochę - odpowiedziałem.
Moje palce wpijały się w talie dziewczyny, jej ciepłe ciało nęciło, dotykając mnie przy każdym kroku. Zapierało mi dech w piersiach. Przyszliśmy do mnie. Pokoik prawie nie umeblowany, jedynie łóżko. Szczelne zasłony na oknach. Obrzuciła to wszystko szybkim spojrzeniem.
- Ciasnawo - powiedziała.
- Niezbyt często tu bywam. Więcej mi nie potrzeba. Podeszła do okna.
- Nie rób tego! - powiedziałem ostro. Odwróciła się.
- Nie podoba ci się widok z okna? Usiadłem ciężko na skraju łóżka.
- Zostaw zasłony w spokoju - rozkazałem. - Posłuchaj, dwa miesiące siedziałem zamknięty na trzy spusty i patrzyłem na teleekrany, na których był plac przed Służbą Prawdopodobieństwa. Dokładnie taki sam, ten sam plac, tylko w innym Prawdopodobieństwie. Odbywały się na nim... kaźnie, w dzień i w nocy, rzeczy tak straszliwe, że nawet nie potrafiłabyś ich sobie wyobrazić. Gdy dzisiaj wyszedłem na plac ogarnęła mnie panika. Wiedziałem, że to inne Prawdopodobieństwo, ale gdy szliśmy przez ten plac wszystko we mnie, wyło ze strachu. Miasto mnie przeraża, za rok albo dwa w ogóle nie będę w stanie wyjść na ulice. Wiec bądź tak dobra i nie ruszaj zasłon, nie chce patrzeć w okno.
Podeszła i usiadła obok mnie.
- To jest takie okropne?
- Ty tego nie rozumiesz - powiedziałem. - Kto sam nie przeżył, ten nie zrozumie. W większości wypadków miasto wygląda tak jak u nas, z niewielkimi tylko różnicami. Na przykład ludzie są

Sam LUNDWALL

ur. w 1941 roku. Jedna z głównych postaci szwedzkie) SF. pisarz, krytyk, tłumacz, wydawca, producent TV, kompozytor muzyki folk. Obecnie pełni funkcję sekretarza World SF.
Na polu SF zadebiutował słuchowiskiem radiowym już w wieku 11 lat, zaś pierwsze opowiadania opublikował mając lat 15. Najbardziej znane książki Lundwalla to: „Visor i värtid" (1965). „Frän begynnelsen till vara dagar" (1969). „Inga Hjaltar har" (1972), „Uppdrag i Univerum" (1973), „Bernhards magiska sommar" (1974), „Alice, Alice" (1974). „King Kong blues" (1974). „Morkrets Furste" (1975).
W 1973 roku Lundwall założył swoje własne wydawnictwo „Delta", specjalizując się w science fiction i wydające około 25 pozycji rocznie. Jest także wydawcą jedynego szwedzkiego profesjonalnego magazynu SF „Jules Verne magazines". W roku 1974 ukazała się opracowana przez niego „Bibliografia science fiction i fantasy 1741-1973".
(J. R & Co).

inaczej ubrani, inne samochody. Czasem jednak ludzie również zachowują się inaczej, robią Bóg wie co. A zdarza się również tak, że miasta w ogóle nie ma, tylko lasy i łąki, raz widziałem tylko wodę, a jest taka linia, w której nie ma niczego, dosłownie niczego, oprócz jakiejś kłębiącej się mgły, która nawet na ekranie budzi śmiertelny strach. Rozumiesz? - mówiłem. - Skąd mogę wiedzieć, który świat jest rzeczywisty, a który nie? Każda z tych linii Prawdopodobieństwa jest równie realna jak ta, w której się w tej chwili znajdujemy i po pewnym czasie już nie wiesz, która z nich jest najbardziej rzeczywista, która jest twoja i w której z nich się znajdziesz, gdy wyjdziesz z kabiny. Wychodzisz i to jest tak, jakbyś trafiła do innej linii, a jeśli wracasz z jakiegoś przyjemnego Prawdopodobieństwa, to tutaj wszystko wydaje ci się nie do zniesienia. Liczysz dni do następnej jazdy w Wysokie, gdyż już nie wiesz, gdzie jest rzeczywistość i wszystko cie przeraża i wszystko wydaje ci się nieznośne. Położyłem się i zamknąłem oczy. Dotknęła chłodną dłonią mego czoła.
- Nie wiedziałam - powiedziała.
- Nieważne - powiedziałem ponuro.
Przytuliła się do mego ramienia, miękka, pachnąca różami. Chwyciłem ją jak tonący i przyciągnąłem ku sobie. Szepnęła: „nie trzeba”, ale ja już nie słyszałem. Niemal natychmiast przestała się opierać.
Potem leżałem na plecach obok niej, próbując w ciemnościach znaleźć papierosy. Czułem się nieco senny i było mi trochę wstyd. Wyszła do łazienki, potem włączyła ekspres do kawy. Poruszała sie cicho, jak czarny cień w ciemnym pokoju.
- Jesteś na mnie zła? - spytałem.
Przyniosła kawę i usiadła na skraju łóżka, postawiwszy miedzy nami tace.
- Nie.
- Rozczarowana?
- Powinnam od razu zrozumieć. Dziesięć lat temu byłabym śmiertelnie przerażona, krzyczałabym i płakała. Ale teraz to już nie ma znaczenia - patrzyła na mnie, czy pobłyskiwały w ciemnym owalu twarzy. - Mógłbyś jednak rozegrać to bardziej subtelnie.
- Nasza praca odzwyczaja od liczenia się z drugim człowiekiem. Gdy dochodzisz do tego, że przestajesz odróżniać rzeczywistość od fantazji, uczucia innych ludzi są ostatnią rzeczą, o której chciałbyś myśleć.
- Wiem - powiedziała.
- Nic nie wiesz.
Łyknąłem kawy. Była mocna, gorzkawa i miała dziwny smak jaki? Sól? Skrzywiłem się.
- O Boże, a cóż to jest? Spojrzała na filiżankę.
- Przepraszam - powiedziała. - Zapomniałam.
Podeszła do ekspresu i wróciła z nową kawą, mocną i słodką.
- Ciągle jeszcze zapominam - powiedziała, podając mi filiżankę. Po tylu latach.
Upiłem łyk.
- Skąd jesteś?
- Nie znasz tego miejsca.
- A może znam?
- Niedaleko stąd - powiedziała. - Nie więcej niż kilometr.
- Ty się tutaj urodziłaś? Dziwne. Masz ciekawy akcent, nie wydaje mi się, abyś od dawna mieszkała tutaj, w mieście.
- Wtedy, gdy się urodziłam - powiedziała cicho - nie było tutaj miasta.
- Jasne. Miasto ma ponad pięćset lat. Sądząc z wyglądu jesteś niewiele młodsza.
- Byłam tutaj dziesięć lat temu - powiedziała - i miasta tu nie było.
Zdrętwiałem.
- Co ty wygadujesz?
- Była wioska - ciągnęła dalej - a kilka kilometrów stąd nieduży zamek. Żadnych samochodów, żadnych rakiet, czasem tylko statek powietrzny. Spokojna, wiejska okolica.
Poczułem, że serce obejmują mi lodowate dłonie.
- Jak w bajce - wymamrotałem.
- Ty nie rozumiesz - powiedziała zmęczonym tonem, jakby opowiadała to już niejednokrotnie i słowa same układały się w zdania.
- Przywieziono mnie stamtąd.
- Przestań - powiedziałem. - W jaki sposób?
- Sam wiesz. Stalowa kabina.
Podskoczyłem tak gwałtownie, że niemal rozlałem kawę.
- Ty chyba zwariowałaś! - krzyknąłem. - Nie wolno niczego przenosić z jednego Prawdopodobieństwa w drugie. To wykluczone!
- Wszyscy tak mówią - powiedziała cicho. - Czekam już dziesięć lat i wszyscy mówią, że to niemożliwe. Tak powiedzieli w Służbie Prawdopodobieństwa, wtedy, gdy mnie przywieźli i tak samo mówią teraz ci, którzy wychodzą z budynku. - Odwróciła się. - Dziesięć lat czekam koło budynku i wszyscy mówią to samo.
- Czego ty chcesz? - spytałem.
- Chce wrócić do domu.

Spędziła u mnie dwa dni. Po tej pierwszej rozmowie już niemal nie wspominała o swoich urojeniach, jednak ja niczego nie zapomniałem. Drugiego dnia poszedłem do bibliotekarza Służby i spytałem go. Odpowiedział zmieszany, że nic nie wie. Sprawdziłem sam i dowiedziałem się, że dla pracowników mojego szczebla potrzebne wideokasety są utajnione. Gdy wróciłem do domu, ona uśmiechnęła się ze zrozumieniem i na kawałku papieru napisała kod.
- Ten numer - powiedziała - dał mi jeden programista, mający dostęp do wszystkich tajnych materiałów. Uprzedził mnie jednak, że nie będę miała z tego żadnego pożytku. To jest kod mojego Prawdopodobieństwa.
- Ja ci nie mogę pomóc.
- Wiem - odpowiedziała. - Wiedziałam od samego początku, ale jednak miałam nadzieje. Teraz już nie mam, tylko czekam i czekam, może kiedyś się uda. Chociaż w gruncie rzeczy już w nic nie wierze.
- Jestem tylko technikiem - powiedziałem. - Naciskam guziki, jadę w Wysokie, doglądam przyrządów i gapie się na ekrany, to wszystko. Jestem tylko maleńkim trybikiem w maszynie.
- Wiem - powiedziała. - Wybacz, że zawracałam ci głowę. Następnego dnia zniknęła. Dwa tygodnie później rozmawiałem o niej z jednym z pracowników Służby.
- Oczywiście, spotykałem ją - potwierdził. - Wszyscy ją spotykali. Ciągle tkwi przy wejściu. Ona jest stuknięta, uważa, że dostała sie tutaj z innego Prawdopodobieństwa. Chce wrócić z powrotem, do siebie. Świat jest pełen wariatów. Nie zawracaj sobie nią głowy.
- Ona twierdzi, że od tamtego czasu minęło dziesięć lat - powiedziałem. - Wtedy badania dopiero się zaczynały i nikt nie wiedział czym grozi zabranie czegokolwiek z innego Prawdopodobieństwa. Teraz wiadomo. Może ktoś się sparzył.
Wzruszył ramionami.
- Może i tak. Jednak nawet jeśli jest to prawda, to dla niej droga powrotna nie istnieje.
Nie istnieje. Są jakieś równania matematyczne, które to wyjaśniają, ale ja nie jestem matematykiem. Wiem tylko, że gdy jesteśmy w Wysokich drzwi kabiny są zamknięte od zewnątrz. Pod żadnym pozorem nie wolno niczego stamtąd zabierać, ani nic tam zostawiać... Widocznie ktoś spróbował i doszedł do takiego wniosku.
Widywałem ją od czasu do czasu na schodach Służby Prawdopodobieństwa. Czekała, przygarbiona, wyzbyta nadziei, z nieruchomą twarzą. Z początku wielu młodych techników, mających kilka wolnych dni, zawierało z nią znajomość. Szła z każdym, kto gotów był jej wysłuchać. Potem przestała być taka zgodna i chętna i wszyscy przechodzili szybko obok, odwracając wzrok. Coraz rzadziej wychodziłem na zewnątrz, bałem się miasta, życie za murami budynku przerażało mnie. Myślałem o Prawdopodobieństwach, tak pięknych lub tak dziwacznych czy strasznych, że trudno by je było sobie wyobrazić, widziałem na monitorach zmieniające się światy, tak realne lub nierealne, jak mój własny i zaczynałem się bać. Przeprowadziłem się do pozbawionego okien pokoju w budynku Służby. Przestałem wychodzić.
Wiele lat później przypadkowo znalazłem skrawek papieru z kodem jej linii Prawdopodobieństwa. W czasie jednej z wypraw wprowadziłem ten kod do komputera i pojechałem w Wysokie. Nachylony nad monitorem, patrzyłem w kłębiącą się mgłę. Do chwili, w której ją stąd zabrali był tu świat. Teraz nie było nic. Nic.

Przełożył **Darosław J. Toruń**

MIMIKRA

(The Bdimicry)

Donald A. Wollheim



Minęło zaledwie pięćset lat od czasu poznania pierwszej potowy świata i mniej niż dwa stulecia od czasu odkrycia ostatniego z kontynentów. Chemia i fizyka liczą się jako odrębne gałęzie nauki zaledwie od stulecia. Nauki lotnicze mają zaledwie czterdzieści lat. Poznawanie atomu dopiero się rozpoczęto. Nadal jeszcze uważamy jednak, że wiemy wiele. A wiemy albo mato, albo nic. Niektóre z najbardziej zdumiewających zjawisk są nam nie znane. Gdy dojdzie do ich odkrycia, wstrząśnie to ludzkością do głębi.

Badamy tajemnice odległych wysp Pacyfiku i lodowych pól zamarzniętej północy, ocierając się o nie czubkiem nosa każdego dnia. Tak już jest, że najbardziej proste rzeczy wydają się nam ogromnie skomplikowane.

Na zawsze utkwił w mej pamięci mężczyzna w czarnym płaszczu. Od dzieciństwa spotykałem go na ulicy. Jego ekscentryczność była tak powszechnie znana, że brano ją za coś zwykłego. Tu, w zatłoczonym Nowym Jorku, ekscentryzm i dziwactwa kwitną, nie zwracając niczyjej uwagi. Jako dzieci bawiliśmy się doskonale, dokuczając czarno ubranemu mężczyźnie, z odrazą odnoszącemu się do kobiet. Jak to zwykle robią dzieci, czekaliśmy okazji i gdy nas mijał, staraliśmy się go rozzłościć, ponieważ jednak całkowicie nas ignorował, przestaliśmy zwracać na niego uwagę, chociaż był nadal przedmiotem zainteresowania naszych rodziców. Widywaliśmy go wyłącznie dwa razy dziennie. Raz, wcześnie rano, gdy sześciostopowa postać pojawiała się pomiędzy domami, znajdującymi się przy końcu ulicy i znikała w porannych ciemnościach. Ponownie zjawiał się wieczorem, gdy wracał z pracy. Zawsze ubrany był w ten sam czarny płaszcz, sięgający mu do kostek. Nosił również czarny kapelusz o szerokim zasłaniającym twarz rondzie. Miał wygląd bohatera jakiejś straszliwej opowieści z dalekich krajów. Pomimo tego przerażającego wyglądu nigdy nie wyrządził nikomu nic złego, ani na nikogo nie zwrócił uwagi. Na nikogo, z wyjątkiem może kobiet.

Gdy któraś weszła mu w drogę, schodził na bok i przystawał. Można było dostrzec, że zamyka oczy i czeka aż go minie, a następnie otwiera je ponownie i idzie dalej, jak gdyby nic się nie stało. Nikt nie widział, by kiedykolwiek rozmawiał z kobietą. Zakupy robił raz w tygodniu, w sklepiku Antonia, ale tylko wtedy, gdy nie było tam innych klientów. Antonio opowiadał, że nie wyrzekł nigdy ani słowa, wskazywał tylko ręką rzeczy, jakie zamierzał kupić. Płacił za nie banknotami, wyjmowanymi z kieszeni ukrytej pod płaszczem.

Antonio nie darzył go sympatią, ale ponieważ nie miał z nim żadnych kłopotów uważał go za swojego stałego klienta. Myślę sobie teraz, że nikomu nie sprawiał kłopotu.

Zżyliśmy się z nim. Wyrośliśmy na tej samej ulicy i widywaliśmy go od czasu do czasu wędrującego ciemnymi przejściami pomiędzy naszymi domkami. Nigdy nie miał gości, ani nikt nie widział, by rozmawiał z kimkolwiek. Raz tylko było go słychać w całej okolicy, gdy budował coś w swoim pokoju. Było to kilka lat temu, przytaszczył kilka dużych metalowych arkuszy, jakąś blachę, chyba żelazną i przez kilka dni słychać było głośny stukot młota i mniej donośne popukiwania.

Ale był to jedyny przypadek, wykraczający poza normy jego zwykłego, codziennego postępowania. Do dziś nie wiadomo, gdzie pracował. Miał zawsze pieniądze i zawsze na czas płacąc dozorcy czynsz, był jednym z najsumienniejszych lokatorów. Jak to zwykle się dzieje w wielkich miastach, ludzie nie znają się nawzajem aż do śmierci, chyba, że przypadkowo zdarzy się coś niezwykłego.

Tymczasem wyrosłem, poszedłem na studia, a następnie zacząłem pracować jako kustosz w muzeum. Całymi dniami układałem chrząszcze i klasyfikowałem eksponaty - wypchane zwierzęta, zasuszone rośliny i setki różnych owadów.

Nauczyłem się rozumieć, że przyroda jest dziwna. Człowiek łatwo dochodzi do takich wniosków pracując w muzeum. Widzi się wtedy, jak natura opanowała do doskonałości sztukę kamuflażu. Owady żyjące na gałęziach upodabniają się do liści lub kory drzew. Natura jest zaskakująca i na swój sposób doskonała: w Ameryce Środkowej żyje ćma, która podobna jest do osy. Ma nawet fałszywe żądło z elastycznego włoska, który drga i skręca się dokładnie tak samo, jak żądło osy. Dzięki odpowiedniemu zabarwieniu jej miękkie ciało, nie osłonięte pancerzem osy, błyszczy tak samo. W dodatku odbywa ona swoje loty w dzień, podobnie jak osy, a nie nocą, jak inne ćmy. Nawet w ruchach przypomina osę. Można by rzec, że w jakiś sposób zgaduje, iż jej przetrwanie zależy od tego, jak dalece przypomina innym owadom śmiertelnie niebezpieczną osę.

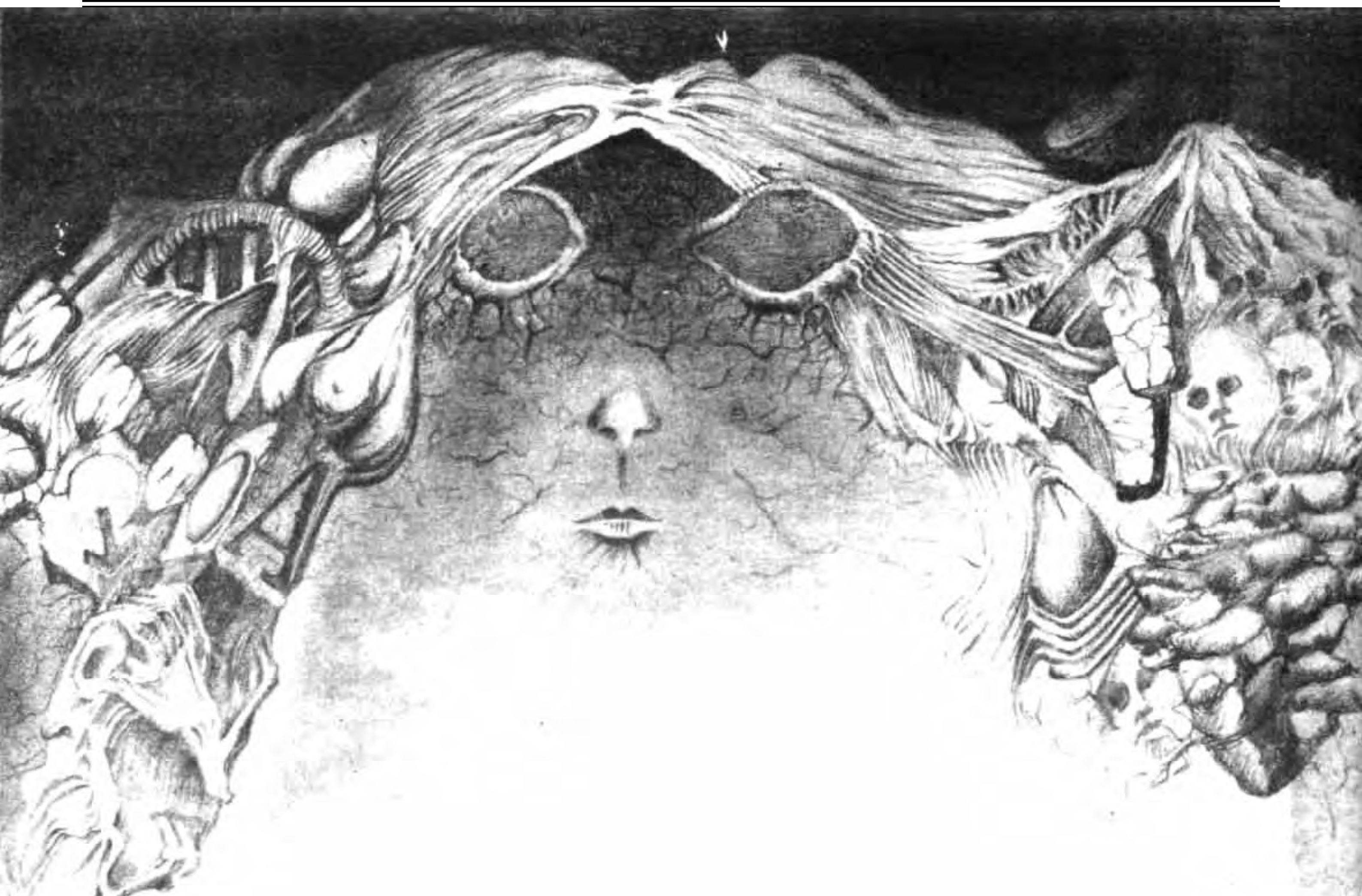
Dzięki „swej pracy dowiedziałem się również, iż istnieją armie mrówcze, pomiędzy którymi spotkać można i mrówkopodobne owady. Zespolone w kolumny mrówki maszerują tysiącami, przelewając się strumieniem ciał o długości kilkunastu jardów, zjadając wszystko, co napotkają na swej drodze. Cała dżun-

gla drży ze strachu przed nimi. Inne mrówki oraz osy, pszczoły, węże ptaki, jaszczurki, chrząszcze, a nawet ludzie albo uciekają, albo zostają pożarte. Ale w samym środku tej armii znalazło się też miejsce dla innych istot poza mrówkami, które natychmiast by je pożarły, gdyby były w stanie odróżnić je od swoich pobratymców. Rozpoznanie utrudnia doskonały kamuflaż. Niektóre chrząszcze upodobniają się do mrówek w sposób niemal doskonały, dzięki ubarwieniu przypominającemu mrówczy tułów i mrówczemu sposobowi poruszania naśladującemu mrówczy bieg. Jeden z chrząszczy, który jest bardzo długi, został przez naturę wyposażony w specjalne znaki na ciele, imitujące sylwetki trzech biegnących mrówek! Porusza się on przy tym tak szybko, że prawdziwe mrówki nie zwracają nigdy na niego uwagi. Zatem rzesze słabych istot usiłują się skryć, naśladując swych własnych, potencjalnych prześladowców. Człowiek jest największym mordercą i najsprawniejszym z łowców. Cały świat przyrody uznaje go za niezaprzeczalnego władcę. Potęga broni, przebiegłość w zastawianiu sideł, oraz siła i zręczność ludzkiego ramienia stawia go ponad całym światem zwierzęcym. Czy można wiec uważać, że przyroda traktuje ludzkość inaczej niż innych czołowych przedstawicieli świata zwierzęcego mrówki i osy?
Jak to zwykle bywa, ślepy przypadek sprawił, że byłem na ulicy o zmroku i od razu natknąłem się na dozorcę, który wybiegł z sąsiedniego domu z wołaniem o pomoc. Akurat tej nocy pracowałem nad przygotowaniem nowej wystawy.
Jedynymi świadkami tego wydarzenia byliśmy tylko my trzej dozorca, patrolujący swój rewir policjant i ja. Naszego zagadkowego nieznajomego znaleźliśmy w jednym z dwóch obskurnych pokoi, jakie wynajmował w tymże właśnie pobliskim domu. Kiedy już dobiegliśmy do dozorcy po wąskich, kołyszących się schodach, wyjaśnił nam, że zbudził go i przeraził głuchy odgłos i przeraźliwy krzyk dobiegający z mieszkania dziwaka. Wyszedł zatem do hallu, by zobaczyć co się dzieje. Gdy doszliśmy tam w trójkę nic już nie było słychać. Jedynie blade światło prześwitywało spod drzwi. Policjant zapukał ale nikt się nie odezwał. Przytknęliśmy głowy do drzwi. Słychać było jedynie ledwo słyszalny szelest. Powtarzający się szmer, podobny do dźwięku, jaki powstaje przy szeleszczeniu papieru. Policjant zastukał ponownie, ale znów nikt nie odpowiedział. Naparliśmy w trójkę na drzwi całą wagą naszych ciał. Dwa silne uderzenia i stary zamek puścił. Wpadliśmy do środka. Pokój był zaśmiecony, podłoga pokryta skrawkami podartych gazet. Uderzyło mnie, że pokój był nie umeblowany. W rogu stało metalowe pudło o powierzchni około czterech stóp. Zamocowane było śrubami i powiązane linami. U góry znajdował się otwór, zaklejony jakąś substancją, przypominającą wosk. Czarno ubrany mężczyzna leżał na środku pokoju - martwy. Nadal miał na sobie płaszcz, a wielki kapelusz z szerokim rondem leżał na podłodze obok niego. Ze środka pudła dobiegał przytłumiony hałas. . Pochyliliśmy się nad nieznajomym chcąc zdjąć mu płaszcz. W pierwszym momencie nie zauważyliśmy niczego nadzwyczajnego; przerażenie poczęło ogarniać nas od chwili gdy zauważyliśmy, że coś nie pasuje do obrazu przyjętego przez nas za normalny, do otaczającej nas rzeczywistości.
Włosy nieznajomego, krótkie i kręcone, koloru kasztanowego, stały pionowo na wysokość cala. Otwarte oczy były wpatrzone w jeden punkt. Pierwsze, co mnie uderzyło, to brak brwi, które zastępowała niesamowita kreska umieszczona powyżej oczu. Zaraz potem dostrzegłem również, że nie ma nosa. Nikt tego przedtem w ogóle nie zauważał, gdyż na miejscu gdzie zwykle znajduje się u normalnych ludzi nos, u niego widniały dwie ciemne plamy, które od biedy mogły przypominać nie rozwinięty nos. Lub nos doskonale przedstawiony na starym malowidle. Usta były na swoim miejscu, lekko otwarte lecz bezzębne. Głowa zwisała na cienkiej szyi. Ubranie nie było właściwie ubraniem. Stanowiło integralną cześć nieznajomego. Jego własną powłokę cielesną. To co uważaliśmy za płaszcz, było czarną pokrywą skrzydeł, jaką zwykle mają żuki. Miał odwłok jak każdy owad, tylko owa pokrywa nie pozwalała tego dostrzec. Uwypuklony odwłok przechodził na dole w dwie długie, cienkie, skierowane ku tyłowi kończyny.
Ramiona wychodziły z góry „płaszcza”. Druga para górnych kończyn przylegała ściśle do ciała na wysokości klatki piersiowej. Tuż nad nimi znajdowała się okrągła dziura, z której wypływała teraz wodnista ciecz.
Dozorca uciekł, wydając nieartykułowane dźwięki. Policjant trwał na posterunku, chociaż jego twarz przybrała nienaturalnie blady odcień. Słyszałem jak miedzy jednym, a drugim wdechem i wydechem mamrotał jedną po drugiej zdrowaśki. Niższą cześć odwłoka stanowił „żołądek”, długi jak u zwykłych owadów, pomarszczony, i przypominający kadłub rozbitego samolotu. Skojarzyłem ten widok z wyglądem samicy osy, która właśnie złożyła jaja. Sugestie potęgował wypróżniony odwłok.
Był to widok tak szokujący, że pozbawiał człowieka własnej woli. Z jednej strony umysł odrzucał to, co sugerowały zmysły, z drugiej zaś w podświadomości rósł nastrój grozy. Z pudła dochodziły wciąż jakieś hałasy. Przysunąłem się do bladego jak ściana policjanta i razem pochyliliśmy się nad pudłem. Policjant pałką strącił woskową pokrywę. Następnie zapierając się z całej siły oderwaliśmy wieko pudła.
Odrzuciła nas fala ohydnego fetoru. Cofnęliśmy się na tyle szybko, że nie wpadła na nas chmura skrzydlatych stworzeń umykających z żelaznego wiezienia. Okno było otwarte, wiec bezwiednie skierowały się w kierunku wschodzącego słońca. Musiały ich być całe tuziny. Miały dwa do trzech cali długości i podlatywały do góry na swych przeźroczystych, żółtych skrzydłach. Przypominały ludziki - przerażające przez swą umiejętność wznoszenia się w powietrze. Ubrane w czarne stroje, z twarzami bez wyrazu i kropkami imitującymi wodniste, niebieskie oczy. Wznosiły się w powietrze dzięki przeźroczystym skrzydłom ukrytym pod czarnymi pokrywami.
Podbiegłem zafascynowany, niemalże zahipnotyzowany do okna. Nie dotarło jeszcze do mnie, że jest to przerażające. Potem dostałem spazmów, zaraz potem jak zaczęło mi się to wszystko układać w logiczną całość, przekraczającą granice rozsądku i rozumienia. Wiadomo, że mrówki mają swoich naśladowców, ale nikt by nie przypuszczał, że i my możemy się znaleźć w analogicznej sytuacji. Owady pasożyty są mistrzami kamuflażu, ale żeby oszukać nie zwykłe zwierze, lecz samego władcę świata zwierząt - człowieka?!
Na dnie żelaznej skrzyni leżały jakieś kości. Nie potrafilibyśmy powiedzieć czyje, ale i nie zależało nam raczej na rozwiązaniu tej zagadki. Mogły to być równie dobrze kości ludzkie... To co brano za dziwaczny strach przed kobietami wynikało z czego; innego. Kobiety są bardziej spostrzegawcze niż mężczyźni. Mogłyby o wiele łatwiej odkryć, że podobieństwo do człowieka było tylko kamuflażem. Poza tym mogła dojść do tego instynktowna zazdrość. Nikomu nie znany dziwak udawał mężczyznę, lecz bezsprzecznie był rodzaju żeńskiego. Stworzenia znalezione w pudle były jego potomstwem.
Ewolucja wypełnia każdą pojawiającą się lukę swoimi tworami bez względu na to, jak nam wydaje się to nieprawdopodobne.
Był początek wschodu słońca i pierwsze promienie dopiero co zalśniły na szczytach domów.
Poruszony, wytężyłem wzrok z czwartego pietra czynszowej kamienicy usiłując wzrokiem objąć dachy niższych budynków. Oprócz mnie jedynymi świadkami przelotu małych okropieństw były kominy, ściany i puste sznury do bielizny. W chwili potem dojrzałem komin, odległy o jakieś 30 stóp, tuż za sąsiednim dachem. Wystawały z niego dwa czarne wyloty, które nagle zawibrowały, a czerwone cegły zdawały się rozsypywać i to tak intensywnie, że ich górna cześć, łącznie z wylotami komina, pokryła się kurzem.
Zobaczyłem też parę ogromnych oczu skierowanych ku górze. Wielkie, płaskoskrzydłe stworzenie odleciało cicho znad komina w stronę odlatujących chmarą stworzonek. Patrzyłem za nimi, aż zniknęły na niebie.

Przełożył **Ryszard P. Jasiński**

Donald A. WOLLHEIM

Urodzony w roku 1914 należy do generacji, która stworzyła ruch miłośników fantastyki naukowej, zwany po angielsku FAN DOMEM SCIENCE FICTION. W roku 1937 założył APA (Amateur Press Association), organizację zrzeszającą wydawców amatorskich pisemek science helion W roku 1943 wydaje „The Pocket Book of Science Fiction”, antologię amerykańskich opowiadań fantastyczno naukowych, która otworzyła nowy etap w rozwoju fantastyki. Miejsce tanich, ale niezbyt długo prosperujących magazynów i drogich książek science fiction zajęła tania książka kieszonkowa - pocket book. Zbiorek siał się bestsellerem, i Donald A Wollheim wydaje dwie następne antologie: „The Portable Novels of Science” (Viking 1945) i „The Avon Fantasy Reader” (1946) Lata siedemnaste charakteryzujedalszy wzrost poczytności taniej książki kieszonkowej. Nic dziwnego wiec że tak doświadczony edytor i Wydawca jak Donald Wollheim zajmuje w krótkim czasie po założeniu swojego wydawnictwa DAW BOOKS w roku 1971, czołowe miejsc na amerykańskim rynku wydawniczym.
Jego antologia WOLLHEIMS WORLD BEST SF, przemianowana od ryku 1973 na THE ANNUAL WORLD’8 BEST SF ANTHOLOGY uważana jest za jeden z najlepszych rocznych zbiorków opowiadań amerykańskich.



dolina Avallonu

(La Vallée d'Avallon)

Charles i Nathalie Henneberg

Marek Zalejski

Załącznik do akt w sprawie galaktycznych stosunków międzygatunkowych. Świadectwo doktora Sartory Shane (z Obsługi Satelitarnej)

Ściśle tajne

Trwała na powierzchni niektórych opustoszałych planet w Konstelacji Łabędzia. Przylepiała się do asteroidów, gdzie lądują statki pirackie. Była, o ile wierzyć analizom, czynnym związkiem, w skład którego wchodził tlen, azot (w formie białka), oczywiście wodór i kilka gazów nieznanych na Ziemi. W stanie aktywnym miała postać popielatej chmury, usianej diamentowym pyłem.
Ta bezkształtna rzecz żyła. Zgodnie z własnym rytmem i w sferze właściwych sobie doznań psychicznych, miała piekielną intuicje, a także poczucie piękna.
Wyłoniwszy się z Konstelacji Łabędzia, posuwała się ku jej krańcom, a kiedy napotykała na jakiejś planecie życie organiczne, zajmowała się nim - na swój sposób. Była jednocześnie żywa i przeraźliwie materialna - tak bardzo, że można ją było utrwalać na kliszach fotograficznych. Ponieważ jej wzór chemiczny był skomplikowany, nazywaliśmy ją po prostu Mgłą, a później Głosem. W końcu Les Olsen, chłopak oczytany, opowiedział mi o tych starych zapomnianych czarach: Dolinie Avallonu, w lesie Broceliande.
Pozwolę sobie teraz przejść do dowodów. Byłem wówczas lekarzem oddelegowanym na Deltę 6, małego sztucznego satelitę w pobliżu ziemi. Na jego powierzchni było tak mało miejsca, że mieszkałem na naszej planecie.
Pewnej nocy obudził mnie sygnał świetlny z Delty 6, domagający sie mego natychmiastowego przybycia. Wylądował na niej statek sterowany przez robota. Z niezwykłą załogą na pokładzie: pięciu martwych mężczyzn. Natychmiast zapytałem:
- Była bijatyka?
- Właśnie, że nie - odparł flegmatycznie komendant satelity - Ani żadnego uszkodzenia dysz, ani awarii zbiornika.
- A więc zatrucie koncentratami?
- Nie. Wyglądają bardzo spokojnie.
- Lecę.
Służbowa rakieta błyskawicznie przeniosła mnie na Deltę 6. Nie zauważyłem nic szczególnego: statek był małym pojazdem, typu handlowego, a ludzie - pięcioma wspaniałymi chłopakami.

Leżeli wyciągnięci spokojnie w hamakach, ze skrzyżowanymi ramionami i nawet zatroszczyli się o to, by wygładzić prześcieradła, które posłużyły im za całuny. Doznałem wrażenia, że zostali pokonani przez pochodną azotu - nieomal gaz rozweselający. Wiedzieli, że zaraz umrą, byli nawet z tego zadowoleni. Żaden nie zostawił listu.
Ponieważ od jakiegoś momentu śluza powietrzna była szeroko otwarta, nie mogłem ustalić właściwości atmosfery, ale komendant portu zapewnił mnie, że kiedy wchodzili do statku, było tam dosyć tlenu.
- A nawet, jak się zdaje, nieco za dużo - orzekł jego zastępca, spostrzegawczy młody człowiek. - I para wodna, która ulotniła się z lekkim sykiem.
- To właściwie nie był syk - sprostował komendant - to było... słowo daje, tak jak czajnik na maszynce. Coś ciepłego, co przyjemnie mruczy.
- Komendancie, pan jest poetą.
- W każdym razie, para czy nie, rozproszyła się w powietrzu. Stosunkowo mały szkielet statku został wysłany do odkażenia. Zbadano dokumenty pokładowe: pojazd nazywał się Odwaga X198. Jego ostatnią przystanią był nieznany asteroid na obrzeżu Konstelacji Łabędzia.
A zmarli?
To byli zwyczajni, zdrowi chłopcy, bez widocznych defektów. Ich śmierć była... niemal łagodna. I tyle o nich. Uderzyła mnie jedna rzecz: wszyscy mieli otwarte oczy. I ich tęczówki były szare, o skrzącym się, metalicznym połysku. Sprawa została nawet ochrzczona „przypadkiem zmarłych o szarych oczach". Ale może mieli takie od urodzenia? Zostali uśpieni, odurzeni mieszaniną zawierającą azot - „cząsteczką osobliwej atmosfery, przywleczonej z Konstelacji Łabędzia", rozstrzygnęła Komisja Kontroli, która nigdy nie oceniała sprawy tak trafnie, pominąwszy to, że ciała gazowe mają przykrą właściwość rozszerzania się i że należało wziąć pod uwagę, że ta cząsteczka pozostała nieściśliwa. I to nie jest trucizna. Nie. Podpisano protokół i wszyscy o tym zapomnieli.

Trzy dni później patrol przybyły na Deltę 6 zawiadomił nas, że w bazie wszyscy byli martwi - oprócz latarnika. I że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, znowu chodziło o gaz rozweselający.
Tym razem wprawiono w ruch olbrzymią machinę rządową. Przeanalizowano - trochę zbyt późno - powietrze na Delcie 6, aż do najmniejszej cząsteczki. Przeprowadzono sekcje zwłok spokojnych nieboszczyków o szarych oczach, którzy zdawali się uśmiechać. Oczywiście energicznie przebadano latarnika. Nic nie wiedział; przygotowywał się do egzaminów na pilota i wszedł na wieże, aby zaoszczędzić światła. A potem, siedząc na kręconych schodach, zasnął nad podręcznikiem algebry. Na Delcie 6 nic nie znaleziono. Nawet żadnej zmiany w siatkówkach szczęśliwych trupów. Ta szara iryzacja była po prostu utrwalonym refleksem - organizm ludzki zadziałał jak fotokomórka. Gdybyśmy mogli choć trochę uwolnić się od z góry przyjętych założeń, powinniśmy zrozumieć, że w ten sposób utrwalili obraz swojego mordercy. Całe nieszczęście polegało na tym, że szukaliśmy określonego kształtu: wzrok jest najbardziej wymagający ze wszystkich zmysłów.
Bądź co bądź ten pogrom na satelicie należał do tych, które mogą wywołać niepokój na Ziemi; ludzie mają jednak tendencje do zajmowania się wyłącznie drobnymi sprawami osobistymi. Działano tak, aby nic nie znalazło się w telegazetach, z trudnością też uniknięto nagabywań ze strony władz federalnych. Informacje cedzono kropla po kropli. Rodziny otrzymały kondolencyjne zawiadomienie: „Zginął na posterunku w przestworzach" i renty. Czy mam powiedzieć, że nie byłem zadowolony? Chodziło o coś innego. Osobiście, nie czułem się winny wobec tych zmarłych. W końcu zawód astronauty jest niebezpieczny. Ale są także spokojni, zwyczajni, przeciętni mieszkańcy Ziemi... Coś zbliżyło się i dwa razy zadało cios. Coś absolutnie niewidzialnego, nieuchwytnego i, jak można by sądzić na podstawie wyrazu twarzy ofiar, nawet dość przyjemnego...
Poleciłem na nowo zrobić analizy. Teraz już nie szukałem w zmarłych czegoś, co nie istniało przedtem, lecz przeciwnie tego, czego im brakowało. Idea mięsożernej istoty przywiezionej z głębi przestworzy nigdy nie była mi obca - dziwiłem się nawet, że aż do tej pory Ziemia uniknęła tego niebezpieczeństwa. W dawnych książkach futurystycznych nie zawsze, jak się uważa, zawierających tylko wizjonerskie ględzenie, taki przypadek jest dosyć częsty; „zorle" żywią się „id", a Shambleau, bardziej poetycznie - „siłą witalną"...
Analiza chemiczna przyniosła rozczarowanie: zmarłym z Delty 6 nic nie brakowało. Przeciwnie, powiedziałbym nawet, że byli w szczytowym okresie dojrzałości, wieku męskiego. Czy można to zrozumieć? Nie. Trudno jest, w tym niepewnym świecie, wyobrazić sobie, że można umrzeć, ponieważ osiągnęło się pewien stopień doskonałości - intensywność ekstazy...

Nie mam za wiele czasu, by śledzić informacje w dziennikach, czy słuchać audycji, a jednak byłem pewny, że Ona trafiła na Ziemie. Prawdopodobnie razem ze statkiem patrolowym lub handlowym. Mówiłem już, że miała piekielną intuicje; jakimś nieznanym zmysłem, w jednej chwili ogarnęła całe bogactwo kultury średniowiecznej i przystosowała się do niej. Mgła bagienna, radioaktywna chmura na planetach węglowych na Ziemi ucywilizowała się. Któż nie słyszał o tych zmarłych, o których plotkarki mówią: „Biedny, wydawało się, że się uśmiecha". ... Proszę zwrócić uwagę, że nawet plotkarki nie są pewne nie całkowicie. W tym uśmiechu jest coś niezwykłego, jakiś niepokój, gdzie zło i dobro mieszają się ze sobą. Nie chciałbym się nad tym zbytnio rozwodzić: w owym czasie miały miejsce trzy dość przerażające katastrofy, spowodowane cyklonami, wysoką falą lub aktami sabotażu. Cecha charakterystyczna: wszystkie ofiary uśmiechały się.
Dramatyczne wezwania na pomoc napływają zawsze nocą lub w tej sinobladej porze świtu, kiedy wydaje się, że wszelkie katastrofy są możliwe. Tym razem zostałem wezwany do Obsługi. Musze powiedzieć, że w owym czasie przesłałem do kogo należy krótki referat na temat „molekularnego życia w przestworzach". Przyjął mnie ni mniej ni więcej tylko sam Wielki Szef. Spodziewałem sie albo pochwał dla mojej rozprawy, albo - co było bardziej prawdopodobne - zarzutów siania paniki. Ale on tylko położył przede mną przerażające zestawienie:

Obóz młodzieżowy ZA 303			
	Zgony (samobójstwa lub przyczyny nieznane)	Zgony przypuszczalne	Rok 2290
Dzieci	17		Maj-
Dorośli	10		Czerwiec
Dzieci	23		Lipiec
Dorośli	8		
Dzieci		180	Sierpień
Dorośli		20	

- Cóż to za koszmar? - zapytałem.
Wielki Szef spojrzał na mnie, przeciągając po brzydkim, guzowatym i genialnym czole swą bardzo piękną dłonią chirurga.
- Tak - powiedział - to jest koszmar. Chodzi o Europejski Rezerwat Wakacyjny - powierzchnia przeciętnego stanu, najpiękniejszy krajobraz i idealne powietrze. Okręg nazywa się Dolina Avallonu. W lesie, w którym rosną sosny, eukaliptusy i tamaryszki zorganizowano miasteczka wychowawcze zarządzane przez wysoko kwalifikowanych instruktorów i obsługiwane przez roboty. Mam tu akta dzieciaków i wychowawców: wszyscy zaliczają się do najlepszej warstwy ludności zrównoważonej, zdrowej i bez defektów.
- Pierwsze zgony wywołały zamieszanie: podejrzewano epidemie, powrót starożytnych klęsk, wirusa - chociaż wszystko to już praktycznie na Ziemi nie istnieje. Odkażono miasteczka i poddano obserwacji osoby, które stykały się z ofiarami. Co zresztą było całkowicie nieskuteczne, ponieważ nie wiedziano, o jaką chorobę mogłoby chodzić i jaki był czas inkubacji. A poza tym, czy chodziło tylko o chorobę? Powiadomiono mnie zbyt późno... Zmarli mieli wygląd... łagodny. Grupa dzieci spędzających noc w lesie, na zakończenie wycieczki tańczyła wokół skautowskiego ogniska. Zmęczeni zasnęli i już się nie obudzili. Inni, razem z instruktorami, pływali w niezbyt głębokiej zatoczce: świadkowie, którzy byli na cyplu, twierdzą, że słyszeli śmiech i śpiewy, którym towarzyszyła gra na instrumencie. Oto zrobione przez nich zdjęcie: pomyślałby kto - rozradowane urwisy, po pas w wodzie, wyciągające ramiona ku słońcu... No i cóż, w minutę później utonęli, wszyscy...
- Wobec świadków?
- Tak. Ci rzucili się na pomoc, prawdopodobnie trochę za późno; myśleli, że to zabawa. Nikogo nie uratowano - to właśnie jest te 31 lipcowych zgonów.
Obejrzałem fotografie. Zauważyłem.
- Jest tu pewna nieprawidłowość.
- Prawda? Słońce i cienie skał wskazują porę południa. A przecież zatoczka jest osłonięta lekką mgłą. Ale uprzedzono mnie, że w tej okolicy jest to zjawisko normalne: poranne mgły zawieszone nad zatokami... W środowisku nauczycieli ciągle panuje silny niepokój. Obawiano się reakcji społeczeństwa, rozpaczy rodziców; powstała kwestia rozwiązania obozu. Wie pan, co

znaczą te wszystkie organizacje społeczne, główna oś, żywy ośrodek struktury naszego państwa... I to nie wszystko: żądano jeszcze wyjaśnień! Te dzieci, które utonęły w 50-centymetrowej wodzie - i ci dorośli, instruktorzy, wszyscy odpowiadający warunkom, wysportowani - co pociągnęło ich ku śmierci? Zbiorowy wylew? Porażenie słoneczne? Ale woda była ogrzana sztucznym prądem płynącym wzdłuż brzegów, a słońce łagodne. Dziennikarze mówili między sobą - ponieważ udaremniono przecieki informacji - o szlamie i o jakimś, pojawiającym się okresowo, wężu morskim... I właśnie w tej chwili wpadł mi w ręce... (przepraszający gest) pański referat, niesłusznie odrzucony przez sekretariat. Myślałem, że może chciałby pan wyrazić własną opinie.
- Owszem - powiedziałem otwarcie. - Ale najpierw chciałbym wiedzieć, dlaczego pisze pan w tym zestawieniu o samobójstwach?
Odpowiedział mi tak samo, jak zmarły komendant Delty 6:
- Widziałem ciała topielców. Byli tacy... tacy spokojni!
- I cóż z tego? Są takie gazy i środki usypiające, które przynoszą spokojną śmierć.
- Jedna z dziewczynek napisała na piasku: O śmierci, słodka śmierci... Dziesięcioletnia dziewczynka... Oczywiście, przypuszczenie jest potworne i nie będziemy tego mówić rodzicom: ale można by powiedzieć, że oni byli zadowoleni że umierają?!
- A grupa sierpniowa? Dlaczego: zgony przypuszczalne? W tym momencie zachmurzył się zupełnie.
- Dlatego - powiedział - że wiemy, że nie żyją, ale nie mogliśmy ich odnaleźć. Niech pan spojrzy na mapę: oto wybrzeże i Szczęśliwa Dolina. Te zabudowania to miasteczko Cicades, prawdziwa osada przyznana dzieciom w wieku od 6 do 15 lat. Przez pięć miesięcy wakacji mieszkają tu razem z instruktorami, bawią się, uprawiają sporty, pielęgnują ogrody i sady. Zapewniam pana, że kolonia jest wspaniała!
- 20 instruktorów na 180 wychowanków - czy to trochę nie za mało?
- Nie, jeśli się weźmie pod uwagę, że jest to wykwalifikowany personel składający się z higienistek dla dziewczynek, lekarzy, pedagogów i pielęgniarzy. Wszyscy są... byli, powinienem powiedzieć, niestety!... młodzi i energiczni i pomagała im starsza młodzież. Poza tym do prac fizycznych mieli roboty, prawda? W każdym razie wczoraj, w Święto Sadów, cały rezerwat miał się zgromadzić w centrum Gentianes, aby zaprezentować swoje plony; to są prawdziwe zjazdy rolnicze - miały być przyznawane medale: dzieciom bardzo na tym zależy. Otóż Cicades nie przysłało żadnej delegacji. Próbowano skontaktować się z nimi przez video: bez powodzenia. Ich stacje nadawcze również milczały. Wówczas rozwiązały sie jeżyki, opowiadano, że w ciągu ostatnich miesięcy wiele dzieci opuściło zawody sportowe, a te, które przyszły, miały „dziwny wygląd i ciągle się śmiały".
Przełożona instruktorów Gentianes (dzieci od 14 do 18 lat) utworzyła grupę poszukiwawczą i udała się w kierunku Cicades. Bogu niech będą dzięki: to kobieta inteligentna, i nie udało się jej.
- Dlaczego?
- Niech pan spojrzy na to zdjęcie. Zostało zrobione przez dziecko z grupy poszukiwawczej.
To była Szczęśliwa Dolina - i był to inny świat. Przed chwilą widziałem ją na mapie i na innych zdjęciach; tu było tylko mgliste podobieństwo w ukształtowaniu krajobrazu. Patrzyłem na obraz nie mogąc oderwać odeń oczu: góry były wyższe, bardziej spiczaste, podobne od księżycowych szczytów, wąwozy głębsze i bardziej tajemnicze. Staw ukryty wśród mchów rozlewał się w opałowe jezioro, rozświetlając pejzaż halucynacyjnym pięknem. Ale skąd się wzięły te migotliwe skały o płynnych konturach, te przedziwne sylwety z kryształu, które mogły być drzewami i te metaliczne liany, które najprawdopodobniej były pytonami? Puszysty wodospad zawieszony pod niebem fosforyzował przez bladą sieć gigantycznych nenufarów. Linia wzgórz była mizyką. Skrząca sie diamentowym pyłem, spowijająca wszystko mgła - zapachem. A wiec to było to, co widzieli w chwili śmierci, to było tym ostatecznym schronieniem, ziemią idealną - krainą, skąd się nie wraca nigdy!... Aby wyrwać się złowrogiemu czarowi, musiałem zakryć dłonią urzekający krajobraz.
- Ale to nie wszystko - nieco ochryple powiedział Wielki Szef. (On także musiał oglądać te fotografie - i to długo). Nie może pan zobaczyć przełożonej, umieszczono ją pod nadzorem: przyprowadziła swoją grupę, ale rozczochrana i z podbitymi oczami - ponieważ musiała się z nimi bić. Teraz trochę majaczy. Mówi, że w połowie drogi do Doliny zaczyna się słyszeć Głos. Świadkowie z zatoczki mówili o brzęczeniu albo o wibracjach akustycznych; w każdym razie chodziło o ostry dźwięk, powstający równolegle ze zmianami wizualnymi i misternie atakujący system nerwowy.
- I ten głos mówił, nie pozwalając odróżnić słów, lecz dosięgając jednocześnie wszystkich włókien nerwowych, całej istoty człowieka; szeptał i obiecywał niewysłowione, niewyrażalne rozkosze, raj dzieciństwa, niewinności i czystości. Dzieci chciały się weń pogrążyć... i wtedy biedna instruktorka wpadła na szczęśliwy pomysł; rozkazała chłopcom zatkać uszy, tak jak to zrobili żeglarze Odyseusza, dziewczynkom zamknąć oczy, ustawiła ich w szeregu i biegiem poprowadziła swą głuchą i ślepą trzódkę do owczarni, czyli do Gentianes. Przypuszczam - dorzucił ociężale - że te dzieci widziały i słyszały jedynie to, co mogły zobaczyć i usłyszeć, coś jakby nierealny ideał, i że kontakt z nimi był ograniczony. Ale boje się, że nigdy tego nie zapomną...
- A inni?
Gestem przechodzącym w tik odrzucił biały kosmyk, który widziałem u niego po raz pierwszy.
- No właśnie, inni. Nic o nich nie wiemy. Próbowało tam zejść jeszcze trzech instruktorów, każdy oddzielnie... żaden nie wrócił. Rozkazałem otoczyć Dolinę. To było 36 godzin temu.
- Mgła ciągle tam jest?
- To co my nazywamy mgłą? Tak.
Teraz już wiedziałem o tym zjawisku dosyć, aby działać. Wyniszczyłem Wielkiemu Szefowi swój plan, bardzo prosty. Być może, w jakimś stopniu, mieliśmy szanse, że Śmierć, nasycona, pijana ogromną młodą radością, tyloma niewinnymi istnieniami - wreszcie osiądzie w wąwozie. Mieliśmy szanse - jakże nikłą! - że ją zaskoczymy i pokonamy. Jaką bronią? Wówczas spostrzegłem, że Szef był bardziej poruszony niż mogłem sądzić: uporczywie wpatrywał się w swoje długie dłonie, brunatne, posłuszne, które przez tyle lat walczyły ze śmiercią i które teraz, po raz pierwszy, okazywały się bezużyteczne. Zrozumiałem, że dla chirurga i kardiologa Thierry Verde była to niewybaczalna porażka. Zrozumiałem to jeszcze lepiej, kiedy odmówił dowodzenia wyprawą.
- Pan jest lepiej zorientowany w tych sprawach niż ja, Sartory Shane - powiedział. -Jest pan młodszy. Odporność psychiczna ma swoje granice. Ja... - Na jego twarzy zarysował się żałosny uśmiech - w Cicades była moja córka, Ione. Ma... miała 15 lat.
No i proszę. Zostałem sam wobec zadania, które przekraczało ludzkie siły. Powierzył mi swoje laboratoria i współpracowników. Całą noc video przekazywały nam informacje, które mózgi elektronowe układały w serie. Wszyscy potwierdzali hipnotyczne właściwości krajobrazu i pozaziemskie pochodzenie zjawiska. Tylko że ja już to wiedziałem! O świcie, kiedy siedząc przed Androidem XXX99 i otoczeni stosem kart perforowanych piliśmy bardzo mocną kawę, Les Olsen, bakteriolog i mediwista, po raz setny oglądając zdjęcia, wyraził znaczącą opinie:
- To przypomina Dolinę Avallonu - powiedział. - Pamiętasz: Muzeum Starego Świata. XIII wiek Czwartorzędu, rycerstwo i tak dalej.
- Dolina...?
- Nie śmiej się, proszę cie. Średniowiecze było okresem wyrafinowanym i okrutnym, w którym ludzkość, zbyt słaba i zbyt wrażliwa, doświadczyła wszelkich możliwych ataków. Broniła się - jak mężczyzna! Daj mi jeszcze kawy... Był sobie las Broceliande - dokładniej, las sosnowy. Wchodzisz tam, widzisz fontannę ze szmaragdowymi schodami; na złotym łańcuchu wisi kubek. Pijesz z niego lub spryskujesz wodą kamienne płyty - i oto wybucha burza, podnosi się mgła, spoza mlecznych chmur wyłania się boski krajobraz; Dolina Avallonu. Ktokolwiek tam wchodzi, pada ofiarą magicznej siły i nigdy nie wraca. W ten sposób zniknęły setki istnień... Ale ta dolina nigdy nie istniała, dobrze o rym wiemy...
- Bardzo to poetyczne - powiedziałem. - Ale nie rozumiem...
- Był również ogród Klinasoru - trochę nieprzytomnie ciągnął Olsen - i miasto-państwo Ys, i niewidzialne miasto Kitsje. Ale tu legenda się komplikuje, niewidzialni mieszkańcy zaginionych miast być może żyją, słychać dzwony bijące w nieustannej harmonii, pod powierzchnią jeziora w Antiochii można zobaczyć białe pałace Antygonii... Nie, wróćmy do naszych magicznych miejsc i do sposobu ich zniszczenia...
- Rozumiem - powiedziałem, chwytając wreszcie jego myśl.

Charles i Nathalie HENNEBERG

Charles (1889-1959) i Nathalie Henneberg należą do klasyków francuskie) science fiction. Po śmierci męża Nathalie pisała nadal, stopniowo ewoluując od klasycznej SF w stronę fantastyki: oryginatnej francuskiej „heroic fantasy", Za najbardziej znaczące w ich twórczości uważa się: „La Nalaanca des dieux" (1954), „An premier, ere spatiale" (1959) i „La Piale" (1964), wydana kilka lat po śmierci Charlesa, lecz podpisana jako dzieło obojga małżonków. Prezentowane tu opowiadanie - prawdopodobnie jedno z ostatnich napisanych wspólnie - stanowi zręczne połączenie amerykańskiej „space opera" z żywymi w kulturze francuskiej tradycjami średniowiecznych opowieści rycerskich i całą mitologią tego okresu.

- U Ariosta Orland Szalony przewraca rząd kadzielnic przy zaczarowanym wejściu - opary rozwiewają się i czar znika. Gdzie indziej mowa o olśniewającym, iskrzącym Graalu, który rozprasza ciemności. W istocie, Graalowi przypisywano pochodzenie termojądrowe, kojarząc z tym promieniowanie gamma...
- To nie ma nic wspólnego z naszym przypadkiem - przerwałem Głos nawiedzał asteroidy nasycone uranem.
- Czy przyznasz wreszcie, że jest tu myśl praktyczna? Nie możemy walczyć z mgłą z celownikiem w reku! - Nie - powiedziałem, nagle coś sobie przypominając. - Olsen, myślę, że... Słuchaj: Na Delcie 6 jedynym człowiekiem, który pozostał przy życiu - i który zresztą spał - był latarnik, spędzający noc pod samym reflektorem. Popatrzyliśmy na siebie i Olsen powiedział:
- Przypuśćmy, że Graal był tylko elektronem...

Teraz należało to sprawdzić. Przy życiu pozostała jedna osoba, która widziała z bliska Wroga: przewieziono mnie śmigłowcem do wejścia do Rezerwatu, i tam spytałem o Annę Wynne, przełożoną instruktorów. Usłyszałem, że odpoczywa, a poza tym jest pomylona. Aby ujarzmić niezbyt miłą przełożoną pielęgniarek, musiałem użyć całego swego lekarskiego autorytetu. W końcu wprowadzono mnie do pomieszczenia w pastelowych kolorach, które musiało służyć jako pokój dziecinny. Zobaczyłem ciemnowłosą kobietę, ani brzydką, ani ładną, skrępowaną kaftanem bezpieczeństwa i biegającą od ściany do ściany. Zwróciła ku mnie nieprzytomną twarz.
- Miss Wynne - powiedziałem najłagodniej jak tylko umiałem jest pani jedyną w tej chwili istotą na Ziemi, która stanęła twarzą w twarz z niebezpieczeństwem, zagrażającym nam wszystkim, Myślę, że mogłaby pani oddać wielką przysługę ludzkości, ułatwiając nam zidentyfikowanie nieprzyjaciela...
Mogłem spodziewać się wszystkiego - z wyjątkiem tej odpowiedzi, podanej łagodnym głosem.:
- Jakiego nieprzyjaciela? O czym pan mówi, doktorze? Niechętnie zagłębiłem się w wyjaśnienia naukowe, ale przerwała mi znienacka:
- Pan mi mówi, że wszyscy ci ludzie nie żyją. Być może. Śmierć czekałaby ich i tak, i prawdopodobnie byłaby to śmierć odrażająca lub straszna: ze starości, z choroby gwiezdnej albo w konflikcie światowym, z przeżartymi kośćmi i wyniszczonym ciałem, w okropnych męczarniach. Tutaj, zgaśli w apogeum doskonałości fizycznej, po prostu - czy pan mnie rozumie? - dlatego, że ich uniesienie było zbyt intensywne, ich rozkosz zbyt przejmująca... dlatego, że w jakiejś chwili stanowili jedność z Dawcą. Oddali mu to, co w nich wzbudził, to co wzniósł na najwyższe szczyty: Radość. Tak, oni umarli z radości. Któż by nie pragnął podobnej śmierci?
To było więcej niż mógłbym żądać - to potwierdzało moje najstraszniejsze podejrzenia. A jednak wciąż nie znałem oblicza potwora, który, aby się wyżywić, doprowadza do tej przerażającej symbiozy. Ale Miss Wynne wybuchła:
- I pan chce, żebym go zdradziła? Dlatego, że jestem człowiekiem? Ależ to pan jest szalony! Poza tym niewygodnym ciałem i tą wrażliwością, która nie służy nikomu, chciałabym wiedzieć, co ja mam z człowieczeństwa - ciężkiego, tępego, ograniczonego! Niech pan mnie posłucha, doktorze Shane, ludzie mi nic nie dali! Nic! Całe życie zajmowałam się innymi - ich słabościami, ich niewiedzą, ich kompleksami: powierzono mi małą larwę, zawiązek, zabijałam sie, żeby ją okrzesać, i kiedy te dzieci stawały się w końcu inteligentnymi i zachwycającymi istotami ludzkimi, to wszystkie odchodziły! A ja zostawałam z pustymi rekami: byłam starym belfrem, nudną Miss Wynne! Uniosła ręce ku rozpalonej twarzy i dorzuciła jednym tchem (chyba nigdy nie odważyła się na takie wyznanie):
- Jedyną w moim życiu chwile zupełnego szczęścia przeżyłam tam na tej wąskiej ścieżce nad przepaścią, twarzą w twarz ze snem, który stał się rzeczywistością! To jemu zawdzięczam moją jedyną ekstazę, on jest moją jedyną nadzieją, jest wszystkim! Ci ludzie którzy mnie trzymają w zamknięciu, związaną, twierdzą, że oszalałam! A ja przeciwnie, widzę i czuje niezwykle jasno, Sartory Shane! Oddając im tych głupich malców, ponieważ to był mój obowiązek, oświadczyłam, że jedyne, czego chce, to wrócić do Doliny!
- Pani by już w tej chwili nie żyła - powiedziałem dość ostro.
- Tak. I co z tego? Czym jest to ponure i szare życie wobec jednej chwili naprawdę pięknej ? Wy nie wiecie, wy biedne ślimaczki, taplające się w tym waszym błocie - dorzuciła i jej nieprzyjemna twarz rozświetliła się - czym jest to uniesienie, ta wielka radość, która ogarnia, odrywa od pospolitości i przypadkowości naszej psychiki. Tam jest on! Jego fale cie przenikają, i jesteś już tylko jednością z nim i z kosmosem... Oto prawdziwe zespolenie!
- Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, Anno Wynne! Pani mówi o tej potworności... jak o kochanku! - Chciałem ją zgorszyć, wyrwać brutalnie z urojeń. Skutek był wprost przeciwny: na jej bezkrwiste wargi wypłynął uśmiech błogosławionej zmarłej.
- Tak - rzekła. - To mój kochanek. Która kobieta nie kocha swojego boga?
- A teraz znów bóg, ta bezkształtna rzecz!
- Och! - rzuciła, wzruszając ramionami - on może przyjąć taką formę, jaka mu się spodoba! Z początku, jak obłoki, przybierał jedynie kształty krajobrazów, miast... ale teraz już nie. Może sie stać złotym deszczem, łabędziem lub chmurą, albo pięknym jasnowłosym rycerzem, jak Tristan i Persiwal... Działajcie szybko, Ziemianie, on wam się wymyka!
Wobec tego pojąłem, że musze się spieszyć.

Pracowaliśmy jak potępieńcy. Les i ja w skafandrach, jak na planecie bez powietrza, z robotami do pomocy. Skrzące sie różowymi brylantami morze łagodnie falowało i kiedy rzuciłem tam spojrzenie - jedno jedyne - wydało mi się, że widzę rzeczy cudowne i nieokreślone, wiszące ogrody pełne perłowych azalii, baśniowe pałace i błyszczące mosty. Po przęsłach snuły się mgliste procesje i odwróciłem się, żeby nie widzieć czarodziejskich twarzy. Obaj zasłoniliśmy słuchawki, aby uniknąć przynajmniej muzyki. Z polecenia Szefa dostaliśmy gigantyczne urządzenia do oczyszczania powietrza - wentylatory mogące wywołać burze i reflektory bateryjne silne jak latarnia Delty. Les chciał użyć też dezintegratorów, ale nie zgodziłem sie: w Dolinie mogło pozostać jeszcze (nikła nadzieja) jakieś żyjące dziecko. Dziewczynka, która nazywa sie Ione Verde - lub inna. Bywały przecież cuda, prawda...? Jak opisać te ostatnie chwile? Odizolowani przez bariery magnetyczne, znajdowaliśmy się na skalnej półce, gdzie ustawiliśmy cały nasz sprzęt bojowy. Wiedząc, że w naszych rekach spoczywały niezliczone istnienia ludzkie, i być może nawet los Ziemi (bo czymże są wszelkie trucizny - opium, heroina, morfina - wobec sztucznego raju Doliny Avallonu?) byliśmy spięci i trochę rozgorączkowani. Les jest nieco starszy ode mnie (mam 28 lat), ale to ja, za wspólną zgodą, kierowałem akcją. Chcąc, aby nasze pierwsze natarcie było jak najskuteczniejsze, wybraliśmy najciemniejszą porę nocy. Mimo to jednak z trudem mogłem doczekać się mroku. Czy było to złudzenie optyczne? Zdawało mi się, że widzę wznoszący sie biały masyw przypływu. Biały? Nie, był teraz cudownie popielaty, lazurowy, opalizujący i rozpylający tysiące kolorów, oddychający jak coś niespokojnego i żywego.
Nie pełzał już po dnie wąwozu: jego fale zrównały się ze zboczem: wyrzucał macki ku szczytom, ku wierzchołkom sosen. W jednej chwili, ogarnięte zdradliwą pieszczotą, granit albo szorstka kora pokrywały się szronem, na każdej szpilce, na każdym źdźble zapalał się diament, i to było upojenie dla oczu. Polanka gdzie rosła szałwia była teraz lasem purpurowych stalaktytów. Droga nad urwiskiem zamieniła się w schody z opalu. Złapałem się na dziwnych myślach: Ziemia byłaby o wiele piękniejsza, gdyby, w miejsce drapaczy chmur, wszędzie wznosiły się kryształowe wieże, gdyby pośród tłumu pojawiły się istoty o zachwycających twarzach, nazywające się, jak niegdyś, Izolda, Wiwiana, Morgan... Zdając sobie sprawę ze swej słabości, machinalnie położyłem rękę na pierwszym reflektorze.
- Zostaw to - usłyszałem łagodny głos Olsena.
Odwróciłem się, spostrzegając natychmiast, że niezauważalnie zbliżyłem się do brzegu urwiska. Czar osłabł, poczułem zimny pot na skroniach: a wiec to jest właśnie to, myślałem, co czuje mucha przyciągana ku pajęczynie! Niewiele brakowało, a rzuciłbym się w te migotliwą otchłań! Ale Olsen... mój Boże, Olsen! Aby mu było wygodniej pracować, rozluźnił paski skafandra - był we władzy Głosu! Skutek był natychmiastowy i przerażający: skierował ku mnie swój celownik.
- Zostaw to - powtórzył, w dalszym ciągu przez głośnik. - Nie rozumiałem, że nie warto walczyć... to jest dla nas najpiękniejszy los... dla całej Ziemi. Znów stać się czystym jak dzieci... Wierzyć w baśnie... być częścią tego piękna... Wiec ty nie rozumiesz, że się nie umiera? Człowiek staje się nutą tej pieśni, albo kolorem. I to tworzy nieśmiertelną symfonie...
- Les - mówiłem pełen rozpaczy, wiedząc, że liczy się każda sekunda i każde słowo - byłeś dumny ze swej pracy - a to nie jest praca dla byle kogo. I masz matkę, która kocha ciebie, a nie symfonie czy gamę chromatyczną. Pomyśl o tym! Tak samo jest z innymi. Jesteśmy tu po to, żeby walczyć.
Nie odpowiadał. Przez wizjer skafandra widziałem jego nieruchome spojrzenie, które stawało się popielate. Czarny otwór celownika podniósł się na wysokość mojej twarzy. Jedyne co mogłem zrobić, to wydać krzyk - fałszywy ton, aby zakłócić fale dźwiękowe, i ten krzyk szczęśliwie na sekundę przerwał śmiertelną Pieśń. Zanim Les się zanurzył, tym razem świadomie, w otchłań rozkoszy, rzuciłem się na ziemie i uruchomiłem dźwignie. To był huragan i olśnienie. W Szczęśliwą Dolinę spadły cudownie zsynchronizowane wiązki światła i trąby powietrzne, rozerwały ogromny pęcherz mgły, rozszarpały, spaliły. Z niemal

chorobliwą satysfakcją patrzyłem, jak wielkie srebrne gwiazdy energii elektrycznej zapalały całe płaty tej żyjącej masy, która zwijała się, czerniała, krzyczała...
Pośród świstu sztucznego huraganu, mocno uczepiony dźwigni mogłem rzucić w tył tylko jedno spojrzenie: Olsen upadł, zemdlony czy martwy? Jego broń potoczyła się pod kamienie. Kiedy tylko, na jedną sekundę, burza przycichła, zająłem się przede wszystkim penetrowaniem reflektorem jaskiń. Spostrzegłem, że wywołane przez nas zakłócenia atmosferyczne rozpętały prawdziwą nawałnice: czarne niebo rozdzierały oślepiające zygzaki, od zboczy odskakiwały fioletowe kule piorunów. Zgubiłem hełm skafandra i nie mogąc się osłonić, słyszałem najcichszy jęk Potwora wydanego na bombardowanie elektronów. Potem spadł deszcz, również przesycony elektrycznością, chrzęszcząc w gałęziach, odgradzając wąwóz gęstą zasłoną. Ten potop porywał strzępy przyczepione do zarośli i, jak się spodziewałem, ostatecznie odkaził Ziemie. Mogłem wreszcie zostawić sprzęt i po śliskiej skale przyczołgać się do Olsena. Stracił przytomność, ale oddychał. Zatamowałem krew i opatrzyłem ranę na karku, potem wyciągnąłem podręczną apteczkę i zrobiłem mu kilka zastrzyków. Przyszedł do siebie i słabo ścisnął mnie za rękę.
- Posłuchaj, Les - powiedziałem. - Mam wrażenie, że walka sie skończyła i nieprzyjaciel już nie istnieje. Zostawiam cie tutaj, na tej skale i zawiadomię przez głośnik najbliższą wioskę; mam nadzieje, że zaraz po ciebie przyjdą.
- A ty? - wyszeptał.
- Ja musze zejść na dół.
- Sart!
- Stary, tam mogą być jeszcze jakieś żywe dzieciaki, chociaż w to wątpię. Ty przecież przeżyłeś, co? A ja jestem lekarzem.
Nie rozmawialiśmy już więcej; przywiązałem się do liny i zszedłem ze szczytu, prosto w Szczęśliwą Dolinę. Wszystko tu obumarło, ruina była kompletna. Do tej pory widzieliśmy jedynie trupy niedawno zmarłych. Teraz znajdowałem tylko metaliczne szkielety, jakieś dziwne przedmioty podobne do korali i owady, rozsypujące się w proch przy pierwszym dotknięciu. Ale w grocie nad wioską, położoną w połowie zbocza, na tyle wysoko, że przynajmniej przez kilka dni mgła do niej nie docierała miałem szanse znalezienia jakiejś żywej istoty. Ciągle lało, chociaż na powierzchni stawu, wśród lśnień straszliwych metalowych szkieletów, kule błyskawic pojawiały się coraz rzadziej. Szedłem otoczony nierealnym krajobrazem, brodząc w wodzie i po kolana grzęznąc w błocie, każdy krok przypłacając obłędnym wysiłkiem. Przez jedną chwile zawahałem sie: czy naprawdę musze wspinać się do tej groty? Była zbyt wysoko, aby jakieś dziecko mogło do niej dotrzeć. W końcu jednak wszedłem na górę i kolistym ruchem zacząłem wodzić po czarnych ścianach światłem elektrycznej latarki. Coś poruszyło się w głębi, usłyszałem słaby krzyk - krzyk człowieka (co za rozkosz usłyszeć coś, co pochodzi z prawdziwych strun głosowych)!...
- Zgaście to światło! Och! Oczy mnie bolą! - krzyknął cień. Posuwałem się po omacku, z wyciągniętymi rekami i wkrótce moje palce dotknęły mokrych włosów, odchylonej i słabo fosforyzującej twarzy młodziutkiej dziewczyny: musiała tu leżeć, skulona w ciemnościach, całe dnie, była na wpół oszalała z przerażenia i bardzo słaba, ale kiedy niosłem ją ku progowi groty, spostrzegłem jej delikatne rysy i piękne dłonie, które znałem.
- Jestem... jestem Ione Verde - powiedziała drżącym głosem, jakby z trudem znajdując słowa (ich brzmienie było samą muzyką). Byłam w lesie, na górze, kiedy... to się zaczęło. Zdążyłam tylko uciec do jaskini. Bałam się wyjść, miałam tu trochę wody i roślin... Czy to sie skończyło? Gdzie są inni?
Wyszliśmy z groty. Potoki deszczu ciągle z hukiem waliły w Dolinę i Ione schroniła się pod mój plastykowy płaszcz. Nie miałem serca powiedzieć jej, że wszyscy jej koledzy i koleżanki nie żyją. Miała piętnaście lat, ze wzruszającą ufnością objęła mnie szczupłymi nagimi ramionami za szyje i drżała pod lekką, mokrą sukienką. Miała zachwycającą srebrzystą twarz, usta gwałtowne i czułe i oczy... Bardzo długie rzęsy uniosły się nad srebrzystą, popielatą szarością
- żyjącą, roztańczoną. Szarością, która w gwiezdnej pustce odbłyskiwała tysiącem zgasłych słońc - spiralami umarłych mgławic... Ponieważ Mgła żywiła się także światłem i ciepłem. Ale oczywiście wolała życie organiczne. I mogła przybierać wszelkie formy.
- Pocałuj mnie, Sart - powiedziała lane.
Niech Bóg ma mnie w swojej opiece: Ja jej nie zabiłem.

Przełożyła **Zofia Beszczyńska**

TRUST

Josef Nesvadba

Trust for destruction of history
Weltgeschichtevernichtungsttrust

TDH stanowi tajną międzynarodową organizację mającą na celu zahamowanie postępu. Z pewnością zdajecie sobie sprawę z tego, że katastrofalne w skutkach zdarzenia współczesnego świata niszczą wybitne osobowości, takie na przykład jak Wy. Zmuszają do życia w ucisku, przy braku swobody przede wszystkim przez to, że eliminują prywatne prawo własności, tę gwarancję niezawisłości i zastępują je władzą monopoli albo jeszcze gorzej, państwowych przedsiębiorstw. Dlatego założony został nasz trust, stowarzyszenie samoobrony wszystkich ostatnich już prywatnych właścicieli, którzy pragną zatrzymać postęp, którzy tęsknią za swobodą i wolnością, którzy pragną ocalić osobowość człowieka-przedsiębiorcy przed inflacją człowieka-najemnika. Piszemy dlatego i do Was, musicie nam pomóc, musicie zapobiec postępowi na swoim miejscu iw swoim mieście, ponieważ jedynie międzynarodowe współdziałanie wszystkich może dać pozytywny efekt teraz, kiedy zawiodły wszelkie zbrojne interwencje...

Przyjrzał się jeszcze podpisowi. Z początku wyglądało to na jakiś niesmaczny dowcip. Ale papier był dobrej jakości, a ulotkę z całą pewnością wydrukowali za granicą, ponieważ kreski i ogonki przy poszczególnych literach wyglądały nienaturalnie, oczywiście musiały być drukowane specjalnie.
Spojrzał na swego byłego przyjaciela. Czyżby tym się teraz zajmował?
- Interesujące - powiedział i zwrócił mu z zakłopotaniem ulotkę. Ale wątpię, by ktoś zatrzymał historie czy wręcz ją zniszczył. Ja na pewno nie. Mam pusty garaż, a w kieszeni ani korony. Dziś zabrano mi ostami samochód...
- Toteż nie chcemy od ciebie pieniędzy. Ani transportu. Wręcz odwrotnie, dajemy ci nową maszynę. Antek rozejrzał się ostrożnie i lewą ręką odchylił plandekę staromodnej ciężarówki, w której przyjechał. Ukazały się wypolerowane rury jakiejś zminiaturyzowanej katiuszy, wymierzonej wprost w Korejsza.
- Do czego to służy? - zapytał, ponieważ maszyny go zawsze interesowały.
- Możesz zatrzymać postęp w Czechach na długi czas. Może już zapomniałeś, jak w czterdziestym piątym uniemożliwiliśmy faszystom wysadzić tamten most? Dzięki temu Rosjanie dostali się do Pragi wcześniej niż Amerykanie. A wiesz, dlaczego nam się wtedy udało wystrzelać to Sprengkommando? Ponieważ pożyczyłeś nam swoją ciężarówkę i dowiozłeś nas do mostu z tyłu, leśną drogą. Miałeś wtedy wspaniałe auto.
- Mercedesa - zaśmiał się Korejsz. - Sam go poskładałem z wraków. Żaden dodge ani gazik go potem nigdy nie przegonił. Właśnie dziś mi go zabrali.
- I właśnie dlatego dojrzałeś, by wstąpić do naszego trustu. Jesteś ostatnim przewoźnikiem w Czechach. Ostami miłośnik swego zawodu. Po Tobie przyjdą już jedynie obiboki, złodzieje i najemnicy... Im ich samochody będą obojętne. Do swej własnej pracy nie będą mieli żadnego przywiązania. Nie możesz do tego dopuścić.
- Jak? - zapytał Korejsz zwięźle i poprowadził Antka w głąb swego opustoszałego warsztatu. - Przecież już przed nami próbowali tego inni mądrale. I spaliło to na panewce.
- Nie próbowali naszej metody. Ten aparat przeniesie cie z powrotem do roku czterdziestego piątego. Jego czasomierz nie wskazuje ilości kilometrów na godzinę, ale lata. Poza tym, kieruje się nim tak jak twoją ukochaną ciężarówką. Zbudowaliśmy go naumyślnie ściśle według twego modelu. Wrócisz do tego decydującego dnia, nikogo nie zawieziesz na most, chłopcy pójdą tam piechotą, przyjdą za późno i Rosjanie zatrzymają się

dla unicestwienia historii

(Trust pro zničeni historie)

nad rzeką. Jutro rano w Pradze będą Amerykanie. Naprawisz historie. Tak samo, jak inni gdzie indziej. Akcje te, oczywiście, zmieniają naszą teraźniejszość pewniej niż jakakolwiek interwencyjna wojna. Dzisiaj, przy atomowej broni, nie ma nawet innej możliwości, jeżeli chcemy zniszczyć historie ale zachować świat...
Korejsz nie miał już wątpliwości. - Zwariowałeś - powiedział i szedł długimi krokami do swego domku, a Antek za nim. Przysięgał, że to wszystko jest prawdą, pokazał dowody, papiery, specjalne pełnomocnictwa, dolary i dziwny bezgłośny pistolet. Przyznawał, że to niebezpieczna wyprawa, że z takiej wycieczki do przeszłości nieraz się nie wraca, schlebiał Korejszowemu bohaterstwu. Przecież jeżeli wówczas zdołał sam załatwić nożem dowódcę Sprengkommando, to teraz potrafi go nie załatwić, uratuje ludzkość, cywilizacje oraz siebie i swą rodzinę przed ruiną.
- Czyżbyś zapomniał, że wówczas walczyłeś razem z nami? Że na tym moście straciłeś prawą rękę? - Korejsz dotknął bez żenady protezy Tonią.
A Antoś wyjaśniał, dlaczego się zmienił, dlaczego wstąpił na służbę do trustu, kiedy go wyrzucili z milicji obywatelskiej a nawet zamknęli, ponieważ pono kradł na pograniczu. Musiał uciec za granice i od tej pory myśli tylko o tym, jak naprawić swój błąd. To on wynalazł ten plan i przedłożył go centrali, to on właśnie doszedł do tego, że obecna polityczna sytuacja w Czechach jest wynikiem działania Korejsza, że to właściwie on przywiózł do Pragi socjalizm na swej ciężarówce... Korejsz zamknął Antkowi drzwi przed nosem. Nawet się nie pożegnał.
W domu czekali na niego nad ostygłą wieczerzą. Teść chodził dookoła stołu, istne wcielenie złośliwości. Marta wpatrywała się w swoje ręce.
- Czy wiesz, co ci przekazali twoi kamraci? - zapytał teść złośliwie.
- Czy wiesz z czym odesłali Martę? Nie tylko, że wzięli wszystkie wozy, ale masz jeszcze zapłacić podatek. Teraz idź z nimi pić. Cóż ci mówiłem?
Była to jego codzienna śpiewka.
- Zabrali je, ponieważ należą do fabryki. Gdybyś je zapisał na mnie, to moglibyśmy jeździć dalej - powiedział mu Korejsz z mniejszym wyrzutem niż zwykle. Dzisiaj nie potrafił nawet na tego zgarbionego starucha porządnie się rozzłościć.
- Ja wiem, że jedynie po to do nas się wżeniłeś. Myślałeś sobie, że dam ci wszystko, prawda? I że wtedy wyrzucisz mnie razem z córką...
- Wyrzucili cie inni... - powiedział Korejsz i odsunął zupę. Nie miał apetytu. Marta tylko na niego popatrzyła. Była brzydsza niż zwykle.
- Jutro rano potrzebujemy dziesięć tysięcy. Zawiadamiają cie, że poczekają. Z uwagi na ciebie. - Mówiła to pomału i spokojnie, wiedziała, że w całym domu nie ma ani korony, z wyjątkiem pieniędzy które sobie schował przezornie jej ojciec, a których oczywiście nikomu nie pożyczy. - Możesz pono jeździć dla fabryki - powiedziała. Korejsz wstał.
- Jesteś skończony - szczeknął teść. - Nic ci nie zostało. Czy nie prorokowałem ci tego od niepamiętnych czasów? - Ale mówił do pustej izby. Korejsz wrócił przed dom.
Przed tym na korytarzu chwycił z półki butelkę rumu, odtrącił szyjkę o wierzeje i wypił kilkoma długimi haustami. Antoni stał nadal na dworze obok swej zagadkowej maszyny.
- Jadę - powiedział Korejsz i wskoczył za kierownice, tak jakby wyjeżdżał tylko do ogrodników w Montoli po kalafiory. Antek w ostatniej chwili przerzucił jakąś dźwignie pod wozem i szybko uskoczył. Motor huczał, był to zapewnie diesel. Ale mimo to wydawało sie, że jedzie powoli. Korejsz spojrzał na zewnątrz. Antka już tam nie było. Ale za to świeciło słońce. A jabłoń naprzeciw niego kwitła. W listopadzie. Za sekundę zobaczył tam zamiast kwiatów owoce.
Uświadomił sobie to wszystko dopiero wtedy, kiedy zniknął jego garaż a na jego miejscu pojawił się ten stary płot z szopą, którą rozebrał w czterdziestym siódmym roku. Krajobraz za oknami zaczął się zmieniać jak w przyśpieszonym filmie, poczuł zawrót głowy. Usłyszał strzały, a silnik zatrzymał się z nagłym szarpnięciem. Musiał się złapać za kierownice. Widniała na niej nazwa firmy:

TRUST DLA UNICESTWIENIA HISTORII

zaś licznik kilometrów pokazywał czas: 1945. Strzelaninę słyszał z dala, gdzieś od Rudnicy. Były to ciężkie działa lub czołgi. Szybko wstał i wepchnął maszynę do gąszczy za płotem. Rozpoznał swą przeszłość wyraźnie. Rdzewiejące koła za kolczastym drutem i ta zniszczona Jawa, którą tutaj zostawili po karambolu w czterdziestym czwartym. Musiał się uśmiechnąć. Wrócił do swej młodości, albo co najmniej do okresu, kiedy się jeszcze nie czuł stary. Od strony wsi usłyszał silniki. Przejeżdżały ostatnie czołgi z wielkimi czarnymi krzyżami. A wiec była to prawda. Cała historia dzieje sie tak jak wtedy. Teraz zatrzymało się tam Sprengkommando. Mieli samochody amfibie i pancerfausty. Było ich około piętnastu i dotąd żyli. Wrogowie w każdym calu. A wiec ma ich oszczędzić z uwagi na swoje auto? Na horyzoncie płonęły pożary. Wspomniał spalone dzieci w sąsiednich wioskach. Nagle zabrakło mu sił. Historii chyba wcale nie można powstrzymać.
- Chcą wysadzić most. Musimy ich wyprzedzić lasem. Przewieziesz nas wszystkich? - ktoś chwycił go za rękaw. Był to Antek... O wiele młodszy Antek i trzymał go swoją zdrową prawicą. Obok niego stała Irena. Tak. Z ostrzyżonym ścierniskiem blond włosów, w koncentracyjnym pasiaku i z karabinem w ręce. Irena, którą przecież wówczas kochał.
- Nie idź tam. - krzyknął Korejsz - Stracisz rękę. A potem cie zamkną...
- To nie jest Korejsz - odepchnęła go Irena.
- Co pan tu robi? Kim pan jest? Proszę się schować - mówili mu i garnęli się do jego ogrodu, przełazili przez płot ostrożnie, aby ich nikt nie widział z szosy. Wszyscy mieli broń.
Dlaczego go nie poznali? Myślał gorączkowo. Rozglądał się za jakimś lusterkiem lub choćby jego odłamkiem, ale wówczas zobaczył siebie, wychodzącego z domu i musiał się złapać płotu, aby nie krzyknąć. Rozciął sobie przy tym rękę o starą zardzewiałą reklamę mydła Sbjcht. Widział bowiem sam siebie, jak się naradza z Antkiem i jak odchodzi z całą paczką do domu. Wiedział, dokąd idą. Na strych. Będą obserwować Sprengkommando i opracowywać plan akcji. Marta jest w kuchni, tak jak zawsze.
- To nieważne, kim jestem. Wiem, że jest pani zazdrosna o Irenę, że z Korejszem nie rozmawia pani od wczoraj, ale wiem także, że w końcu pozostaniecie razem. Przychodzę jedynie dlatego, aby sie wam w przyszłości dobrze powodziło. Chce abyście byli szczęśliwi
- mówił potem swej żonie w kuchni, a na dworze ktoś wystrzelił do otwartego okna. Faszyści bali się snajperów. Przypomniał sobie, że zastrzelono dwoje dzieci u zarządcy. Im dalej, tym mniej ważne wydało mu się jego prywatne auto. - Nie może go pani puścić na ten most...
- Skąd pan o tym wie? - teraz się naprawdę wystraszyła i o mało byłaby wykrzyknęła, gdyby jej nie zakrył ust. Czuł przy sobie ciało swej żony, to dobrze znane ciało, młodsze o parę lat. Poczuł przypływ wzruszenia i pocałował ją.
- Musi pani uszkodzić jego auto. Tylko w tym przypadku nie zdążą na most na czas. Proszę mi dać klucze od garażu... sięgnął do bieliźniarki. Wiedział, że tam ma jego żona zapasowe klucze, pod dziecięcymi koszulkami, które nieustannie przygotowywała dla ich nigdy nie narodzonych potomków. Uderzyła go po ręce:
- Czy pan zwariował? Mam zepsuć auto? Teraz? Przed końcem wojny? Z czego będziemy żyć? - Chciał się zapytać, z czego będą żyć później, ale odepchnął ją, rozrzucił jej bieliznę, nie odważyła sie mu sprzeciwiać, był zawsze silniejszy od niej. Chwy-

ci! klucze i pośpieszył do garażu.
- To jest moje auto. A to jest mój garaż. Ja jestem twoim mężem. powiedział jej w pośpiechu. A teraz się zobaczył, obok niej w zwierciadle na korytarzu, dokąd za nim wybiegła. Wyglądał prawie na jej wujka. Był przecież o wiele starszy. Takich kłopotów oczywiście nie oczekiwał. Wbiegł do garażu. Sięgnął po nóż. Przeciął wszystkie cztery opony. Zniszczył swego ulubieńca. Byłby sie przed nim usprawiedliwiał, ponieważ często rozmawiał ze swoim automobilem. I bardziej pieszczotliwie niż z kimkolwiek z ludzi. Tylko że już się otwarły za nimi drzwi i stał tam Korejsz o sześć lat młodszy. Wściekły, bojowy Korejsz, najdzielniejszy ze wsi, wyzwoliciel Pragi. Rzucili się na siebie. Tylko że Korejsz wiedział, gdzie Korejsz ma swój pistolet i dlatego skoczył do stołka z narzędziami szybciej niż on sam kiedyś. Wszystko zresztą wiedział wcześniej, znał i skrytkę pod podłogą, gdzie był schowany stary wojskowy automat. I nie osłabł zbytnio przez te lata, był w stanie przy tym dziwacznym zmaganiu jeszcze mówić:
- Robie to z uwagi na ciebie. Żebyś miał za pięć lat dwadzieścia mercedesów i zatrudniał dziesięciu szoferów, żeby ci się lepiej powodziło niż teściowi...
- Gwiżdże na to - Korejsz chwycił go za gardło. - Ty zdrajco. Kolaborancie. Świnio. Chcesz, aby nas spalili i wystrzelali co do jednego. Oddam ostatnią koszule, byleby się uwolnić od tych faszystów i podniósł z ziemi klucz francuski. Na dworze zagrały silniki motocykli. Sprengkommando ruszyło. Nagle w drzwiach garażu stanął Antoni, z pistoletem w reku
- Postarałem się o auto - wołał ten hipokryta, zadając kłam sobie o pięć lat późniejszemu. - Chodź szybko... - nie zwrócił nawet uwagi na przyszłego Korejsza, który chował się w kącie. Na dziedzińcu zatrzymał się osobowy ford Korejszowego teścia. Historia była ocalona. Teść wysiadł zza kierownicy w mundurze Sokoła. Ściskał wszystkim z przejęciem dłonie. Nie był uzbrojony. Pozostał ze swoją córką, kiedy bohaterowie odjechali.
- I to pan będzie mnie przez całe życie pouczać, abym się z nimi nie przyjaźnił - zaśmiał się przyszły Korejsz. Teść przyjrzał mu sie bacznie:
- Kim jest ten człowiek?
- Nie wiem - powiedziała jego córka, która dotąd myślała tylko o tym, że jej mąż odjechał z Ireną. - Ale Amerykanie są już podobno w Berounie.
- Wszystkie armie w końcu odejdą. A nasi ludzie tu zostaną. Tych nie możemy do siebie teraz zrażać. Niech się wyszumią... Jak w latach osiemnastych. Mam pełne magazyny i musze być ostrożny...
- Dla kogo ojczulku? Dla kogo? - zapytał się Korejsz.
- Czy jest pan krewnym mego zięcia? Jest pan do niego podobny.
- Tak trochę - odpowiedział Korejsz i odszedł. - To jest bzdurny pomysł. Niszczyć historie. Jeszcze go ramiona bolały po bijatyce. Przywiezie zapewne do swoich czasów guzy. Ciężko podniósł prawą nogę na podnóżek, otworzył drzwiczki i namacał kobiecą łydką.
- Co tu pani robi? - zdumiał się. Obok kierownicy siedziała o sześć lat młodsza Marta, na kolanach kuferek, nawet się w tym pośpiechu nie zdyszała.
- Proszę natychmiast wysiąść. Nie mogę zabrać pani ze sobą. Czy pani wie dokąd jadę? - ani drgnęła. - Rozumiem, że złości się pani na niego, że odszedł, że ryzykuje swoje życie, że wziął ze sobą Irenę; pokłóciliście się, ale w końcu będziecie nadal żyć razem. Jest mu pani potrzebna. A pani nie znajdzie nikogo innego.
- Już go znalazłam.
- Kogo? - i wyliczył jej wszystkich, których chciał jej naraić ojciec, a którzy przed nim uciekali.
- Pana. Jest pan taki jak Korejsz a przy tym o wiele rozumniejszy, z panem się dogadam. Mamy wspólne poglądy.
- Kto to pani powiedział? - zaczął się bronić Korejsz.
Chciał ją wyrzucić, ale w tym czasie rozpoczęła się akcja na moście, strzelanina z broni ręcznej wzmagała się, a w oddali słychać było rosyjskie hurra. - Proszę odejść. - Ale nie chciała się ruszyć. Widocznie nie ucieknie przed nią. Nawet w czasie.
- Jak znosiła by pani samą siebie starszą o sześć lat? Co? Bowiem ja tam jadę. A pani już tam jest. Proszę lepiej wysiąść, bo będzie pani miała scenę zazdrości sama ze sobą. Wie pani dobrze, jak bardzo jest pani zazdrosna... - Tylko, że była również bardzo uparta. I nie" chciała wysiąść, dopóki jej nie opowiedział wszystkiego. Długo milczał. Sięgnął pod siedzenie i rzucił jej na łono te ulotkę.

TRUST DLA UNICESTWIENIA HISTORII

- Ależ to bzdura - powiedziała, kiedy wszystko przeczytała a pierwsze kule zaryły się w ogrodzie tuż obok wehikułu czasu.
- Właśnie. Sam już do tego doszedłem. Proszę szybko wysiąść.
- Wręcz odwrotnie. Pojadę z panem. To przecież głupota jeździć do roku czterdziestego piątego. Cały rozgardiasz rozpoczął się w Europie już dawno przed tym. Wtedy rozpadła się stara Austria. A wiem pan, kto spowodował to w Czechach? Masoneria. Mój własny ojciec, który w tych decydujących latach dał masonom ogromne pieniądze. Musimy pojechać wstecz w lata siedemnaste. Musimy przekonać tatę, aby nie wspierał masonów, powiemy mu wszystko, ostrzeżemy go. Przecież żałował tych pieniędzy przez całe życie. Mówi, że to był jego jedyny błąd... Pojadę z panem.
- To nonsens.
- Przecież aparat działa, wobec tego jaki to nonsens? Jest pan w przeszłości czy nie? Jest pan. No to jedziemy. Do roku siedemnastego... - i sama przycisnęła starter. We wsi pojawili się pierwsi wyzwoliciele. Na dachach wywieszono czerwone sztandary. Nacisnął gaz, nawet nie wiedział jak i kiedy. Sama szarpnęła kierownicą w kierunku fabryki swego ojca. Z lasku wyjeżdżały rosyjskie czołgi, zdawało się, że dojdzie do zderzenia, ale czołgi zmieniły się nagle w krowy, które przerażone uciekały przed autem. Przejechali przez srogą zimę w dwudziestym dziewiątym roku, spotkali gromadę strajkujących, żandarmów przed fabryką, im bardziej się do niej zbliżali, tym bardziej domy wokół nich stawały się staroświeckie, pojawiły się dwugłowe orły, żandarmi z pióropuszami, zniknął asfalt i koła ich automobilu grzęzły w starodawnej wiejskiej drodze. Już im brakowało zaledwie pięćset metrów, gdy nagle Marta głośno wykrzyknęła. Fabryka bowiem zniknęła. A kiedy się zatrzymali, stała przed nimi chałupa z chełpliwym plakatem: Jerzy Woženil, pierwsza czeska chrześcijańska wytwórnia mydła na Ziemiach Korony Świętego Wacława. Czasomierz wskazywał rok 1917. Zaraz w sieni spotkali teścia. Był teraz młodszy od Korejsza. Nadal miał na sobie identyczny mundur Sokoła.
- Tato! - rzuciła mu się na szyje Marta. - Masz jeszcze te pieniądze, prawda? - Na progu kuchni pojawiła się kobieta z małą dziewczynką na reku.
- A któż to znowu? Która z tych twoich dziewczyn? - rozkrzyczała się.
- Mamusiu...
- Jaka tam znowu mamusiu, nie jestem ani trochę starsza od ciebie! Popatrzcie tylko, co ma na sobie ta flądra, chyba uciekła prosto z cyrku? I to z takimi się przyjaźnisz!
- Ale ona naprawdę jest do ciebie podobna. Kim właściwie pani jest? - zapytał teść ostrożnie. Marta ż wahaniem wskazała na małego brzdąca, który zaczął beczeć.
- Nie przyjechaliśmy nic wyjaśniać - ratował sytuacje Korejsz. Chcemy was jedynie ostrzec. Nie dawajcie pieniędzy masonom. Będziecie tego żałować przez całe życie, a na starość was to zrujnuje. Musi pan zatrzymać bieg historii.
- Co? - krzyknęła od progu wrzaskliwie matka, a Korejsz w duchu podziękował Opatrzności, że jego żona nie odziedziczyła charakteru po matce. - Tym im dałeś te tysiące? Musiałeś chyba zwariować?
Ale teraz skończyła się cierpliwość również i Sokołowi!
- To wyście zwariowali, kimkolwiek jesteście. Chce sobie postawić we wsi po wojnie fabrykę. A jeśli tu zostanie Richtenbaum, to pójdę z torbami. Jedynie patrioci mogą mnie uratować. Czescy klienci. Zainwestowałem te pieniądze do najlepszego interesu na świecie. Stanę się największym mydlarzem w wyzwolonym Czeskim królestwie. Niech żyje Jego Ekscelencja pan Kramarz, czeski król z łaski cara - wykrzyknął rozogniony. I wtedy rozległy się uderzenia we wrota.
Na dworze stali dwaj staroświeccy żandarmi. Przyszli ich zamknąć. Korejsz wyrwał im się w ostatniej chwili. Opierał się blisko godzinę. W końcu doprowadzili go skutego obok jego teścia, który miał minę jakby szedł na posterunek na partyjkę kart.
- Cieszę się, że nie jest pan donosicielem, już zaczynałem mieć stracha - szeptał Korejszowi. - Ale chyba nienawidzi pan Austryjaków jak i my. Masoneria powierzy panu specjalne zadanie.
- Kocham Austriaków! Niech żyje Austria. Niech żyje cesarz! Nie chce niepodległości! - wykrzyknął Korejsz na ulicy, aż musieli mu zatykać gębę. Za rogiem zatrzymali się. Teść dał żandarmom po guldenie. Pokiwali głowami:
- Ale co najmniej przez tydzień nie możecie się we wsi pokazywać. Dopóki pan komendant nie zapomni. - Obaj żandarmi zasalutowali i z powagą skierowali się do gospody.
- Nie musisz nic udawać, nic nie musisz wykrzykiwać, nie mu-

sisz sie bić - podśmiewał się odmłodniały teść pobrzękując bilonem. Odpoczniemy sobie z tydzień na zamku i coś znajdziemy dla ciebie.
- Nie! Nie będę przecież znowu powtarzać tej samej bzdury. Nie będę pomagał postępowi w czasie, kiedy mnie jeszcze w ogóle nie było na świecie - krzyknął Korejsz i pobiegł z powrotem do swego wozu. Ale na rogu osłupiał. Jego automobil był właśnie przeglądany przez specjalistów wojskowych, odciągany czwórką sprzężonych koni do koszar i strzeżony przez całą pieszą kompanie artylerzystów.
- Strasznie żałuje - powiedział teść, który go dogonił dopiero po chwili. - Ale tylu guldenów mimo wszystko nie mam. Żołnierzy mogło być ze dwustu. Schowamy się tymczasem na zamku, przyjacielu.
Zamek stał cztery kilometry za wsią. Właśnie mieli tam zebranie patrioci. A łaskawie przewodniczyła im wszystkim hrabianka Hortensja, która miała już ponad osiemdziesiąt lat i była głucha jak pień. Obie Marty dawno już tam były. Towarzyszka Korejsza zbliżyła się do niego.
- Hrabianka mówi, że jej dziadek dobrowolnie zniósł pańszczyznę w tym okręgu i tym rozpoczął postęp w całej monarchii.
- No to co. Nigdzie nie jadę. Poczekam na dwudziestego ósmego października przyszłego roku, a następnie wrócę prosto do domu. Bede pracować w fabryce. Jako kierowca. To wszystko jest beznadziejnym pomysłem. Postępu nie można zatrzymać żadnym technicznym wynalazkiem.
— Ale ona myśli, że stanowimy dalsze wcielenia. Nie widzi w tym zupełnie nic szczególnego. Jest spirytystką. I wyśle swemu dziadkowi list.
- Ostatnio rozmawiałam cały dzień z pewnym lamą z tybetańskiego klasztoru Niebieska brama... - krzyczała Hortensja zwyczajem wszystkich przygłuchych osób.
Korejsz nigdy nie chciał słuchać żony. Przez całe życie się jej sprzeciwiał. Ale już wieczorem zgłosił się u dowódcy grenadierów austriackiej armii. Grenadierzy obstąpili go wielkim czworobokiem, trzymając w rekach odbezpieczone karabiny. Startował walcząc o swoje życie. Salwa rozległa się w przyszłości a wehikuł czasu trustu z zawrotną szybkością pomknął do dalszych lat, tak że przez okna widać było jedynie barwne smugi. Tym razem znieśli podróż bez kłopotów. Marta się śmiała. Cieszyła się na swoją wieś sprzed stu pięćdziesięciu lat... A Korejsz, który sobie trochę podpił na tajnym zebraniu patriotów, wyrzucał z okna ulotki swojego pracodawcy.

TRUST DLA UNICESTWIENIA HISTORII

Kiedy się zatrzymali, zamek przed nimi błyszczał świeżością. Obstąpili ich pachołkowie i służba. I zaraz zaprowadzili do feudała:
- Powiedzcie panu Cagliostrowi, że mam już dość tych jego żarcików - rozwrzeszczał się na nich baron złą czeszczyzną. - Ostatnio przysłał mi dwóch mieszkańców księżyca, a teraz taką parę. Każe was z miejsca wychłostać i poszczuć psami. Nie będę tracił na te grzeszne eksperymenty już ani talara... Precz! - Musieli mu rzucić list Hortensji pod nogi. Wyraźnie przywykł już do najróżniejszych czarów. Nic go nie było w stanie zadziwić. Na szczęście poznał pismo swojej małżonki. Na szczęście prababka Hortensja miała identyczny charakter pisma. I również była przeciwna swobodom.
- To jest prawda. To nie są oszuści. To jest znak boży. Poddani winni pozostać w stanie poddaństwa. Nie wprowadzaj cudzych nowinek, drogi małżonku - mówił ten młody obraz swego osiemdziesięcioletniego potomka.
- A kto ich będzie żywił? Skąd na to wezmę? Daje im wolność, ponieważ nie mam ani grajcara. Uwolnię się od powinności. W przyszłości będą u mnie pracować jedynie ci, których potrzebuje, rozumiecie? - I rozwrzeszczał się na wszystkich. Korejszowie skończyli w karcerze. Pachołkowie przynieśli dwie ławy. Wyciągnęli trzciny:
- Ci z księżyca przyznali się już przy dwudziestym uderzeniu, że właściwie są cyrkowcami z Loun. Jestem ciekaw jak długo wy wytrzymacie - zwierzał się starszy pachołek Ale Korejsz był bitny. Opędzał się ławą jak kijem, pachołkowie „byli zaskoczeni.
- Podniósł rękę na zwierzchność! To jest rebelia! Zapłaci gardłem!
- krzyczeli i uciekali wołając o pomoc. Na szczęście właśnie w okna
uderzyły pierwsze kamienie. Przed domem stała gromada wieśniaków. A miedzy nimi osobiście Korejszowie w sukmanach. Ród Korejszów niegdyś rozpoczął w tej wsi postęp. Ale nie poznali swego krewniaka z przyszłości, mimo tak zdumiewającego podobieństwa.
- Chcesz ich namawiać, by się pozwolili chłostać, wieszać, aby pracowali i tyrali na pańskim? Będą żądać coraz więcej, nikt ich nie powstrzyma, nikt nas nie powstrzyma - powiedział Korejsz tak jakby pouczał swą żonę. Schronili się w swoim wozie w ostatniej chwili, ponieważ szlachcic poszczuł ich psami. Wieśniakom gromkim głosem przeczytał dekret o zniesieniu pańszczyzny. Hortensja w swoim pokoju pomstowała.
- Chce wrócić do domu - westchnął Korejsz - niech mnie wszyscy pocałują gdzieś, a zwłaszcza ta cała firma:

TRUST DLA UNICESTWIENIA HISTORII

Tylko że w tym pośpiechu, otoczony rozwścieczonymi psami, nadepnął wsteczny pedał. Władował się na początek historii. Kiedy sie zorientował, przyśpieszenie było już zbyt wielkie. Cieszę się wołała niepoprawna Marta. - Cieszę się, przecież wracamy do raju...
W czasach raju wokół wsi były mokradła. A w dali uganiały się najróżniejsze wielkie zwierzęta, olbrzymie bobry i przedziwne małe stworzenia, pra-koniki. Korejsz oparł czoło o kierownice i odmówił wyjścia z wozu.
- Kogo chcemy tutaj ratować? - rzekł. - Tutaj nie można w żaden sposób zatrzymać postępu. Tutaj, gdzieś w tych błotach, zaczęły sie dzieje ludzkości i my nie możemy wymordować wszystkich praludzi w naszym kraju, ponieważ są to nasi przodkowie. Mam nadzieje jedynie, że przynajmniej tym razem nikt nie będzie podobny do nas... Stali obok wielkiej skały, w którą zmienił się kopiec stojący za wsią. Z wierzchołka ustawicznie snuł się dym. W tym okresie Pusty Kopiec był jeszcze czynnym wulkanem. Dopiero po chwili spostrzegli, że u podnóża tego kopca tłoczy się stado małp, jedna obok drugiej. Ogromny szablistozęby tygrys wybierał sobie pomiędzy nimi ofiary jak wilk w stadzie owiec.
- Popatrz! Popatrz! - wykrzyknęła Marta i wyskoczyła z wozu. Szybko zapaliła gałąź, zbliżyła się z nią do tego okropnego zwierzęcia. Ustąpiło. Marta kiwała na łyse małpy. Być może myślała, że są to ludzie z raju. Pierwszy ogromny samiec wyrwał jej płonącą gałąź, drugi złapał ją wpół, a potem zaczaj się taniec. Zapalili wokół, co się tylko dało, Marta z czterdziestego piątego zniknęła w tym raju. I tak zamiast powstrzymać postęp złożyła za niego, na początku historii, swoje życie jak Prometeusz w ofierze. Korejsz patrzył na to wszystko ze swej kabiny. Był zbyt wyczerpany żeby przeciwdziałać. A zresztą nie mógł przeciwstawić się całemu stadu, które nagle, podniecone odkryciem ognia, rozpoczęło wściekłą bójkę. Widział przed sobą ich twarze, kły, szczeki i niskie czoła. Widział te małpoludy z odległych czasów... I rozważał, czy nie różnią się one od nas prawie w takim stopniu, w jakim my od ludzi przyszłości, ku której zmierza postęp. Ostrożnie skorygował wskaźniki. I w końcu odjechał w czas. Ostatkiem sił zakrył przed sobą ten napis, który tak mu już zbrzydł, a który w rzeczywistości drwił z niego:

TRUST DLA UNICESTWIENIA HISTORII

Wystąpił z aparatu w teraźniejszości, gdzie w tym czasie upłynęło jedynie kilka sekund.
- No i co? - doskoczył Antek, obecnie znów jednoręki, z wystraszoną miną.
- Nic z tego - powiedział Korejsz.
- Jak to? Sam wczoraj na próbę wróciłem o tydzień, a przy przekazaniu do eksploatacji musi każda maszyna minąć całe stulecie. To nie jest pierwszy lepszy wynalazek. Wyrabiamy go już taśmowo.
- Ale zbędnie. Historii nie zniszczycie. Powinniście to sobie uświadomić, zanim sami nie zginiecie...
Antoni już wlazł do kabiny: - Przecież zniknąłeś. Przez chwile cie tu nie było. Widziałem to... i przez nieuwagę wystartował. Zniknął także. Wprost do tego prastarego pożaru. I już się we wsi nigdy więcej nie pokazał.
Korejsz następnego dnia rozpoczął prace, jako kierowca, w byłej fabryce swego teścia. Stał się najemnym pracownikiem. I zaczaj zbierać zabytki po praludziach. Niektórzy z nich, jak mi powiedział, pono bajecznie pasują do rodziny jego teścia. Ze swoją żoną kłóci się kilka razy dziennie. Twierdzi, że się przez całe życie nie zmieniła. W czym leży cała trudność postępu.

Przełożył **Zbigniew Jonszta**

O autorze: patrz „Fantastyka” nr 7/83

W STRUMIENIU ZDARZEŃ

Dariusz Filar

I co? Wciąż pan ciekaw moich przygód? Naprawdę?! Niech tam! Odmaluje dla pana jeden epizod. Wszystko rozegrało się w Londynie, na skraju jednego z rozległych trawników Hyde Parku. Iluż barwami już od łat mieni się w tym miejscu londyński tłum! Miedzy czarne meloniki i parasole wtargnęły kaptury, fezy i turbany, wśród tradycyjnych tużurków płyną białe arabskie burnusy, jedwabne hinduskie sari i spinane na ramieniu afrykańskie haiki... A twarze?



A twarze? Spoza gładko wygolonych, rumianych policzków migają nieustannie śniade, z oczyma wykrojonymi w kształt migdałów, twarze, których hebanowy odcień podkreśla biel łyskająca spod powiek, oblicza żółte i kryjące źrenice brązowoczarne... Rozsypane imperium ściągnęło ku swemu centrum byłych poddanych z wielu krajów i kontynentów, ludzi z najróżniejszych ras i kultur; z dawnych kolonii egzotyka przywędrowała na ulice dawnej metropolii.
Właśnie w okolicach Hyde Parku, w jego najsłynniejszym kącie wyznaczonym przez trój liniowy zbieg Park Lane, Cumberland Gate i The Ring, a nazywanym Speakers Corner owa mieszanina typów urody, jeżyków oraz strojów osiąga szczególną intensywność. Mównice ze skrzynek po piwie wabią wspaniale cudacznych oratorów, mocą przedziwnych fluidów dobierają się ich pstre audytoria, uzupełnia atmosferę ruchliwa obecność niezliczonych turystów. Ale mężczyzna, który przyciągnął moją uwagę nie był ani samozwańczym trybunem, ani skupionym słuchaczem, ani turystą. Nie wyróżniał się też niczym szczególnym: z karnacji i postury wyglądał na rodowitego Europejczyka, nosił najzwyklejsze dżinsy i trykotową koszulkę, nie wykrzykiwał o rychłym końcu świata czy o sporządzeniu recepty na powszechną szczęśliwość. Siedział przy brzegu trawnika na własnym, składanym foteliku. Skrzyżował przed sobą stopy wygodnie wyciągniętych nóg, a złożone i kryjące coś miedzy sobą dłonie oparł na piersiach.
Półkolem przykucnęła naprzeciw niego barwna grupka: dwóch Murzynków, prześliczna Azjatka, para o lnianych włosach mieszkańców Szwecji lub Norwegii, starszy mężczyzna w spodniach z jaskrawej kraty, za jakimi przepadają Amerykanie. Toczyła się rozmowa, w której prym wodził ten siedzący na foteliku: skupiony, wsłuchany w siebie, z przymkniętymi powiekami monologował niedonośnie, zaś pozostali przerywali mu tylko od czasu do czasu jakimiś uwagami czy też pytaniami. Słowa głównego mówcy przyjmowano w szczególny sposób. Na twarzach wszystkich słuchających malowała się podczas jego wypowiedzi natężona uwaga, zaciekawienie graniczące z fascynacją, a może również, sygnalizujące pewien opór - niedowierzanie. Chyba nawet pełne wyrazu twarze wpadły mi w oczy wcześniej niż ten, który był źródłem odbitego na nich natchnienia.. Postanowiłem podejść bliżej. Akurat, gdy postawiłem pierwsze kroki w tamtą stronę, siedzący na foteliku przestał mówić, otworzył oczy, oderwał od piersi złożone dłonie, rozchylił je i wyciągnął ku mężczyźnie, który wydawał mi się Amerykaninem. Ten sięgnął ku nim prawą ręką i pochwycił jakiś drobny, leżący jak na tacy przedmiot. Z kolei na zwolnione miejsce szybko rzucił coś małego jeden z Murzynów. Dłonie zamknęły się i powróciły do dawnego położenia: ich właściciel znowu przymknął oczy i zagłębił się w sobie. Po chwili przemówił. Znalazłszy się w zasięgu jego głosu posłyszałem plastyczny opis afrykańskiego krajobrazu, pięknymi, starannie dobranymi słowami nakreślony obraz wioski w buszu, wnikliwe szkice do portretów żyjących tam, nie znanych mi ludzi i subtelne wizerunki domowych zwierząt. Przykucnąłem obok innych, na brzegu półkola. Po paru chwilach pojąłem na czym polega odbywające się tutaj misterium: mężczyzna, którego z bliska i nieco z ukosa mogłem teraz obserwować, brał od obecnych drobiazgi pochodzące z ich rodzinnych stron. Ukrywszy je miedzy złożonymi dłońmi i zbliżywszy do piersi, w sobie tylko wiadomy sposób poprzez te okruchy dostrzegał pełne kształty ich naturalnego otoczenia: pejzaże z innych lądów, dalekie miasta i domy, najróżniejszych ludzi i najdziwniejsze czworonogi. Odmalowywał to wszystko jeżykiem rzadkiej urody i giętkości, chociaż może odrobinę staroświeckim. Potem bez słowa zwracał przedmiot i z otwartymi dłońmi oczekiwał następnego. Z początku podejrzewałem, że cała zabawa polega na mistyfikacji. Sądziłem, iż opowiadacz jest zamiłowanym włóczęgą, globtroterem, który poznał wszystkie zakątki Ziemi, a równocześnie wykształcił w sobie zdolności wyostrzonej obserwacji. Wydawało mi się, że patrząc uważnie odgaduje z jakichś - nieuchwytnych dla mniej wprawnego oka - szczegółów narodową przynależność i zwykłe miejsce zamieszkania tych, którzy zatrzymali się przed nimi. Potem wystarczało mu sięgnąć do wspomnień, by sugestywnie stwarzać wrażenie posługiwania się szóstym zmysłem, tajemną siłą, magicznym nadwzrokiem... A jednak było inaczej! Dowiodło mi tego przesycenie jego wizji najdrobniejszymi, często drugoplanowymi i z nieprawdopodobnym pietyzmem oddanymi detalami. Tym bardziej, że wiele z nich w bezpośredni i bardzo osobisty sposób dotyczyło samych poddających sie eksperymentowi. I zawsze wśród identycznych okrzyków zdumienia było przez nich potwierdzane. Jego wzrok musiał naprawdę przełamywać barierę przestrzeni! Pyta pan, czy bardzo byłem zdziwiony? Oczywiście, że tak! Tylko niechże pan nie zapomina, przyjacielu, że dziwić sie można dwojako: wrogo - po to, by istoty niezwykłego nie dopuścić do świadomości i przychylnie - po to, by cieszyć sie zetknięciem z nowym i nieznanym. Wśród źródeł wielkich tragedii naszych czasów jest i to, które stanowi duchowa hermetyczność większości współczesnych, ich niechęć do porzucenia ciężkich ram gotowych schematów, po prostu - dziwienie się na pierwszy sposób. Ja zaś - na pewno pan w to nie wątpi - dziwiłem się w sposób drugi. I dlatego też, gdy tylko nadarzyła się okazja, wykonałem gest włączający mnie do gry... Pamięta pan kulkę, którą znalazłem nad brzegiem przepaści, te, na której pierwszy raz wypróbowałem mój nowy dar? Tak, nie wyrzuciłem jej wtedy, a później zawsze już miałem przy sobie. Przykucając na brzegu półkola przed opowiadaczem też bawiłem się moim talizmanem: kciukiem przetaczałem go z palca na palec, zatrzymywałem miedzy knykciem, chwilami aż do lekkiego bólu wciskałem w skórę. Gest, o którym przed sekundą wspomniałem, zrobiłem nagle, popchnięty impulsem znacznie szybszym niż taki, jakim zaowocowałaby najkrótsza nawet świadoma refleksja. Otwarte, puste teraz dłonie czekały. Skandynawska para naradzała się szeptem, drugi z Murzynów najwyraźniej nie zamierzał powtarzać próby, której poddał się już jego ziomek... Nadszedł moment dla mnie! Wyciągnąłem przed siebie rękę, w której trzymałem kulkę i pozwoliłem jej stoczyć się w oczekujące dłonie. Przyjęły ją i natychmiast zamknęły się niczym małż. Później mężczyzna wykonał wszystkie gesty wchodzące w skład znanego mi już rytuału: odchylił się lekko do tyłu, oparł złożone dłonie na piersiach i przymknął oczy. Zastygł w bezruchu, a jego twarz wyrażała zwykłą w tej sytuacji wewnętrzną koncentracje. Już po chwili zaszło jednak coś niezwykłego. W jego rysy wkradło się, przedtem ani razu nie okazywane, napięcie: usta zacisnęły się, a czoło zmarszczyło ściągając brwi w jedną krechę. Na koniec podniosły się powieki i prześlizgnęło się po mnie spojrzenie zaciekawione, pytające, a może też niosące delikatny wyrzut. Zaraz potem opowiadacz spróbował skupić się na nowo, ale przyszło mu ponieść następną porażkę. W wysiłkach, by pokonać nieprzebytą przepaść miedzy pragnieniem a niemożnością przywiódł się na granice cierpienia, coraz gwałtowniej wykrzywiał się bolesnymi grymasami. Wreszcie z rezygnacją pokręcił głową. Wolno, jakby z pewnym ociąganiem, podsunął mi moją kulkę i powiedział, że nie potrafi dla mnie nic zrobić. Dodał jeszcze kilka zdań, które brzmiały mniej więcej tak: „Nie myśl, że nie znalazłem obrazu. On przypłynął! I był piękny... Ale przekazać go nie potrafię! Próbowałem, naprawdę próbowałem... Nie potrafię. Nie znam właściwych słów. Te kształty i te barwy ... jeśli to w ogóle kształty i barwy... Widziałem je w ogromnym oddaleniu. I jakby przez gęstą mgłę - zamazane, nieostre... Czułem obecność piękna, ale niczego nie zdołałem uchwycić. Jakie to dziwne...” Zatopił się w myślach i nie dostrzegał już nikogo.
Słucham? Uważa pan, że jednak coś niecoś wiedziałem? No tak, oczywiście - nie miałem wątpliwości co do pozaziemskiego pochodzenia mocy, w których zasięgu się znalazłem. Londyńska przygoda musiała mnie w tym przekonaniu utwierdzić. Ale niechże się pan zastanowi: czy rzeczywiście można to uważać za zbliżenie się do jądra zagadki?
Igrający ze mną, nieznany i niewidoczny ktoś wypchnął mnie najpierw w niekończącą się błąkaninę a później pozwalał, by prawie przy każdym przeżyciu odzywał się w moich myślach zniechęcający sygnał chybienia: zimno! zimno! zimno! Raz tylko chyba, właśnie przez usta londyńskiego opowiadacza, otwarcie rzucił mi: ciepło! A prawie pełne trzy lata musiały minąć, by wreszcie zahuczał mi pod czaszką radosny alarm: gorąco! gorącooo!!!
Wstrząs ów stał się moim udziałem na pokładzie greckiego

stateczku podążającego z Pireusu ku Północnym wybrzeżom Afryki. ...Ale nie! Zanim opowiem panu te historie, zadać musze jedno pytanie: czy przytrafiło się panu kiedyś być niesionym przez strumień zdarzeń bliskich i pokrewnych? Co przez to rozumiem? Już wyjaśniam: otóż na przykład siedzi pan w domu, a gdzieś na dnie pańskiego mózgu uparcie kołaczą się fragmenty jakiejś niezbyt dokładnie zapamiętanej melodii. Ani nie może się pan od niej uwolnić, ani też nie umie odtworzyć jej dokładniej. Nieco później, na pozór bez żadnego szczególnego powodu, wychodzi pan na ulice. Na wystawie pobliskiego sklepu muzycznego spostrzega pan płytę i w tym samym mgnieniu uświadamia sobie, że przecież to właśnie jest nagranie, z którego pochodzi powracający, naprzykrzający się motyw. Przypomniawszy sobie przy tej okazji personalia autora melodii, kieruje pan myśli ku przyjacielowi noszącemu to samo co kompozytor imię. A po kilkudziesięciu następnych krokach spotyka pan tego właśnie, od dawna nie widzianego, przyjaciela...

...Właśnie takie - nieraz zresztą niezwykle długie - łańcuchy następstw określam mianem strumieni zdarzeń pokrewnych... I co? Teraz może pan już odpowiedzieć na moje pytanie? Tak też myślałem! To naprawdę świetnie, że zna pan podobne zjawiska z własnych doświadczeń! ...O! przepraszam! Pan chciał coś powiedzieć... Ach, pan nie dostrzega w strumieniach zdarzeń niczego nadzwyczajnego? Oczywiście, oczywiście - niemało da się wyjaśnić: koncentracja myśli wokół jednego zagadnienia, uruchomienie motorów podświadomości, napięcie uwagi pozwalające widzieć rzeczy, które normalnie na pewno by nam umknęły... Wszystko to prawda, mój drogi racjonalisto! Przekona się pan jednak, że wobec ciągu zahaczających o siebie przypadków, jaki porwał mnie sześćdziesiąt mil morskich na południowy zachód od Pireusu wszelkie próby włączenia rozumowych wyjaśnień skazane są na niepowodzenie.

Od razu w Pireusie, w momencie, kiedy wspinałem się po trapie na pokład stateczku, zaszło coś, co zwiastowało nadciągające przesilenie. W moje uszy wślizgnął się kobiecy, zmysłowy szept. Właściwie tylko jedno szeptem wypowiedziane słowo: „mandala”. Rozejrzałem sie: za mną - w dole, na nabrzeżu - stały grupki ludzi, przede mną - w górze, przy burcie - też kotłował się tłumek. Ale obok mnie, w mojej bezpośredniej bliskości, nie było nikogo. Pomyślałem wtedy, że się przesłyszałem. Zwolniono cumy i wypłynęliśmy z portu. Stojąc oparty o reling na rufie patrzyłem na pieniącą się nad śrubami wodę i uporczywie próbowałem wydrzeć słowu jego znaczenie. Wyławiałem poszczególne sylaby, burzyłem ich porządek i układałem nowy, odwracałem kolejność głosek: dalaman, ladamanmanlada, namdala, namdaal, aladnam... Nic z tego nie wychodziło. Moja pamięć wciąż nie podsuwała żadnego odzewu. I dopiero w kilka godzin po odbiciu od portowego nabrzeża, pod wieczór, czas zgęstniał od szybko następujących po sobie epizodów, łańcuch zdarzeń rozwinął się w pełni.

Szedłem korytarzem śródokręcia, gdy nagle zatrzymał mnie pojedynczy, stłumiony stuk. Spojrzałem pod nogi, bo odniosłem wrażenie, że dźwięk dobiegał z dołu. Nie myliłem się - po kokosowym chodniku, jakim wysłano korytarz, wolno toczyła się lśniąca kulka. Podniosłem ją szczerze uradowany tym, że nie zawieruszyła się bezpowrotnie. Gdy ściskałem już w dłoni znajomy kształt i prostowałem plecy, spostrzegłem, że stoję obok uchylonych drzwi. Umocowana na nich mosiężna tabliczka w dwóch jeżykach - po grecku i po francusku - głosiła, że prowadzą do biblioteki. Zaciekawiony pchnąłem je i przekroczyłem próg. Pomieszczenie tonęło w kurzu i mroku, przez które słabymi strużkami sączył się spod sufitu blask nagiej, zażółconej żarówki. Na stalowych półkach pod ścianami i na takimże, stojącym pośrodku stole piętrzyły się stosy książek. Przeważały wśród nich zbiory nowelek science fiction, kryminały i półpornograficzne powieści. Ale zauważyłem też piramidkę tomów prezentujących się nieco dostojniej : grubszych i większych formatem, oprawnych w płótno, mniej zniszczonych. Odłożyłem na bok Biblie i grecko-angielski słownik, które spoczywały na samym szczycie. Trzecia z kolei książka była w jeżyku niemieckim, a jej tytuł brzmiał: „Von Dingen, die am Himmel gesehen werden”. Zna pan niemiecki? Tak sobie? Można
to przetłumaczyć jako rozprawę o rzeczach, które widuje sie na niebie. Napisał ją przed laty Carl Gustav Jung, jeden z uczniów Freuda. Ująłem tom, a on od razu otworzył sie sam; tak jak zazwyczaj łatwo i szeroko rozwierają się te miejsca w książkach, do których najczęściej powracano podczas czytania. Moją uwagę przyciągnęło wpierw zdanie z samej góry stronicy po lewej. Przetłumaczyłem je sobie mniej więcej tak: „Z reguły widzi się na niebie ogniste lub rozżarzone, różnobarwne świecące ciała, okrągłe, w kształcie krążka lub kuli...” Już to tylko powinno było wystarczyć, bym dojrzał rodzenie się związków miedzy zdarzeniami - kula, czyli mój amulet, przywiodła mnie tutaj, kula czekała wśród rządków druku ... Ale prawdziwy wstrząs przeżyłem dopiero w chwile później, gdy przeniosłem oczy na stronice po prawej. Czując narastający łomot serca czytałem, że kształty widzialne na niebie podlegają zasadom interpretacji snów, a kula spokrewniona jest blisko z symbolem całości - man-da-lą! Potrafi pan sobie wyobrazić co się wtedy zaczęło dziać we mnie? Mandala! słowo, które usłyszałem wspinając się po trapie, słowo, którego nie mogłem rozgryźć... Właśnie to słowo wiązało sie z kulą! I kulą był też tajemniczy przedmiot, który znalazłem na skraju przepaści i dzięki któremu poznałem ofiarowaną mi pomoc. I kula oznaczać miała całość. A przecież tym, co dręczyło mnie najbardziej, tym przez co zawaliło się moje dotychczasowe życie, było pękanie świata, jego coraz szybszy rozpad... Wiec?! Skłębione myśli rozsadzały mi mózg, gdy, porwawszy książkę, wyskoczyłem z powrotem na korytarz. Ale tuż za drzwiami znowu stanąłem jak wryty: dokładnie na wprost nich, na przeciwległej ścianie, spostrzegłem kolejny znak. Na pozór jego obecność w tym miejscu była czymś najzupełniej zwyczajnym. Cały statek przyozdobiono na użytek turystów hellenistycznymi akcentami - podłymi kopiami słynnych posągów, zdjęciami białych kolumn i amifiteatrów oraz wykaligrafowanymi w kilku jeżykach sentencjami starożytnych filozofów. Ów znak, o którym przed chwilą wspomniałem, stanowiła taka .właśnie - oprawiona w banalne, złote ramki - myśl. Ale jej treść! Jej treść! Biały arkusik za szkłem wypełniały słowa Ksenofenesa z Kolofonu: „Bóg ma postać kuli; jest cały widzeniem i słyszeniem; jest cały rozumem i myślą; i jest wieczny”. Kula! Kula! I znowu kula! Była zagadką i odpowiedzią; była źródłem moich cierpień i mojej siły; była moim przeznaczeniem. Potrzebowałem samotności; jeszcze raz, w spokoju, musiałem przebiec myślą wszystkie ukazane mi ogniwa łańcucha. Poszedłem na rufę, w to samo miejsce, z którego obserwowałem wcześniej oddalające się brzegi Grecji. Długo stałem w zadumie nie niepokojony przez nikogo. Od początku domyślałem się zresztą - a pan podzieli pewnie mój pogląd - że wyłącznie dla mnie to wszystko było przeznaczone, że właśnie tam, miedzy niebem a morzem, ziściło się ostatnie ze zdarzeń przynależnych do niosącego mnie strumienia. Najsamprzód na środku przejściowej, rozmazanej strefy, w której resztki blasku pozostawionego przez zachodnią zorze wsiąkały w północną czerń, pojawił się mały, mocno błyszczący punkcik. Podążając ku statkowi i jednocześnie przesuwając się na wschód rósł szybko: po kilkudziesięciu sekundach miał wielkość talerza, później przemienił się w spory krąg, a wreszcie przestałem go spostrzegać jako twór płaski i mogłem wyraźnie widzieć wypukłą ścianę wirującej kuli. Gdy zawisła nad moją głową, była już ogromna. Jasność bijąca od niej męczyła oczy, ale nie poczułem najmniejszego wzrostu temperatury. Moich uszu nie dobiegł też żaden nowy dźwięk. Wewnątrz przejrzystej, gładkiej bani przelewała się nieustannie bezkształtna masa we wszystkich odcieniach czerwieni i różu: jak lawa, jak gęsta galareta albo krzepnąca krew. Popchnięty przez przemożny impuls zapragnąłem nagle zjednoczenia z ową rozkołysaną substancją, zatopienia się w niej, rozpłynięcia... Skupiłem całą ofiarowaną mi moc, by przyciągnąć kule do siebie. Na próżno! - w tym samym momencie zaczęła odpływać. Jej ruch sprawiał mi fizyczny ból, ale nie umiałem go powstrzymać. Bezradnie patrzyłem jak kurczy się kształt, jak słabnie światło, jak ginie wśród nocy ostami ślad. I zrozumiałem, że czas jeszcze nie nadszedł.

(Fragment opowiadania „Nieostrość”, które ukaże się w serii „Stało sie jutro”)

O autorze: patrz „Słownik polskich autorów fantastyki”, s.48

Alfred Bester

gwiazdy-moje przeznaczenie (3)

(The Stars My Destination)

Przełożył **Jacek Manicki**

ROZDZIAŁ 14

Foyle ocknął się. w ciemnościach. Przyspieszenie zmysłów było wyłączone, ale ze stanu wyczerpania w jakim się znajdował mógł wnioskować, że w czasie nieprzytomności pozostawał jakiś czas pod przyspieszeniem: Albo wyczerpał się zasilacz, albo... powoli sięgnął ręką za plecy. Zasilacza nie było. Wyjęto go.

Pomacał wokół siebie trzęsącymi się palcami. Leżał w łóżku. Słyszał cichy pomruk licznych wentylatorów i klimatyzacji oraz trzaski i buczenie serwomechanizmów. Znajdował się na pokładzie jakiegoś statku. Był przypięty do łóżka pasami. Statek leciał z wyłączonym ciągiem silników.

Foyle odpiął się, wparł łokcie w materace i wzniósł się w górę. Szybował poprzez mrok szukając po omacku wyłącznika światła lub przycisku dzwonka. Dłonie natrafiły nagle na karafkę z wodą. Na gładkim szkle naczynia wyczuł wypukłe litery. Rozpoznawał je przesuwając po zgrubieniach opuszkami palców. S, S - wyczuł - V, O, R, G, A. . „Vorga" - krzyknął.

Drzwi kabiny otworzyły się. Wpłynęła przez nie jakaś postać rysująca się ciemną sylwetką na tle jasno oświetlonej luksusowej kabiny.

- Tym razem cie zabraliśmy - odezwała się znajomym głosem.

- Olivia? -Tak.

- A wiec to prawda?

- Tak, Gully.

Foyle poczuł, że z oczu płyną mu łzy.

- Jesteś jeszcze osłabiony - powiedziała łagodnie Olivia Presteign. - Chodź, położysz się. Nakłoniła go, żeby wszedł do jej kabiny i położył się na kanapie. Była jeszcze ciepła od jej ciała.

- Byłeś nieprzytomny przez sześć dni. Nie sądziliśmy, że przeżyjesz. Zanim chirurg znalazł na twych plecach baterie, uszły z ciebie wszystkie siły.

- Gdzie jest ta bateria? - wyrzęził.

- Dostaniesz ją, kiedy tylko będziesz chciał. Nie przejmuj się tym teraz, mój drogi.

Spojrzał na nią przeciągle; na swoją Śnieżną Dziewice, na swoją ukochaną Królową Lodu... ta satynowo biała skóra, te ślepe, koralowe oczy i subtelne koralowe usta. Dotknęła jego wilgotnych powiek pachnącą chusteczką.

- Kocham cie - powiedział.

- Sza. Wiem o tym, Gully.

- Ty wiesz o mnie wszystko. Od jak dawna?

- Od początku wiedziałam, że Gully Foyle, kosmonauta z „Nomada", jest moim wrogiem. Do chwili naszego pierwszego spotkania nie wiedziałam, że Fourmyle to ty. Ach, gdybym wiedziała o tym wcześniej. Ileż oszczędziłoby to nam kłopotów.

- Wiedziałaś wszystko i śmiałaś się ze mnie.

- Nie.

- Obserwowałaś mnie z boku i trzęsłaś się ze śmiechu.

- Obserwowałam cie z boku i powoli zaczynałam cie kochać... Nie, nie przerywaj mi. Próbuje być racjonalna, a to nie jest dla mnie łatwe - rumieniec okrasił jej marmurowe lica. - Nie igram teraz z tobą. Ja... zdradziłam cie mojemu ojcu. Tak, zdradziłam. Była to, jak myślę, samoobrona. Teraz, kiedy sie wreszcie na nim poznałam, widzę, że jest zbyt niebezpieczny. W godzinę później wiedziałam już, że popełniłam błąd, gdyż zdałam sobie sprawę, iż cie kocham. Teraz płace za to. Nie potrzeba, żebyś wiedział...

- Myślisz, że w to uwierzę?

- Po co wiec tu jestem? - drżała lekko. - Dlaczego przyleciałam tu za tobą? To bombardowanie było upiorne. Gdybyśmy nie wzięli cie na pokład, zginąłbyś w przeciągu minuty. Twój jacht był wrakiem...

- Gdzie teraz jesteśmy?

- Co to za różnica? Orbitujemy wokół Ziemi.

- Jak zdołałaś mnie wytropić?

- Wiedziałam, że będziesz szukał Lindseya Joyce'a. Wzięłam jeden ze statków mojego ojca. Tak sie złożyło, że jest to znowu „Vorga".

- Czy on o tym wie?

- Nigdy nie wie co robie. Żyje swoim własnym, prywatnym życiem.

Nie mógł oderwać od niej oczu, chociaż patrzenie na nią sprawiało mu ból. Pragnął i nienawidził... pragnął, aby rzeczywistość nie była faktem dokonanym, nienawidził prawdy za to, czym była. Przyłapał sie na tym, że gładzi drżącymi palcami jej chusteczkę.

- Kocham cie, Olivio.

- Kocham cie, Gully, mój wrogu.

- Na miłość boską! - wybuchnął. - Dlaczego to zrobiłaś? Byłaś na pokładzie „Vorgi", gdy przewoziła oszukanych uchodźców. Wydałaś rozkaz wyrzucenia ich w próżnie. Wydałaś rozkaz pozostawienia mnie na pastwę losu. Dlaczego! Dlaczego!

- Co? - odskoczyła od niego. - Żądasz przeprosin?

- Żądam wyjaśnień.

- Nie będę się przed tobą tłumaczyć!

- Krew i pieniądze, jak mawia twój ojciec. Ma racje. Och... Suka! Suka! Suka!

- Tak, krew i pieniądze; i nie wstydzę się tego.

- Tonę, Olivio. Podaj mi rękę.

- To toń. Mnie nikt nigdy nie ratował. Nie, nie... To nie tak, wszystko nie tak. Poczekaj, mój drogi, poczekaj. - Uspokoiła się i zaczęła mówić bardzo czule. - Mogłabym skłamać, kochanu Gully i zrobić to w taki sposób, że uwierzyłbyś, ale będę szczera. Wyjaśnienie jest proste. Żyje swoim własnym, prywatnym życiem. Wszyscy tak żyjemy. Ty także.

- Ale jakie jest to twoje życie?

- Nie różni się od twojego... nie różni się od trybu życia, jaki prowadzi reszta świata. Oszukuje, kłamie, niszczę... jak wszyscy. Jak wszyscy jestem kryminalistką.

- Ale dlaczego? Dla pieniędzy? Ty ich nie potrzebujesz.

- Nie, nie potrzebuje.

- Wiec dla kontroli... dla władzy?

- Nie dla władzy.

- No to dlaczego?

Wzięła głęboki oddech, jakby to co miała wyznać, było pierwszą prawdą jaka przechodzi przez jej usta i to sprawiało jej cierpienie.

- Z nienawiści... Żeby wam odpłacić, wam wszystkim.

- Za co?

- Za to, że jestem ślepa - powiedziała ledwo dosłyszalnym głosem. - Za to, że oszukuje. Za to, że jestem bezradna. Powinni byli mnie zabić, kiedy tylko przyszłam na świat. Czy ty wiesz, co to znaczy być ślepym? Czerpać życie z drugiej reki? Być ciągle zdanym na kogoś, błagającym kaleką? „Sprowadzić ich do mojego poziomu” powiedziałam sobie w moim sekretnym życiu., Jeśli jesteś ślepa, uczyń ich jeszcze bardziej ślepymi. Jeśli jesteś ślepa, uczyń ich bezradnymi, okalecz ich. Odpłać im... im wszystkim”.

- Olivio, jesteś szalona.

- A ty?

- Kocham potwora.

- Jesteśmy parą potworów.

- Nie!

- Nie? Ty nim nie jesteś? - wybuchnęła gniewem. - A czym jest twoje postępowanie jeśli nie takim samym odpłacaniem światu? Czym jest twoja zemsta, jeśli nie wyrównywaniem swoich prywatnych porachunków z brakiem szczęścia w życiu? Jak można nie nazwać cie potworem? Mówię ci, Gully, jesteśmy dobraną parą. Nie mogliśmy się nie pokochać.

Był oszołomiony prawdą jej słów. Próbował przymierzyć do siebie jej zarzuty i pasowały jak ulał, przylegając ściślej niż wytatuowana na jego twarzy tygrysia maska.

- To prawda - powiedział wolno. - Nie jestem lepszy od ciebie. Nawet gorszy. Ale, na Boga, nigdy nie zamordowałem sześciuset ludzi.

- Mordujesz właśnie sześć milionów.

- Co takiego?

- Może i więcej. Znajdujesz się w posiadaniu czegoś, co jest potrzebne, aby zakończyć te wojnę i nie chcesz tego udostępnić.

- Chodzi ci o PirE?

- Tak.

- Co to jest; ten pojednawca, te dwadzieścia funtów cudownej substancji, o którą walczą?

- Nie wiem. Wiem tylko, że tego potrzebują, ale nic mnie to nie obchodzi. Tak, jestem teraz szczera. Nic mnie to nie obchodzi. Niech mordują się milionami. To nie robi nam żadnej różnicy. Nie dla nas, Gully, bo my stoimy z boku. Stoimy z boku i kształtujemy swój własny świat. Jesteśmy silni.

- Jesteśmy przeklęci.

- Jesteśmy błogosławieni. Wreszcie się odnaleźliśmy - roześmiała się niespodziewanie i wyciągnęła ramiona. - Przekonuje cie, jakby potrzeba tu było słów. Chodź do mnie, mój kochany... Chodź do mnie, gdziekolwiek jesteś...

Dotknął ją i objął ramionami. Odszukał jej usta i przywarł do nich żarłocznie, ale coś kazało mu ją puścić.

- Co się stało, Gully, mój kochany?

- Nie jestem już dzieckiem - powiedział znużonym głosem - Nauczyłem się rozumieć, że nic nie jest proste. Nie ma nigdy prostej odpowiedzi. Można kogoś kochać, a zarazem czuć do niego wstręt.

- Ty tak możesz, Gully?

- Sprawiasz, że brzydzę się sobą samym.

- Nie, mój kochany.

- Całe życie byłem tygrysem. Ćwiczyłem... uczyłem się... wciąż starałem się wszelkimi siłami, aby stać sie jeszcze silniejszym tygrysem, o jeszcze dłuższych pazurach i jeszcze ostrzejszych zębach... szybkim i siejącym śmierć...

- I jesteś takim. Jesteś najgroźniejszym tygrysem.

- Nie, nie jestem. Posunąłem się za daleko. Wyrosłem z prymitywizmu. Stałem się istotą myślącą. Patrzę w twoje ślepe oczy, moja miłości, której nienawidzę, i dostrzegam w nich siebie. Nie ma już tygrysa. Odszedł.

- Nie ma takiego, miejsca, do którego mógłby odejść tygrys. Jesteś osaczony, Gully; przez Dagenhama, przez Wywiad, przez mojego ojca, przez cały świat.

- Wiem.

- Ale ze mną jesteś bezpieczny. Jesteśmy bezpieczni trzymając się razem. Oboje. Nie przyjdzie im nawet do głowy, żeby cie szukać przy mnie. Możemy wspólnie planować, wspólnie walczyć i wspólnie ich zniszczyć.

- Nie, nie będziemy działać wspólnie.

- Co to znaczy? - znowu zapłonęła gniewem. - Nadal na mnie nastajesz? To o to ci chodzi? Nadal pragniesz zemsty? No to zaspokój swoją żądze. Stoję przed tobą. No... zniszcz mnie.

- Nie. Skończyłem już z niszczeniem.

- Ach wiem, o co ci chodzi - w jednej chwili znowu stała się czuła. - O twoją twarz, biedaku. Wstydzisz się swojej tygrysiej twarzy, ale ja ją kocham. Płoniesz dla mnie tak jasno. Płoniesz poprzez moją ślepotę. Wierz mi...

- Mój Boże! Jesteśmy parą ohydnych potworów.

- Co ci się stało? - zdziwiła się. Odsunęła się gwałtownie od niego. Jej koralowe oczy błyszczały. Gdzie jest ten mężczyzna, który obserwował ze mną nalot? Gdzie jest ten bezwstydny barbarzyńca, który...

- Odszedł, Olivio. Straciłaś go. Oboje go straciliśmy.

- Gully!

- Już go nie ma.

- Ale dlaczego? Cóż takiego uczyniłam?

- Nie zrozumiesz tego, Olivio.

- Gdzie jesteś? - wyciągnęła rękę, dotknęła go i nagle przywarła doń całym ciałem. - Słuchaj mnie, kochany. Jesteś zmęczony, wyczerpany. To wszystko. Nic nie jest stracone - słowa same cisnęły się jej na usta. - Masz racje. Oczywiście, że masz racje. Byliśmy oboje źli. Ohydni. Ale to już minęło. Nic nie jest stracone. Grzeszyliśmy, bo byliśmy samotni i nieszczęśliwi. Ale odnaleźliśmy sie; możemy się wzajemnie ocalić. Kochaj mnie, Gully. Kochaj mnie zawsze. Na zawsze. Tak długo cie szukałam, tak

długo czekałam, karmiłam się nadzieją, modliłam się...
- Nie. Ty kłamiesz, Olivio, i dobrze o tym wiesz.
- Na miłość boską, Gully!
- Sprowadź „Vorge" na dół, Olivo.
- Mam wylądować?
- Tak.
- Na Ziemi?
- Tak.
- Co chcesz zrobić? Jesteś szalony. Tropią cie... czekają na ciebie... obserwują. Co chcesz zrobić?
- Myślisz że łatwo mi to przychodzi? -odparł. - Robie to, co musze zrobić. Wciąż coś mnie gna. Nie uniknie tego nigdy żaden człowiek, a te ostrogi bolą. Bolą jak cholera.
Stłumił gniew i uspokoił się. Ujął jej dłonie i złożył na nich pocałunek.
- Miedzy nami wszystko skończone, Olivio - powiedział łagodnie. - Ale kocham cie. Zawsze bede cie kochał. Nigdy cie nie zapomnę.

Podsumujmy - powiedział Dagenham uderzając pięścią w stół. - Zbombardowano nas tej nocy, której zdemaskowaliśmy Foyla. Zgubiliśmy go na Księżycu i znaleźliśmy znowu w tydzień później na Marsie. Tam znowu nas zbombardowano. Umknął nam po raz drugi. Od tygodnia brak o nim wszelkich wieści. Zanosi się na następne bombardowanie, nie wiadomo tylko, na' którą z Planet Wewnętrznych teraz kolej. Na Wenus? Na Księżyc? Znowu na Ziemie? Któż to wie. Ale wszyscy wiemy jedno: jeszcze jeden taki nalot bez odwetu z naszej strony i jesteśmy zgubieni.
Popatrzył po twarzach mężczyzn siedzących wokół stołu. Na tle wyłożonej kością słoniową i złotem Komnaty Gwiaździstej Zamku Presteigna jego twarz, wszystkie trzy twarze wyglądały na skupione. Yang-Yeovil spuścił oczy, marszcząc przy tym brwi. Presteign zaciskał swe cienkie wargi.
- Wiemy również - ciągnął Dagenham - że nie możemy wziąć odwetu nie dysponując PirE, a bez Foyla nie potrafimy ustalić gdzie znajduje się PirE.
- Wydałem chyba instrukcje - wtrącił Presteign - aby nie wymieniać nazwy PirE publicznie.
- Po pierwsze - warknął Dagenham - jest to narada prywatna. Po drugie, omawiana sprawa wykracza poza prawa własności. Dyskutujemy o przetrwaniu, a w tym względzie wszyscy mamy równe prawa. Tak, Jiz?
Do Komnaty Gwiaździstej wjauntowała się Jisbella Mc Queen. Była przejęta i rozwścieczona.
- Wciąż ani śladu Foyla.
- Katedra św. Patryka ciągle pod obserwacją?
- Tak.
- Brygada Komandosów nie meldowała jeszcze z Marsa?
- Nie.
- To zdaje się moja sprawa i do tego ściśle tajna - zaprotestował łagodnie Yang-Yeovil.
- Masz tak samo mało tajemnic przede mną, jak ja przed tobą - Dagenham uśmiechnął się niewesoło. - Zobaczymy, Jiz, czy zdołasz wyprzedzić Centrale Wywiadowczą i wrócić tu z tym meldunkiem przed nimi. Ruszaj.
Zniknęła.
- Wracając do praw własności - mruknął Yang-Yeovil - to czy wolno mi będzie zapewnić Presteigna, że Centrala Wywiadowcza gwarantuje mu pełną odpłatność za jego prawa, tytuł i zainteresowanie względem PirE?
- Nie rozpieszczaj go, Yeovil.
- Nasza narada jest rejestrowana - oznajmił chłodno Presteign. - Oferta kapitana znajduje się już w aktach - tu zwrócił swą bazyliszkową twarz ku Dagenhamowi. - Pracuje pan dla mnie, Mr. Dagenham. Proszę, aby powstrzymał się pan od wygłaszania takich aluzji pod moim adresem.
- I pod adresem twoich praw własności? - zapytał Dagenham z uśmiechem denata. - Ty i te twoje cholerne prawa własności. To. wy z waszymi prawami własności wpędziliście nas w te kabałę. W imię twojego prawa własności cały układ znajduje się na granicy unicestwienia. Wcale nie przesadzam. Ta wojna, jeśli jej nie przerwiemy, będzie trwała tak długo, dopóki wszyscy się nie powyrzynamy.
- Zawsze istnieje możliwość kapitulacji - odparł Presteign.
- Wykluczone - odezwał się Yang-Yeovil. - Dyskutowano już o tym w dowództwie i stanowczo odrzucono taką ewentualność. Znamy plany, jakie Satelity Zewnętrzne przygotowały na wypadek odniesienia zwycięstwa. Dotyczą one całkowitego wyeksploatowania Planet Wewnętrznych. My mamy być wyniszczeni i pracować, dopóki nic nie pozostanie. Kapitulacja byłaby dla nas tak samo zgubna, jak kieska.
- Ale nie dla Presteigna - dodał Dagenham.
- Czy nie należałoby raczej powiedzieć: wyłączając tu obecnych? - spytał wdzięcznie Yang-Yeovil.
- W porządku, Presteignie - Dagenham bujał się na swym krześle. - Mów.
- Że co proszę, sir?
- Dowiedzmy się wreszcie wszystkiego o PirE. Mam pomysł, jak zmusić Foyla do mówienia i jak zlokalizować miejsce, w którym ukrył on ten towar, ale najpierw musze wszystko o nim wiedzieć. Teraz ty wnieś w to swój udział.
- Nie - odparł Presteign.
- Co nie?
- Postanowiłem wycofać się z naszego stowarzyszenia informacyjnego. Nic nie powiem na temat PirE.
- Na miłość boską, Presteignie! Czyś oszalał? Co w ciebie wstąpiło? Znowu walczysz przeciwko partii liberalnej Regisa Sheffielda?
- To bardzo proste, Dagenham - wtrącił Yang-Yeovil. - Z moich informacji na temat sytuacji, jaka rozwinęłaby się w następstwie naszej kapitulacji lub kieski wynika, że Presteign poprawiłby swoją pozycje. Nie ulega wątpliwości, iż nosi się on z zamiarem prowadzenia negocjacji w sprawie sprzedaży substancji PirE nieprzyjacielowi, w zamian za... korzyści osobiste.
- Czy nic już cie nie wzrusza? - spytał Dagenham Presteigna. W jego głosie brzmiała pogarda.
- Czy niczym już nie można cie dotknąć? Jesteś samą własnością, niczym więcej? Odejdź, Jiz! To wszystko na nic. Do Komnaty Gwiaździstej wjauntowała się ponownie Jisbella.
- Nadszedł meldunek od Brygady Komandosów - powiedziała. - Wiemy już co się stało z Foylem.
- No, co?
- Wpadł w ręce Presteigna.
- Co?! - Dagenham z Yang-Yeovilem zerwali się z miejsc.
- Odleciał z Marsa prywatnym jachtem, został zestrzelony i widziano, jak zabiera go na pokład SS „Vorga" Presteigna.
- Niech cie diabli, Presteignie - warknął Dagenham. - To dlatego byłeś...

- Zostaw go - rzucił Yang-Yeovil. - Dla niego to też nowina. Popatrz tylko na niego.

Przystojna twarz Presteigna przybrała barwę popiołu. Próbował podnieść się z krzesła i opadł na nie z powrotem.

- Olivia... - wyszeptał. - Z nim... Z tym mętem...

- Presteignie?

- Moja córka, panowie... od pewnego czasu zaangażowana jest w... pewnego rodzaju działalność. To wada rodzinna. Krew i... Starałem się przymykać na to oczy... Utwierdziłem się niemal w przekonaniu, iż się mylę. Ale... Foyle! Ten lump! Ta gnida! Trzeba go zniszczyć! - głos Presteigna osiągnął zatrważająco wysoką nutę, głowa opadła mu do tyłu, jak wisielcowi, a ciałem zaczęły wstrząsać gwałtowne drgawki.

- Co ci...?

- To epilepsja - powiedział Yang-Yeovil. Ściągnął Presteigna z krzesła na podłogę. - Łyżeczkę, Miss McOjueen. Szybko! - Podważył Presteignowi zęby i wsunął miedzy nie łyżeczkę, zabezpieczając w ten sposób jeżyk przed odgryzieniem. Atak skończył się tak samo nagle, jak się zaczął. Drgawki ustały. Presteign otworzył oczy.

- „Petit mai" - mruknął Yang-Yeovil, wyciągając łyżeczkę z ust Presteigna. - Ale będzie przez chwile oszołomiony.

Wtem Presteign zaczął mówić niskim, monotonnym głosem:

- PirE jest stopem piroforycznym. Pirofor to metal, który uderzony lub zadrapany emituje iskry. PirE emituje energie i dlatego do przedrostka Pir dodano literę E - symbol energii. PirE jest roztworem izotopów transplutonowców w stanie stałym i wyzwala energie termojądrową, której wielkość porównać można z energią wytwarzaną podczas wybuchu gwiazdy. Jego odkrywca był zdania, że wyprodukował ekwiwalent pierwotnej protomaterii, z eksplozji której powstał Wszechświat.

- Mój Boże! - krzyknęła Jisbella.

Dagenham uciszył ją ruchem reki i pochylił się nad Prestefgnem.

- W jaki sposób jest on sprowadzany do masy krytycznej, Presteignie? Jak jest wyzwalana ta energia?

- Tak samo, jak z chwilą ruszenia zegara Wszechświata, uwolniona została pierwotna energia odparł monotonnym głosem Presteign. - Za sprawą Woli i Idei.

- Dochodzę do przekonania, że on jest Chrześcijaninem Piwnicznym - mruknął Dagenham do YangYeovila. Podniósł głos. - Może nam to bliżej wyjaśnisz, Presteignie.

- Za sprawą Woli i Idei - powtórzył Presteign. - PirE można detonować tylko przez psychokineze. Jego energie wyzwolić można jedynie myślą. Trzeba chcieć, żeby eksplodował i przekazać ten rozkaz myślą bezpośrednio do niego. To jedyny sposób.

- I nie ma żadnego klucza? Żadnej formuły?

- Nie. Potrzebne są tylko Wola i Idea - błyszczące oczy zamknęły się.

- Słodki Boże! - Dagenham otarł czoło z potu. - Czy to powstrzyma Satelity Zewnętrzne przed dalszymi atakami, Yeovil?

- To powstrzyma przed atakami nas wszystkich.

- To prosta droga do piekła - odezwała się Jisbella.

- A wiec odnajdźmy to i usuńmy z drogi. To moje zdanie, Yeovil. Foyle już majstrował przy tym diabelstwie w swoim laboratorium u św. Patryka, starając się dokonać jego analizy.

- Powiedziałam ci to w największej tajemnicy - wybuchnęła Jisbełła.

- Przepraszam cie, kochana. Nie pora teraz na dyskrecje i przyzwoitość. Słuchaj, Yeovil, musiały pozostać jakieś okruchy tego świństwa... rozsypane tu i tam... jak kurz. W roztworach, w osadach. Musimy zdetonować te pozostałości i wydmuchać całe to diabelstwo z cyrku Foyla.

- Dlaczego?

- Żeby zaczął działać w pośpiechu. Przeważającą cześć PirE musiał gdzieś dobrze ukryć. Uda się tam, żeby ją uratować.

- A co będzie, jeśli ona również wybuchnie?

- Nie wybuchnie. Nie może wybuchnąć, ponieważ jest zamknięta w sejfie z Obojętnego Izomeru Ołowiu.

- Może nie wszystko jest zamknięte w sejfie.

- Jiz mówi, że jest... przynajmniej tak twierdził Foyle.

- Nie mieszaj mnie do tego - powiedziała Jisbełła.

- Tak czy inaczej, musimy ryzykować.

- Ryzykować! - wykrzyknął Yang-Yeovil. - Igrać z wybuchem gwiazdy? Zmienisz Układ Słoneczny w zarzewie kolejnej novej.

- A co nam pozostało? Wskaż inny sposób... i to też będzie sposób grożący zagładą. Czy mamy jakikolwiek wybór?

- Możemy zaczekać - wtrąciła Jisbełła.

- Na co? Aż Foyle, majsterkując, sam wysadzi nas wszystkich w powietrze?

- Możemy go ostrzec.

- Nie wiemy, gdzie jest.

- Możemy go odszukać.

- Ile czasu to zajmie? Czy to też nie będzie ryzyko? A co, jeśli to świństwo leży porozsypywane po różnych kątach i tylko czeka, aż ktoś przemyśli je w energie? Załóżmy, że jakiś szaber-jauntowiec włamuje się do miejsca, w którym jest ukryte i szukając kosztowności rozpruwa sejf? A wtedy mielibyśmy już nie tylko pył czekający na przypadkową myśl, ale całe dwadzieścia funtów.

Jisbełła pobladła. Dagenham zwrócił się do agenta Wywiadu.

- Decyduj, Yeovil. Robimy tak, jak proponuje, czy czekamy? Yang-Yeovil westchnął ciężko.

- Tego się obawiałem - powiedział. - Niech diabli porwą wszystkich naukowców. Będę zmuszony podjąć swą decyzje w oparciu o fakty, których nie znasz, Dagenham. Tą sprawą zajmują się również Satelity Zewnętrzne. Mamy powody, aby przypuszczać, że ich agenci szukają Foyla nie przebierając w środkach. Jeżeli będziemy zwlekać, mogą dopaść go przed nami. Prawdę mówiąc, już mogą go mieć.

- Jaka jest wiec twoja decyzja?

- Detonować. Być może zmusimy tym Foyla do działania w pośpiechu.

- Nie! - krzyknęła Jisbełła.

- Jak? - spytał Dagenham, ignorując dziewczynę całkowicie.

- Mam odpowiednią osobę do tej roboty. To półtelepatka nazwiskiem Robin Wednesbury.

- Kiedy?

- Natychmiast. Ewakuujemy całą okolice. Komunikat nadamy na wszystkich kanałach w dzienniku telewizyjnym. Jeśli Foyle przebywa gdzieś na Planetach Wewnętrznych, usłyszy o tym.

- Nie o tym - powiedziała z rozpaczą w głosie Jisbella. - On usłyszy TO. To będzie ostatnia rzecz, jaką każde z nas usłyszy.

- Wola i Idea - szepnął Presteign.

Jak zawsze, po powrocie z burzliwej rozprawy w leningradzkim sądzie cywilnym, Regis Sheffield był z siebie zadowolony jak zarozumiały bokser zawodowy, który wygrał właśnie trudną walkę. Po drodze zatrzymał się w Berlinie, gdzie wypił drinka i porozmawiał trochę o wojnie, drugiego drinka wychylił w prawniczej spelunce na Quai D'Orsay, gdzie również prowadził dyskusje o wojnie, a trzecią, podobną sesje odbył w Skin and Bones, naprzeciwko Tempie Bar. Kiedy dotarł wreszcie do swojego nowojorskiego biura, był już nieźle wstawiony.

Osobista sekretarka z pełną garścią mnemopaciorków przywitała go, gdy wielkimi krokami przemierzał gwarne korytarze i biura zewnętrzne...

- Zakasowałem Djargo-Danczenke - oznajmił tryumfalnie Sheffield. - Wyrok i pełne odszkodowanie. Stary DD był zły jak diabli. Prowadzę z nim teraz 11:5. - Wziął mnemopaciorki, pożonglował nimi trochę i zaczął je rozrzucać po całym biurze;, celując do najmniej oczekiwanych naczyń, włączając w to rozdziawione usta zagapionego urzędnika.

- Naprawdę, panie Sheffield?! Czy pan pił?

- Fajrant na dzisiaj. Wieści z wojny są zbyt ponure. Musze coś ze sobą zrobić, żeby pozostać w dobrym nastroju. Co by pani powiedziała, gdybyśmy tak poszumieli na ulicy?

- Ależ panie Sheffield!

- Czy czeka na mnie coś, co nie może poczekać jeszcze jeden dzień?

- Jakiś gentleman jest w pańskim biurze.

- Wpuściła go pani tak daleko? - Sheffield sprawiał wrażenie przejętego. - Kim on jest? Bogiem, czy jak?

- Nie podał swojego nazwiska. Wręczył mi tylko to.

Sekretarka wręczyła Sheffieldowi zapieczętowaną kopertę. Widniał na niej napis PILNE. Sheffield rozerwał ją. Jego otępiała twarz pofałdowała się z ciekawości. Wybałuszył oczy. W kopercie znajdowały sie dwa banknoty po 50 000 kredytek każdy. Sheffield odwrócił się bez słowa i wpadł jak bomba do swego prywatnego biura. Foyle podniósł się z krzesła.

- One są autentyczne - wykrzyknął Sheffield.

- O ile mi wiadomo, to tak.

- Dokładnie dwadzieścia sztuk takich banknotów wydrukowano w zeszłym roku. Wszystkie złożono do depozytu w skarbcach ziemskich. Jakim cudem wszedł pan w posiadanie tych dwóch?

- Przekupiłem kogo trzeba.

- Po co one panu?

- Pomyślałem sobie wtedy, że wygodnie będzie mieć je do dyspozycji.

- Do jakiej dyspozycji? Na następne łapówki?

- Jeżeli honorarium prawnika można nazwać łapówką...

- Sam ustalam wysokość moich honorariów - powiedział Sheffield wciskając banknoty z powrotem Foylowi. - Możesz je pan znowu wyciągnąć, jeśli zdecyduje się wziąć pańską sprawą i jeżeli zdecyduje, że jestem ich wart. Jakie masz pan kłopoty?

- Natury kryminalnej.

- Nie wchodź pan jeszcze zbytnio w szczegóły. No wiec...?

- Chce się oddać w ręce sprawiedliwości.

- Znaczy się policji?

- Tak.

- Za jaką zbrodnie?

- Za zbrodnie.

- Wymień pan dwie.

- Rabunek i gwałt.

- Wymień pan jeszcze dwie.

- Szantaż i morderstwo.

- Są jeszcze jakieś inne pozycje?

- Zdrada i ludobójstwo.

- Czy to wyczerpuje pański katalog?

- Myślę, że tak. Kiedy dojdziemy do szczegółów, uda się może wyłowić jeszcze parę.

- Napracowałeś się pan, co? Albo jesteś pan Królem Łajdaków, albo szaleńcem.

- Jestem i jednym, i drugim, panie Sheffield.

- Dlaczego chce się pan ujawnić?

- Opamiętałem się - odparł cierpko Foyle.

- Coś mi się nie wydaje. Kryminalista nigdy się nie podda, dopóki jest na fali. Po panu widzę, że jesteś pan na fali. Co jest wiec przyczyną tej decyzji?

- Najcholerniejsza rzecz, jaka może przytrafić się człowiekowi. Zapadłem na rzadką chorobę., która zwie się. sumieniem.

Sheffield parsknął.

- Tak, to często może się fatalnie skończyć.

- To już się fatalnie skończyło. Nagle zdałem sobie spraw- że postępowałem jak zwierze.

- I teraz chce się pan oczyścić?

- Nie, to nie takie proste - powiedział ponuro Foyle. - Dlatego właśnie przyszedłem do pana... na poważną operacje. Człowiek, który zapaskudził społeczeństwu morfologie, jest rakiem. Człowiek, który stawia swoje prywatne sprawy ponad interesy społeczeństwa, jest kryminalistą. Ale istnieją jeszcze reakcje łańcuchowe. Oczyszczenie z winy tutaj nie wystarcza. Trzeba to wszystko naprawić. Proszę Boga, żeby dało się wszystko wyleczyć przez wysłanie mnie z powrotem do Gouffre Martel lub rozstrzelanie.

- Z powrotem? - przerwał mu ostro Sheffield.

- Mam się wdawać w szczegóły?

- Jeszcze nie. Proszę mówić dalej. Perorujesz pan tak, jakby narastały w panu skrupuły natury etycznej.

- Tak właśnie jest. - Foyle przechadzał się wzburzony po gabinecie mnąc nerwowo banknoty w palcach. - To jest jedna, cholerna bryndza, Sheffield. Jest pewna dziewczyna, która musi zapłacić za wstrętną, ohydną zbrodnie. Fakt, że ją kocham... Nie, mniejsza z tym. Ona ma raka, którego trzeba wyciąć... tak samo jak mnie. To by znaczyło, że do mojego katalogu bede musiał dodać donosicielstwo. Fakt, że jednocześnie sam się ujawniam, nie robi to żadnej różnicy.

- Co ma znaczyć ten cały groch z kapustą? Foyle odwrócił się. do Sheffielda.

- Jedna z noworocznych bomb wchodzi do pańskiego biura i mówi: „Napraw to wszystko. Poskładaj mnie z powrotem do kupy i odeślij tam, skąd przyleciałam. Odbuduj miasto, które zrównałam z ziemią i ożyw ludzi, których rozszarpałam na strzępy". Do tego chce właśnie pana zaangażować. Nie wiem jak rozumuje większość kryminalistów, ale...

- Rozsądnie, jeśli o to chodzi. Jak dobrzy biznesmeni, którzy mieli pecha - odparł szybko Sheffield. To jest właśnie zachowanie się zawodowego kryminalisty. Jest dla mnie oczywiste, że pan jesteś amatorem, jeżeli w ogóle można pana uważać za kryminalistę. Mój drogi panie, bądź pan rozsądny. Przychodzi pan tutaj, oskarżając się ekstrawagancko o rabunek, gwałt, morderstwo, ludobójstwo, zdradę i Bóg raczy wiedzieć o co jeszcze. Czy spodziewa się pan, że potraktuje go poważnie?

Do gabinetu wjauntował się Bunny, aplikant Sheffielda.

- Szefie! - krzyknął w podnieceniu. - Wyszło na jaw coś nowiutkiego. Lubieżny jaunting! Dwaj smarkacze z wyższych sfer przekupili kokotę C klasy, żeby... OOooop. Przepraszam. Nie zauważyłem, że ma pan... - Bunny urwał i gapił się na Foyla. - Fourmyle! - wykrzyknął w końcu.

- Co? Kto? - zawołał Sheffield.

- Nie zna go pan, szefie? - wyjąkał Bunny. - To Fourmyle z Ceres - Gully Foyle.

Przed ponad rokiem Regis Sheffield został, podczas seansu hipnotycznego, specjalnie zaprogramowany i uczulony na te właśnie chwile. Jego ciało przygotowano do odpowiedniego zareagowania bez udziału myśli i reakcja ta była piorunująca. Sheffield rozłożył Foyla w pół sekundy; skroń, krtań, krocze. Zdecydowano się nie uzależniać tej akcji od wszelkiego rodzaju broni, gdyż tej, w krytycznym momencie, mogło nie być akurat pod ręką.

Foyle upadł. Sheffield rzucił się na Bunn'ego i grzmotnął go z taką siłą, że biedak przeleciał przez cały pokój. Potem splunął w dłonie. Zdecydowano nie wykorzystywać w tym celu żadnych narkotyków, gdyż w krytycznym momencie mogło akurat nie być ich pod ręką. Gruczoły ślinowe Sheffielda spreparowano tak, aby zareagowały na bodziec nadczynnością wydzielania. Sheffield rozdarł rękaw marynarki Foyla i wbił paznokieć głęboko w zagłębienie łokcia swej ofiary, przecinając skórę. W powstałą ranę szarpaną wcisnął swoją ślinę i zacisnął mocno dwie krawędzie przecięcia.

Z ust Foyla wyrwał się dziwny wrzask; na jego twarzy wykwitł szkarłatny tatuaż. Zanim oszołomiony aplikant zdołał wykonać jakikolwiek ruch, Sheffield zarzucił sobie Foyla na plecy i jauntował się.

Przybył do św. Patryka, pojawiając się w samym środku Cyrku Four Mile. Było to śmiałe, ale i wyrafinowane posuniecie. Św. Patryk był ostatnim miejscem, w którym spodziewano by się go znaleźć, a zarazem pierwszym miejscem, w którym on mógł spodziewać się odnalezienia PirE. Był gotowy do rozprawienia się z każdym, kogo mógł napotkać w katedrze, ale w cyrku nie było żywego ducha.

Puste namioty nadymały się w nawie jak balony i wyglądały na zdewastowane; już je splądrowano. Sheffield dał nurka do pierwszego, który wpadł mu w oko. Była to przewoźna biblioteka Fourmyle'a, zapełniona setkami książek i tysiącami błyszczących powieścio-paciorków. Szaber-jauntowców nie interesowała literatura. Sheffield rzucił Foyla na podłogę i dopiero teraz wydobył z kieszeni pistolet.

Foyle zamrugał powiekami i otworzył oczy.

- Jesteś pod wpływem narkotyku - powiedział szybko Sheffield. - Nie próbuj jauntować. I nie ruszaj się. Ostrzegam cie, jestem gotowy na wszystko.

Foyle, półprzytomny, próbował wstać. Sheffield bez cienia wahania wystrzelił i osmalił mu ramie. Foylem rzuciło z powrotem o kamienną posadzkę. W uszach mu huczało, a wraz z krwią płynęła jego żyłami trucizna.

- Ostrzegam cie - powtórzył Sheffield. -Jestem gotowy na wszystko.

- Czego chcesz? - wyszeptał słabym głosem Foyle.

- Dwóch rzeczy. Dwudziestu funtów PirE i ciebie. Przede wszystkim ciebie.

- Ty wariacie! Ty cholerny maniaku! Przychodzę do twojego biura, żeby się ujawnić... oddać to...

- Satelitom Zewnętrznym?

- Sate... Co?

- Satelitom Zewnętrznym? Mam ci to przeliterować?

- Nie... - mruknął Foyle. - Mogłem się tego domyślać. Patriota Sheffield agentem Satelitów Zewnętrznych. Powinienem się tego domyślić. Głupiec ze mnie.

- Jesteś najcenniejszym głupcem na świecie, Foyle. Chcemy cie mieć nawet bardziej niż PirE. O PirE, nie wiemy nic, natomiast sporo wiemy o tobie.

- O czym ty mówisz?

- Mój Boże! To ty nie wiesz, co? Nadal niczego nie podejrzewasz?

- Co mam podejrzewać?

- Posłuchaj - powiedział grzmiącym głosem Sheffield. - Cofam się dwa lata wstecz, na „Nomada". Rozumiesz? Z powrotem do momentu śmierci „Nomada". Wykończył go jeden z naszych rajderów. Znaleźli cie na pokładzie wraka - ostatniego żywego człowieka.

- A wiec to statek Satelitów Zewnętrznych rozwalił „Nomada"?

- Tak. Nie pamiętasz tego?

- Nie pamiętam nic, co się wtedy wydarzyło. Nigdy chyba sobie tego nie przypomnę.

- Zaraz ci wszystko opowiem. Rajderowi nasunął się chytry pomysł. Urządzili z ciebie wabika... taką siedzącą kaczkę, rozumiesz? Byłeś półżywy, ale zabrali cie na pokład i połatali. Potem ubrali cie w skafander próżniowy i wypchnęli w kosmos, żebyś tam dryfował z włączoną mirkofalówką. Nadawałeś sygnały alarmowe i jęczałeś o pomoc na wszystkich zakresach fal. Pomysł sprowadzał się do tego, że oni, czając się w pobliżu, ustrzelą statki Planet Wewnętrznych, które przylecą cie ratować.

Foyle zaczął się śmiać.

- Wstaje - powiedział zuchowato. - Strzelaj sobie, sukinsynu, a ja wstaje. - Podniósł się z wysiłkiem z podłogi, przyciskając dłonią zranione ramie.

- A wiec „Vorga" słusznie zrobiła, że mnie nie zabrała - śmiał się Foyle. - Byłem wabikiem. Nikt nie powinien się do mnie zbliżać. Byłem przynętą, pułapką... Czy to nie szczyt ironii? Po pierwsze „Nomad" nie miał żadnego prawa żądać pomocy. Po drugie ja nie miałem żadnego prawa do zemsty.

- Wciąż nic nie rozumiesz - zagrzmiał Sheffield. - Oni, wypychając cie w kosmos, nie znajdowali sie wcale w pobliżu „Nomada". Byli wtedy w odległości 600 000 mil od „Nomada".

- Sześćset ty...?

- „Nomad" dryfował zbyt daleko od szlaków komunikacyjnych. Chcieli wyrzucić cie tam, gdzie będą kursowały statki. Wywieźli cie 600 000 mil od „Nomada" i dopiero tam porzucili w próżni. Wypchnęli cie przez śluzę powietrzną i wycofali się obserwując jak dryfujesz. Światełka pozycyjne twojego skafandra mrugały, a ty skamlałeś o pomoc na mikrofalach. Nagle zniknąłeś.

- Zniknąłem?

- Nie było cie. Ani światełek, ani transmisji. Wrócili, aby sprawdzić co się stało. Nie pozostał po tobie żaden ślad. A potem dowiedzieliśmy się... że wróciłeś z powrotem na „Nomada".

- Przecież to niemożliwe.

- Człowieku, ty jauntowałeś przez kosmos - krzyknął dziko Sheffield. - Byłeś cały połatany i majaczyłeś, ale kosmo-jauntowałeś. Jauntowałeś się przez próżnie na odległość 600 000 mil, z powrotem na wrak „Nomada". Dokonałeś czegoś, czego nikomu przed tobą nie udało się dokonać. Bóg jeden wie jak to zrobiłeś. Sam nawet tego nie wiesz, ale my to wyjaśnimy. Zabieram cie ze sobą na

Satelity, a tam wydobędziemy od ciebie te tajemnice, nawet gdybyśmy mieli ci ją wydrzeć.

Chwycił Foyla swą silną dłonią za gardło, w drugiej ważąc pistolet.

- Ale najpierw musze mieć PirE i ty mi je oddasz, Foyle. Niech ci się nie zdaje, że tego nie zrobisz. Rąbnął Foyla rękojeścią pistoletu w czoło. - Zrobię wszystko, żeby to zdobyć. Niech ci się nie zdaje, że tego nie zrobię. - Uderzył Foyla jeszcze raz; zimno, skutecznie. - Jeżeli szukałeś pokuty, człowieku, to właśnie ją znalazłeś.

Bunny zeskoczył z publicznej jauntrampy przy Five-Points i jak wystraszony królik wpadł głównym wejściem do nowojorskiego biura Centrali Wywiadowczej. Przemknął jak pocisk przez zewnętrzny kordon straży, przez labirynt zabezpieczający i wtargnął do biur wewnętrznych. Ściągając na siebie pogoń zdenerwowanych strażników znalazł się wkrótce oko w oko z co sprawniejszymi wartownikami, którzy zachowując zimną krew jauntowali się przed niego i czekali. Bunny zaczął krzyczeć:

- Yeovil! Yeovil! Yeovil!

Ciągle w oszalałym pędzie kluczył miedzy biurkami przewracając kopniakami krzesła i powodując nieopisany harmider. Ani na chwile nie przestawał wrzeszczeć:

- Yeovil! Yeovil! Yeovil!

Mieli mu właśnie skrócić cierpienie, gdy pojawił się Yang-Yeovil.

- Co tu się dzieje? - warknął. - Wydałem przecież polecenie, żeby zapewnić Miss Wednesbury absolutną cisze.

- Yeovil! - wrzasnął Bunny.

- Kto to jest?

- Asystent Sheffielda.

- Co... Bunny?

- Foyle! - zawył Bunny. - Gully Foyle.

Yang-Yeovil pokonał dzielące ich pięćdziesiąt stóp dokładnie w sekundę i sześćdziesiąt sześć setnych.

- Co z Foylem?

- Sheffield go złapał - wysapał zdyszany Bunny.

- Sheffield? Kiedy?

- Pół godziny temu.

- Dlaczego nie dostarczył go tutaj?

- On go porwał. Wydaje mi się, że Sheffield jest agentem Satelitów Zewnętrznych...

- Dlaczego nie przyszedłeś do mnie od razu?

- Sheffield jauntował się z Foylem. Znokautował go i zniknął. Szukałem ich. Wszędzie. Zaryzykowałem. Zrobiłem chyba z pięćdziesiąt jauntowań w dwadzieścia minut...

- Amator! - wykrzyknął z irytacją Yang-Yeovil. - Dlaczego nie zostawiłeś tego profesjonalistom?

- Znalazłem ich.

- Znalazłeś ich? Gdzie?

- U św. Patryka. Sheffield szuka tam...

Ale Yang-Yeovil odwrócił się już na piecie i gnał korytarzem wrzeszcząc:

- Robin!Robin! Stój! Przestań!

I nagle ich uszy poraził ryk pioruna.

ROZDZIAŁ 15

Wola i Idea rozprzestrzeniały się tak, jak kręgi rozchodzące się po gładkiej tafli jeziora, wyszukując, naciskając i zwalniając subatomowy wyzwalacz PirE. Myśl natrafiała na okruchy, pył, dym, parę, cząsteczki i molekuły. Wola i Idea transformowały je wszystkie.

Na Sycylii, gdzie docent Franco Torre przez cały, wyczerpujący miesiąc pracował nad rozwiązaniem tajemnicy jednej bryłki PirE, odpadki i strącenia wyrzucone zostały do rury kanalizacyjnej, która odprowadzała ścieki do morza. Śródziemnomorskie prądy przez wiele miesięcy rozwlekały te resztki po morskim dnie. Wybuch, który w jednej chwili spiętrzył powierzchnie morza na wysokość pięćdziesięciu stóp, zarejestrowany został przez przyrządy sejsmograficzne od Sardynii w kierunku północnowschodnim po Trypolis na południowym zachodzie. Powierzchnia Morza Śródziemnego uniosła się w jednej mikrosekundzie, przybierając kształt poskręcanego odlewu gigantycznej dżdżownicy, która owinęła się wokół wysp Pantelleria, Lampeduza, Linoza i Malta.

Nieco pozostałości spalono; uleciały kominem wraz z dymem i parą, aby dryfować setki mil, zanim osiadły na powierzchni ziemi. Drobinki te ujawniły się tam, gdzie ostatecznie opadły, czyli w Maroku, w Algierii, w Libii i w Grecji, oślepiającymi, maleńkimi eksplozjami o niewiarygodnej wprost mikroskopijności i natężeniu. Niektóre natomiast pyłki, wciąż jeszcze unoszące się w stratosferze, zdradziły swoją obecność jaskrawymi rozbłyskami, przypominającymi wybuchy umierających gwiazd.

W Teksasie, gdzie profesor John Mantley prowadził te same, kłopotliwe eksperymenty z PirE, większość resztek dostała się do wyeksploatowanego szybu naftowego, wykorzystywanego również jako składowisko odpadków radioaktywnych. Cześć substancji przeniknęła do wód podskórnych i rozprzestrzeniła się powoli na obszarze kilkudziesięciu mil kwadratowych. Dziesięć mil kwadratowych teksańskich prerii zadrżało, zafalowało i sprążkowało się na podobieństwo welwetu. Gaz z ogromnych nie odkrytych jeszcze złóż znalazł wreszcie ujście i trysnął spod ziemi, a iskry, powstałe przy zderzeniu sie fruwających we wszystkich kierunkach kamieni, spowodowały jego zapłon. Rycząca pochodnia osiągnęła dwieście stóp wysokości.

Miligram PirE osadzony na krążku bibuły filtracyjnej, dawno już wyrzuconej i zapomnianej, dostał sie w tryby maszyny do przemiału makulatury, aby w końcu, wprasowany w formę drukarską, zniszczyć cały wieczorny nakład „Glasgow Observera”. Odprysk PirE, przyczepiony do fartucha laboratoryjnego, dawno już przerobionego na papier szmaciany, zniszczył bilecik o treści „Dziękuje”, skreślony ręką Lady Shrapnel, a przy okazji tonę ważnej korespondencji, przewożonej właśnie wagonem pocztowym.

Mankiet koszuli, zanurzony nieopatrznie w kwaśnym roztworze PirE, dawno wyrzucony razem z koszulą i noszony obecnie pod futrem z norek przez Szaber-jauntowca, wybuchając oderwał mu dłoń wraz z nadgarstkiem w jednej, ognistej amputacji. Decymiligram PirE, wciąż przyczepiony do kryształowej tacki wchodzącej kiedyś w skład parownicy w laboratorium chemicznym, a służącej obecnie za popielniczkę wzniecił pożar, który strawił biuro niejakiego Bakera, kolekcjonera wybryków natury i producenta potworów.

Wzdłuż i wszerz całej planety następowały eksplozje izolowane, łańcuchy eksplozji, fajerwerki pożarów, maleńkie rozbłyski ognia i meteorytowe błyski na niebie.

Ziemie, od eksplozji następujących w jej wnętrzu, poryły wielkie kratery i wąskie szczeliny.

U św. Patryka, w laboratorium Fourmyle’a, spoczywała nie izolowana jedna dziesiąta grama PirE. Reszta znajdowała się w specjalnym sejfie z Obojętnego Izomeru Ołowiu,

który zabezpieczał ją przed przypadkowym oraz umyślnym zapłonem psychokinetycznym. Oślepiający błysk energii uwolnionej przez te jedną dziesiątą grama rozsadził mury katedry i rozłupał posadzki, jak gdyby budowlą targnęło jakieś wewnętrzne trzęsienie ziemi. Strzeliste kolumny podtrzymywały przez ułamek sekundy strop, po czym rozsypały się. Grzmiącą lawiną runęły wieże, iglice, filary, przypory i dach, aby w równowadze chwiejnej zawisnąć pogmatwanym rumowiskiem nad krawędzią ziejącego w posadzce krateru. Jedno tchnienie wiatru, jeden najdrobniejszy wstrząs i wszystko to runęłoby w czeluść wyrwy, zasypując ją aż po brzegi sproszkowanym gruzem.

Ciepło wytworzone podczas eksplozji porównywalne z temperaturą panującą we wnętrzu gwiazdy, wznieciło setki pożarów i stopiło zaśniedziałe ze starości, miedziane blachy, którymi pokryty był zapadnięty dach. Jeśli zdetonowanego PirE byłoby o miligram więcej, ciepło wytworzone podczas wybuchu spowodowałoby natychmiastowe wyparowanie metalu. Ale zamiast tego, rozżarzony do białości, zaczął on płynąć. Spływał strumyczkami ze szczątków zdruzgotanego dachu szukając sobie drogi w dół poprzez galimatias kamieni, żelaza, drewna i szkła niczym jakaś potworna, płynna pleśń pełzająca przez splątane sito.

Dagenham i Yang-Yeovil przybyli na miejsce katastrofy niemal równocześnie. W chwile później pojawiła się tam Robin Wednesbury, a za nią Jisbella McOjueen. Wraz z Jaunt-Gwardią Presteigna i policją przyjauntowało przed katedrę z tuzin funkcjonariuszy Wywiadu oraz sześciu kurierów Dagenhama. Utworzyli zaraz kordon wokół płonącej budowli, ale gapiów było bardzo niewielu. Po szoku jakim był sylwestrowy nalot, ta pojedyncza eksplozja wywołała taką panikę, że w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia jauntowało się na oślep pół Nowego Jorku.

Ryk ognia był przerażający, a grozę sytuacji potęgowało masywne rumowisko ton gruzu, grożące w każdej chwili zawaleniem. Trzeba było krzyczeć, aby być słyszalnym, to z kolei stwarzało niebezpieczeństwo wywołania wibracji, które mogłyby się okazać fatalnymi w skutkach. Yang-Yeovil wywrzeszczał Dagenhamowi do ucha najnowsze wieści o Foylu i Sheffieldzie. Dagenham skinął głową, a na ustach wykwifł mu jego uśmiech denata.

- Musimy tam wejść - krzyknął.

- Skafandry ognioodporne - odkrzyknął mu Yang-Yeovil.

Znikł na moment i pojawił się ponownie z dwoma białymi skafandrami ognioodpornymi, jakie nosiły Oddziały Ratownicze. Na ten widok Robin z Jisbella zaczęły wykrzykiwać histeryczne sprzeciwy. Dwaj mężczyźni, nie zwracając najmniejszej uwagi na protesty kobiet, wśliznęli się w ochronne pancerze i stąpając ostrożnie, weszli w szalejące piekło.

Wnętrze św. Patryka wyglądało tak, jakby jakaś monstrualnych wielkości łapa wymiesiła tu wieloskładnikowy dżem z drewna, kamienia i metalu. Poprzez każdą szparę pełzały jeżyki płynnej miedzi, spływając z wolna w dół, podpalając po drodze drewno, krusząc cegły i miażdżąc szkło. Miedź pełzająca zwartym strumieniem ledwie się jarzyła, jednak skapując z wysokości, rozbryzgiwała się na wszystkie strony oślepiającymi kroplami rozgrzanego do białości metalu.

Poniżej dżemu, tam gdzie jeszcze niedawno znajdowała się podłoga katedry, ział czarny krater. Eksplozja rozerwała kamienne płyty posadzki, odsłaniając znajdujące się głęboko pod nią podziemia, lochy i krypty. Te również zasypane były rumowiskiem cegieł, kamieni, belek, rur, drutu i strzępów namiotów Cyrku Four Mile. Po tym wszystkim pełgały chwiejne ogniki. I w tym właśnie momencie, do krateru skapywać zaczęły pierwsze krople miedzi, oświetlając jaskrawymi, płynnymi rozbryzgami jego mroczną czeluść.

Dagenham trącił Yang-Yeovila w ramie, pragnąc zwrócić jego uwagę na coś, co wskazywał palcem. W połowie drogi do dna krateru, na samym środku rumowiska, spoczywało ciało Regisa Sheffielda, obdarte ze skóry i poćwiartowane przez eksplozje. Z kolei Yang-Yeovil trącił w ramie Dagenhama i wskazał coś palcem. Na samym niemal dnie krateru leżał Gully Foyle i gdy oświetlił go następny rozprysk płynnej miedzi, dostrzegli, że się porusza. Obaj mężczyźni zawrócili natychmiast i wyczołgali się z katedry celem odbycia krótkiej narady.

- Żyje.

- Jak to możliwe?

- Można się tylko domyślać. Widziałeś te strzępy namiotu walające się przy nim? Wybuch musiał nastąpić w drugim końcu katedry i namioty, za którymi stał Foyle, zamortyzowały fale uderzeniową. Potem spadł na dół przez krater, jaki otworzył się w posadzce, zanim coś zdążyło go uderzyć.

- Kupuje to. Musimy go stamtąd wydostać. Jest jedynym człowiekiem, który wie, gdzie znajduje sie PirE.

- Czy ono może ciągle być gdzieś tutaj... nie zdetonowane?

- Jeżeli leży w sejfie, to tak. Ten materiał jest odporny na wszystko. Nie zawracaj sobie teraz tym głowy. Pomyśl lepiej jak go wyciągnąć.

- Nie możemy się spuścić na dół.

- Dlaczego?

- Czy to nie oczywiste? Jeden fałszywy krok i cała ta masa runie.

- Widziałeś te miedź spływającą na dół?

- Tak, na Boga!

- Jeśli nie wyciągniemy go w przeciągu dziesięciu minut, znajdzie się na samym dnie kałuży płynnej miedzi.

- Co robić?

- Mam pewien pomysł. -Jaki?

- Po drugiej stronie ulicy stoją budynki dawnego RCA. Ich piwnice znajdują się na tym samym poziomie, co podziemia świętego Patryka.

- No i...?

- Zejdziemy do nich i spróbujemy przebić tunel. Może tą drogą uda nam się wyciągnąć Foyla.

Brygada ratowników włamała się do starodawnych budynków RCA, opuszczonych i zapieczętowanych dwie generacje temu. Dostali się do arkadowych piwnic, rozwalając po drodze muzealne magazyny detali z zamierzchłych czasów, znaleźli szyby starożytnych wind i spuścili się nimi na drugi poziom podziemi, zapełniony instalacjami elektrycznymi, ciepłowniczymi oraz systemami chłodniczymi. Stamtąd zeszli jeszcze niżej, do kanałów, zanurzając się po pas w wodzie pochodzącej ze strumieni prehistorycznej wyspy Manhattan, strumieni, które wciąż płynęły pod pokrywającymi je ulicami.

Brnąc tak po pas w wodzie kanałem prowadzącym w kierunku północno-wschodnim i z każdym krokiem zbliżając się do położonych po przeciwnej stronie ulicy krypt katedry św. Patryka stwierdzili nagle, że przed nimi smolistą czerń, w której do tej pory się poruszali, rozprasza migotliwy poblask ognia. Dagenham krzyknął i rzucił się do przodu. Eksplozja, która odsłoniła drugi poziom podziemi

katedry św. Patryka, rozerwała również ścianę oddzielającą znajdujące się tam krypty od piwnic budynku RCA. Wychylając się poprzez postrzępioną dziurę w kamieniu i ziemi mogli zajrzeć na dno piekła.

Pięćdziesiąt stóp od wyrwy dostrzegli Foyla uwikłanego w labirynt poskręcanych belek, kamieni, rur, blach i drutu. Oświetlały go ryczące na górze płomienie i pełgające wokół niego, chwiejne ogniki. Paliło sie na nim ubranie a na twarzy pulsował szkarłatny tatuaż. Poruszał się niemrawo, jak zdezorientowane zwierze schwytane w potrzask.

- Mój Boże! - wykrzyknął Yang-Yeovil. - Płonący Człowiek!

- Co?

- Płonący Człowiek, którego widziałem na Schodach Hiszpańskich. Mniejsza z rym. Co robimy?

- Wchodzimy, ma się rozumieć.

Nagle, niemal ocierając się. o Foyla, przetoczyła się w dół jasna, rozżarzona do białości kula miedzi i osiągając położone dziesięć stóp niżej dno krateru rozprysneła się na sto skwierczących kropli. Za nią spłynęła druga, trzecia i po chwili płynął tamtędy nieprzerwany strumień roztopionego metalu. Zaczęła tworzyć się kałuża. Dagenham i Yang-Yeovil nasunęli na twarze szyby ochronne swych hełmów i wpełzli przez dziurę w murze do środka. Po trzech minutach daremnych wysiłków zdali sobie sprawę, że nie przedrą się do Foyla przez te plątaninę. Była nie do przebycia od zewnątrz, ale można się. było przedostać przez nią od środka. Dagenham i Yang-Yeovil wycofali się na naradę.

- My go nie wydostaniemy - krzyknął Dagenham - ale może wyjść stamtąd sam.

- Jak? Przecież nie może jauntować, bo inaczej dawno by go już tam nie było.

- Nie. Może się wspiąć na górę. Popatrz. Idzie w lewo, potem pod górę, odwraca się, obchodzi tamtą belkę, prześlizguje się pod nią i przeciska przez ten kłąb drutu. Tych drutów nie da się przebyć od naszej strony i dlatego nie możemy do niego dotrzeć, ale można się przecisnąć miedzy nimi od środka, a wiec musi się. stamtąd wydostać o własnych siłach. To jest droga jednokierunkowa.

Kałuża płynnej miedzi dopełzała już do stóp Foyla.

- Jeśli zaraz stamtąd nie wyjdzie, upiecze się żywcem.

- Będziemy musieli mu mówić jak ma iść... co ma robić. Obaj mężczyźni zaczęli krzyczeć:

- Foyle! Foyle! Foyle!

Płonący Człowiek poruszał się wciąż niemrawo w swym potrzasku. Ulewa skwierczącej miedzi przybrała na sile.

- Foyle! Obróć się w lewo. Słyszysz, Foyle! Obróć się w lewo i wspinaj się pod górę. Wydostaniesz sie stamtąd, jeśli będziesz robił co mówię- Obróć się w lewo i wspinaj się pod górę. Potem... Foyle!

- Nie słyszy. Foyle! Gully Foyle! Słyszysz nas?

- Poślij po Jiz. Może jej usłucha.

- Nie, lepiej po Robin. Jest telenadawczynią. Będzie musiał jej słuchać.

- Ale czy ona to zrobi? Czy będzie chciała ocalić akurat jego?

- Będzie musiała. To coś ważniejszego niż nienawiść. W tej chwili nie ma ważniejszej sprawy na tym cholernym świecie. Sprowadzę ją. - Yang-Yeovil zaczął się wyczołgiwac. Dagenham powstrzymał go.

- Czekaj, Yeo. Popatrz no na niego. On migocze.

- Migocze?

- Popatrz tylko... Mruga jak robaczek świętojański. Patrz! Raz go widać, a raz nie widać.

Postać Foyla to pojawiała się, to znikała i tak na przemian z bardzo dużą częstotliwością. Przywodziło to na myśl świetlika schwytanego w płonącą pułapkę.

- Co on wyprawia? Co on próbuje zrobić? Co się dzieje?

Próbował uciec. Szaleńczo miotał się na wszystkie strony niczym usidlony świetlik albo ćma, która wpadła do klosza płonącej lampy naftowej... niczym osmalone ogniem stworzenie tłukące się na oślep po nieznanym.

Dźwięk docierał doń jako obraz jako dziwne, świetlne wzory. Widział dźwięk wykrzykiwanego w oślepiającym rytmie własnego nazwiska:

FOYLE FOYLE FOYLE
FOYLE FOYLE FOYLE
FOYLE FOYLE FOYLE
FOYLE FOYLE FOYLE
FOYLE FOYLE FOYLE

Ruch odczuwał jako dźwięk. Słyszał trzepotanie płomieni, słyszał kłęby dymu, słyszał migotliwe, drwiące cienie, wszystko przemawiało ogłuszająco dziwnymi jeżykami:

- BURUU GYARRR? - pytała para.

- Asza. Asza, rit-kit-dit-zit m'gid-od - odpowiadały szybkie cienie.

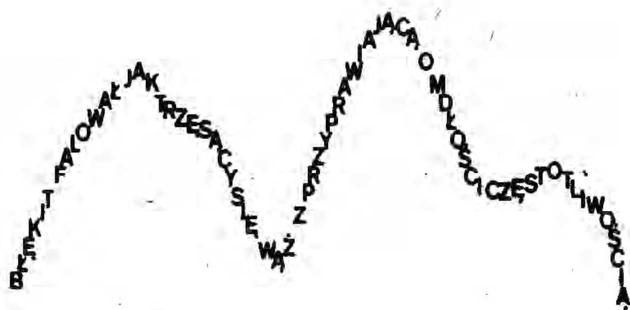
- Ochhh. Achhh. Hiii. Tiii - wrzeszczały fale ciepła.

Nawet płomienie pełzające po jego własnym ubraniu ryczały mu żargonem w uszy:

- MANTERGEISTMANNN! - wyły.

Barwa była dlań bólem... ciepłem, zimnem, ciśnieniem, wrażeniami wysokości nie do zniesienia i głębin bez dna, straszliwych przyspieszeń i miażdżących przeciążeń:

CZERWIEŃ UMKNĘŁA ODEŃ
ZAATAKOWAŁO ŚWIATŁO ZIELONE



Dotyk był dlań smakiem - czuł w ustach kwaskowaty smak drewna i słony metalu, kamień dotknięty palcami smakował kwaśno-słodko, a kontakt ze szkłem zepsuł mu apetyt mdlącą słodyczą.

Węch był dlań dotykiem - gorący kamień pachniał jak pieszczący policzek aksamit. Dym i popiół były szorstkim, obcierającym skórę tweedem, przypominającym w dotyku namokniety brezent. Płynny metal pachniał jak stukot jego walącego w piersiach serca, a jonizacja wywołana wybuchem PirE wypełniała powietrze ozonem, który pachniał jak przeciekająca przez palce woda.

Nie był ślepy, ani głuchy, ani pozbawiony czucia. Spłynęło nań dziwne doznanie, ledwie przefiltrowane przez system nerwowy, pogmatwany i pozwierany na skutek szoku wywołanego wybuchem PirE. Cierpiał na synestezje - ten

zadziwiający stan, w którym zmysły odbierają bodźce ze świata obiektywnego i przekazują je do mózgu, ale tam, w mózgu, wrażenia zmysłowe zostają przemieszane. I tak dźwięk rejestrowany był przez mózg Foyla jako obraz, ruch jako dźwięk, barwa sprawiała ból, dotyk stawał się smakiem, a zapach dotykiem. Był uwięziony nie tylko w labiryncie piekła szalejącego pod ruinami katedry św. Patryka; był również więźniem kalejdoskopu własnych, przemieszanych zmysłów.

I znowu, zdesperowany, na upiornej krawędzi zagłady, zrzucił wszystkie więzi i nawyki życiowego doświadczenia, czy też może został z nich wyzuty. Powrócił od uwarunkowanego iloczynu środowiska i doświadczenia do kierującej się instynktem istoty pragnącej uciec i przetrwać i wkładającej w to wszystkie swoje siły. I znowu, jak przed dwoma laty, zdarzył się. cud. Nieodłączna energia całego ludzkiego organizmu, energia zawarta w każdej komórce, każdym włóknie, każdym nerwie i mięśniu umożliwiła mu zrealizowanie tego pragnienia i Foyle znowu kosmo-jauntował.

Gnał wzdłuż linii hiperdezyjnych, zakrzywiającego się wszechświata z prędkością myśli, daleko przewyższającą szybkość światła. Jego prędkość względem słońca była tak przerażająco wielka, że przypisana mu oś czasu odgięła się od prostej przeciągniętej pionowo od Przeszłości poprzez Teraźniejszość ku Przyszłości. Gnał migocząc wzdłuż nowej, niemal poziomej teraz osi, wzdłuż tej nowej, czasoprzestrzennej linii hiperdezyjnej, kierowany geniuszem ludzkiego umysłu nie blokowanym już pojęciem niemożliwości.

Dokonał znowu tego, czego nie udało się dokonać Helmutowi Grantowi, Enzio Dandridge'owi i dziesiątkom innych eksperymentatorów, bowiem ślepa panika, jaka nim owładnęła, kazała mu zapomnieć o czasoprzestrzennych zakazach, które udaremniły wcześniejsze próby. Nie jauntował się do Gdziekolwiek, ale do Kiedykolwiek. Co jednak najważniejsze, świadomość czwartego wymiaru, kompletnego obrazu Wektora Czasu i swojego na nim położenia, która, choć skryta gdzieś głęboko przez rutynę życia, drzemie w każdym człowieku - była u Foyla tuż pod powierzchnią. Jauntował wzdłuż hiperdezyjnych linii czasoprzestrzeni do Gdziekolwiek i Kiedykolwiek przenosząc dzięki wspaniałemu aktowi wyobraźni „j" - pierwiastek kwadratowy z minus jedności - ze zbioru liczb urojonych do zbioru liczb rzeczywistych.

Jauntował.

Jauntował się wstecz wzdłuż osi czasu do przeszłości. Stał się Płonącym Człowiekiem, który wzbudzał w nim takie przerażenie i zdumienie na plaży w Australii, w gabinecie szarlatana z Szanghaju, na Schodach Hiszpańskich w Rzymie, na Księżycu i w Kolonii Skopców na Marsie. Jauntował się wstecz poprzez czas, odwiedzając ponownie pola okrutnych bitew, które stoczył w swym tygrysim polowaniu Gully Foyle - mściciel. Jego ogniste pojawienia były czasami zauważane, czasami nie.

Jauntował się.

Był na pokładzie „Nomada" dryfującego w mroźnej pustce kosmosu.

Stał w drzwiach donikąd.

Chłód miał smak cytryny, a próżnia drapała mu skórę pazurami. Słońce i gwiazdy były febrą trzęsącą jego kośćmi.

- GLOMMHA FREDNIS! - ryczał mu w uszy ruch.

Korytarzem oddalała się jakaś postać odwrócona do niego plecami; postać z miedzianym kotłem wypełnionym racjami żywnościowymi na ramieniu; postać rzucająca się przed siebie, płynąca w próżni, posuwająca się gwałtownymi skrętami ciała poprzez nieważkość. To był Gully Foyle.

- MEEHAT JESSROT - wyło mu w uszach na widok tego ruchu.

- Aha! Oho-ho! M'git not to kak - odpowiadało migotanie świateł i cieni.

- Oooooooch? Soooooo? - pomrukiwała rozbudzona ze snu szumowina gratów.

Smak cytryny w ustach stał się nie do zniesienia. Drapanie pazurów po skórze było torturą. Jauntował się.

W niecałą sekundę po zniknięciu, pojawił się znowu w piecu pod gruzami św. Patryka. Jak ćme ciągnęło go do płomieni, od których usiłował uciec. Tylko przez chwile wytrzymał ryczącą meke. Jauntował się. Był w otchłani Gouffre Martel.

Aksamitna ciemność była dlań rozkoszą, rajem, błogosławieństwem.

- Ach! - krzyknął z ulgą.

- Ach! - wróciło echo jego głosu a dźwięk ten przeistoczył się w oślepiającą mozaikę światła:

AHA HA HA HA HA HA HA HA HA
AHA HA HA HA HA HA HA HA HA
AHA HA HA HA HA HA HA HA HA
AHA HA HA HA HA HA HA HA HA
AHA HA HA HA HA HA HA HA HA
AHA HA HA HA HA HA HA HA HA
AHA HA HA HA HA HA HA HA HA

Płonący Człowiek skrzywił się z bólu.

- Dość! - zawołał oślepiony hałasem i znowu nadleciała olśniewająca mozaika światła:

DoŚćDoŚćDoŚć
ŚćDoŚćDoŚćDoŚć
DoŚćDoŚćDoŚćDoŚć
ŚĆD0ŚĆD0ŚĆD0ŚĆD0ŚĆD0ŚĆ
DoŚćDoŚćDoŚćDoŚć
ŚćDoŚćDoŚćDoŚć
DoŚćDoŚćDoŚć

W łagodnych wzorach zórz polarnych doszedł jego oczu odległy tupot nóg:

t t t t t t t t
u u u u u u u u
p p p p p p p p
o o o o o o o o
t t t t t t t t

ROZLEGŁ SIĘ KRZYK JAK ZYGZAK BŁYSKAWICY

AATAKOWAŁ GO SNOP ŚWIATŁA

To była grupa pościgowa ze szpitala Gouffre Martel, tropiąca Foyla i Jisbelle McQueen geofonem. Płonący Człowiek znikł, ale przedtem, nieświadomie, odciągnął ścigających z tropu zbiegów.

Był z powrotem pod gruzami św. Patryka, pojawiając się tam w chwile po swym ostatnim zniknięciu. W swych dzikich wypadach w nieznane błąkał się po przypadkowych liniach hiperdezyjnych czasoprzestrzeni, które nieuchronnie sprowadzały go z powrotem do Teraźniejszości, od której pragnął uciec, bowiem na odwróconej krzywej siodłowej czasoprzestrzeni, jego Teraźniejszość była punktem położonym najniżej.

Mógł, wzdłuż linii hiperdezyjnych, poruszać się w górę w przyszłość i przeszłość, ale zawsze potem musiał spaść znowu do swej własnej Teraźniejszości, jak popchnięta po pochyłej ściance z dna dołka o nieskończonej głębokości piłka, która toczy się coraz to wolniej i wolniej, aby w końcu zatrzymać się na moment w bezruchu i stoczyć z powrotem w otchłań.

Ale zrozpaczony, wciąż miotał się w nieznane.

Znowu się jauntował.

Był na australijskim wybrzeżu, na plaży Jervis Beach.

Ruch bijących o brzeg fal wywrzaskiwał:

- LOGGERMKT CROTEHAVEN!

Szum przyboju oślepiał go światłami baterii reflektorów.

Przed nim stali Gully Foyle i Robin Wednesbury. Na piasku, który w ustach Płonącego Człowieka wywoływał smak octu, leżało ciało mężczyzny. Wiatr smagający mu twarz smakował jak szary papier.

Foyle otworzył usta i krzyknął. Dźwięk ten rozbłysnął w płonących, jasnych jak gwiazdy bąblach.

Foyle postąpił krok.

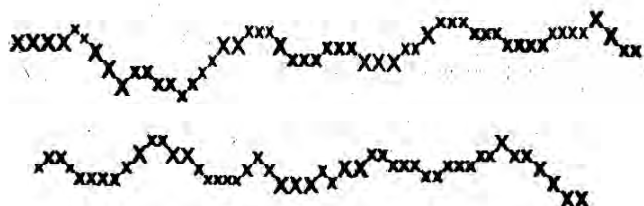
- GRASZ? - wrzasnął ruch.

Płonący Człowiek jauntował się.

Był w biurze Sergeia Orela w Szanghaju.

Przed nim znowu stał Foyle mówiący świetlnymi wzorami:

K J T K J T K J T
I E E I E E I E E
M S Ś M S Ś M S Ś



Mignął ponownie do katedry św. Patryka i znowu się jauntował.

BYŁ NA ROZWRZESZCZANYCH SCHODACH HISZPAŃSKICH. BYŁ NA ROZWRZESZCZANYCH SCHODACH HISZPAŃSKICH. BYŁ NA ROZWRZESZCZANYCH SCHODACH HISZPAŃSKICH. BYŁ NA ROZWRZESZCZANYCH SCHODACH HISZPAŃSKICH. BYŁ NA ROZWRZESZCZANYCH SCHODACH HISZPAŃSKICH. BYŁ NA ROZWRZESZCZANYCH SCHODACH HISZPAŃSKICH.

Płonący Człowiek jauntował się.

Znowu było zimno smakiem cytryny i próżnią drapiącą mu skórę ohydnymi pazurami. Zaglądał przez iluminator



srebrzystego jachtu. W tle wznosiły się postrzępione, księżycowe góry. Wewnątrz widział hałaśliwy szczek pompy krwi i pompy tlenu i słyszał ryk ruchu, który Gully Foyle wykonał w jego kierunku. Szponiasta próżnia ścisnęła go za gardło rozdzierającym chwytem.

Hiperdezyjne linie czasoprzestrzeni zepchnęły go z powrotem do Teraźniejszości, pod ruiny św. Patryka, gdzie od momentu, kiedy podjął swą szaleńczą walkę nie upłynejy jeszcze dwie sekundy, i znów rzucił się płonącą włócznią w nieznane.

Był w katakumbach Skopców na Marsie. Przed nim wił się biały ślimak, będący Lindseyem Joyce'em.

- NIE! NIE 1 NIE! - krzyczały jego ruchy. - NIE RAŃ MNIE. NIE ZABUĄJ. MNIE. PROSZĘ CIĘ, NIE... NIE... NIE.

Płonący Człowiek otworzył swe tygrysie usta i roześmiał się.

- Ona cierpi - powiedział. Dźwięk własnego głosu poraził mu oczy.

- Kim jesteś? - szepnął Foyle.

KKKKKKKKKKKKK
I I I I I I I I I I I I I I I I I
M M M M M M M M M M

J J J J J J J J J J J J J
EEEEEEEEEEEEEE
SSSSS3SSSSSSSS

TTTTTTTTTTTTTT
EEEEEEEEEEEEEE
ŚŚŚŚŚŚŚŚŚŚŚŚŚŚ

Płonący Człowiek skrzywił się z bólu.

- Za jasno - powiedział. - Mniej światła. Foyle postąpił krok naprzód.

- BLAA-GAA-DAA-MAŁŁ! - zawył ruch.

Płonący Człowiek zatkał sobie uszy dłońmi w śmiertelnej udręce.

- Za głośno! - krzyknął. - Nie ruszaj się tak głośno. Ruch wijącego się Skopca wrzeszczał wciąż błagalnie:

- NIE RAŃ MNIE. NIE RAŃ MNIE.

Płonący Człowiek roześmiał się znowu. Była niema dla normalnych ludzi, lecz dla jego przemieszanych zmysłów treść jej błagań była jasna.

- Słuchaj jej; ona krzyczy. Błaga. Nie chce umierać. Nie chce cierpieć. Słuchaj jej.

- TO OLIVIA PRESTEIGN WYDAŁA TEN ROZKAZ. OLIVIA PRESTEIGN, NIE JA. NIE RAŃ MNIE. TO

DUVIA PRESTEIGN.

- Ona mówi kto wydał ten rozkaz. Czy nie słyszysz? Słuchaj oczyma. Ona mówi że to Olivia.

Połyskliwa szachownica pytania Foyla przekraczała już jego wytrzymałość. Płonący Człowiek ponownie zinterpretował drgawki Skopca.

- On mówi, że to Olivia Presteign. Olivia Presteign. Olivia Presteign. Jauntował się.

Spadł z powrotem pod ruiny św. Patryka i nagle zamęt w głowie i bezgraniczna rozpacz powiedziały mu, że nie żyje. To był koniec Gully Foyla. To była wieczność, a piekło było realne. To co widział, było przeszłością przesuwającą się przed jego rozsypującymi się zmysłami w ostatnim momencie życia. To co znosił, musiał znosić po wsze czasy. Nie żył. Wiedział, że nie żył.

Nie chciał poddać się wieczności.

Znowu rzucił się na oślep w nieznane.

Płonący Człowiek jauntował się.

Był w roziskrzonej mgle, w śnieżnym obłoku gwiazd, pod prysznicem płynnych diamentów. Poczuł na skórze muśnięcie skrzydłem motyla. W ustach rozchodził się smak sznura zimnych pereł. Jego przemieszane jak w kalejdoskopie zmysły nie mogły mu powiedzieć gdzie się znajduje, ale wiedział, że chce pozostać w tym Nigdzie na zawsze.

- „Cześć, Gully”.

- Kto to?

- „To ja, Robin”

- Robin?

- Dawniej Robin Wednesbury”.

- Dawniej?

- „TerazRobin Yeovil.”

- Nie rozumiem. C :y ja umarłem?

- „Nie, Gully”.

- Gdzie ja jestem?

- „Daleko, daleko od św. Patryka”.

- Ale gdzie?

- „Me mogę tracić czasu na wyjaśnienia, Gully. Pozostaniesz tu tylko kilka chwil.”

- Dlaczego?

- „Bo nie umiesz jeszcze jauntować przez czasoprzestrzeń. Musisz wrócić i nauczyć się tego.”

- Ale ja umiem. Na pewno umiem. Sheffield powiedział mi, że kosmojauntowałem na „Nomada”... 600 000 mil.

- „To był przypadek, Gully ale dokonasz tego znowu... kiedy się nauczysz... Teraz jeszcze nie umiesz. Nie wiesz jak się zatrzymać... jak odwrócić wszelką Teraźniejszość w rzeczywistość. Za chwile stoczysz sie z powrotem do św. Patryka.”

- Robin, właśnie sobie coś przypomniałem. Mam dla ciebie złe wieści.

- „Wiem, Gully”.

- Twoja matka i siostry nie żyją.

- „Wiem o tym od dawna, Gully”.

- Od jak dawna?

- „Od trzydziestu lat.” To niemożliwe.

- „Mylisz się, to jest możliwe. Jesteś daleko, daleko od św. Patryka. Czekałam tu na ciebie, żeby ci powiedzieć jak uratować się z pożaru, Gully. Posłuchasz?”

- To ja nie umarłem?

- „Nie.”

- Dobrze, posłucham.

- „ Wszystkie twoje zmysły są przemieszane. To zaraz przejdzie, ale nie bede ci poda wała wskazówek w rodzaju na prawo, w lewo, w górę, czy w dół. Powiem ci wszystko tak, żebyś mógł mnie zrozumieć w tej chwili, wstanie w jakim teraz się znajdujesz.”

- Dlaczego mi pomagasz? Po tym, co ci zrobiłem?

- „Wszystko ci wybaczyłam i zapomniałam, Gully. Słuchaj mnie teraz. Kiedy wrócisz do św. Patryka obracaj się, dopóki nie staniesz twarzą do najgłośniejszego cienia. Rozumiesz?”

- Tak.

- „Idź w stronę skąd będzie dochodził hałas, aż poczujesz na skórze silne ukłucie. Wtedy zatrzymaj się.”

- Wtedy mam się zatrzymać.

- „Zrób pół obrotu tak, żeby poczuć ucisk i odnieść wrażenie spadania. Idź w tamtą stronę.”

- Mam tam pójść.

- Miniesz lite tafle światła i poczujesz smak chininy. To będzie w rzeczywistości kłąb drutu. Przeciskaj sie przez chininę, dopóki nie zobaczysz czegoś co będzie brzmiało jak uderzenie młotów. Wtedy będziesz ocalony.”

- Skąd to wszystko wiesz, Robin?

- „Pouczył mnie ekspert, GuIIy. - Poczuł śmiech. - „Teraz w każdej chwili możesz spaść w przeszłość. Są tu ze mną Peter i Saul. Mówią ci au revoir i życzą powodzenia. Jiz Dagenham również. Powodzenia, drogi Gully...”

- Spadnę w przeszłość? A wiec to jest przyszłość?

- „Tak, Gully.”

- Czy ja tu jestem? Czy jest tu... Olivia...?

I wtedy zaczaj się staczać coraz to niżej i niżej po liniach hiperdezyjnych czasoprzestrzeni z powrotem do straszliwej jamy Teraźniejszości.

ROZDZIAŁ 16

Zmysły rozplatały mu się w wyłożonej kością słoniową i złotem Komnacie Gwiaździstej Zamku Presteigna. Wzrok stał się znowu wzrokiem i Foyle ujrzał lustra oraz witrażowe szyby okien i bibliotekę książek o tłoczonych złotem grzbietach z androidem bibliotekarzem na bibliotecznej drabinie. Słuch stał sie słuchem i Foyle usłyszał androida sekretarza stukającego na ręcznym mnemorejestratorze przy biurku w stylu Ludwika XV. Smak stał się smakiem, a on sączył koniak podany mu przez robota barmana.

Wiedział, że jest osaczony, że stoi przed swą życiową decyzją, nie zwracał jednak uwagi na otaczających go nieprzyjaciół, przyglądając się nieustającej promienności wyrzeźbionej na robocim obliczu barmana - klasycznemu, irlandzkiemu uśmiechowi.

- Dziękuje - odezwał się Foyle.

- Cała przyjemność po mojej stronie, sir - odparł robot i czekał na dalsze zamówienia.

- Ładny mamy dziś dzień - zauważył Foyle.

- Zawsze gdzieś jest ładny dzień, sir - promieniał robot.

- Okropny dzień - powiedział Foyle.

- Zawsze gdzieś jest ładny dzień, sir - odparł robot.

- Dzień - rzucił Foyle.

- Zawsze gdzieś jest ładny dzień, sir - powiedział robot.

Foyle zwrócił się do pozostałych:

- To cały ja - powiedział wskazując robota ruchem głowy. - Tacy właśnie wszyscy jesteśmy. Bajdurzymy o nieprzymuszonej woli, ale nie jesteśmy w istocie niczym innym jak mechaniczną odpowiedzią... rutynową reakcją w utartych schematach. No wiec... jestem tutaj. Jestem tutaj i czekam, żeby zareagować. Naciśnijcie guzik, a podskoczę - naśladował blaszany głos robota. - Czego ode mnie chcecie?

Poruszyli się niespokojnie. Foyla palono, poniewierano, karano..., a jednak przejmował inicjatywę.

- Na początek zastanówmy się nad pogróżkami, jakie mogą za chwile tu paść - powiedział Foyle nie doczekawszy się odpowiedzi z ich strony. - Powiedzmy, że zostanę powieszony, wypatroszony, poćwiartowany, że cierpieć bede piekielne męki, jeżeli nie... no właśnie, jeżeli nie co? Czego chcecie?

- Żądam zwrotu mojej własności - powiedział Presteign uśmiechając się zimno.

- Osiemnastu z kawałkiem funtów PirE. Tak. Co w zamian oferujesz?

- Nic w zamian nie oferuje. Żądam zwrotu tego, co należy do mnie.

Yang-Yeovil i Dagenham zaczęli coś mówić równocześnie. Foyle uciszył ich ruchem dłoni.

- Jeden guzik naraz, panowie. Teraz Presteign próbuje wprawić mnie w podskoki. - Zwrócił się do Presteigna. - Nacisnij mocniej, krew i pieniądze, albo poszukaj innego guzika. Kim obecnie jesteś, aby wysuwać jakieś żądania?

Presteign zacisnął usta.

- Prawo... - zaczął.

- Co prawo? Straszysz? - Foyle roześmiał się. - Czy nadal uważasz mnie za kogoś, kogo można zmusić do czegokolwiek straszeniem? Nie rób z siebie imbecyla. Mów do mnie w sposób, w jaki to czyniłeś w Sylwestra, Presteignie... bez litości, bez wybaczenia, bez hipokryzji.

Presteign skłonił się, wziął głęboki oddech i przestał się uśmiechać.

- Proponuje ci władze - rzekł. - Proponuje ci adopcje, co uczyni z ciebie mego dziedzica, wspólnictwo w prowadzeniu przedsiębiorstwa Presteigna oraz objecie szefostwa klanu i septy. Działając razem, możemy zawładnąć światem.

- Czy przy pomocy PirE?

- Tak.

- Twoja propozycja zostaje odnotowana i odrzucona. Czy zaoferujesz swoją córkę?

- Olivie? - Presteign żachnął się i zacisnął pieści.

- Tak, Olhie. Gdzie ona jest?

- Ty lumpie! - krzyknął Presteign. - Ty łachudro... złodziejaszku... Jak śmiesz?

- Czy w zamian za PirE zaoferujesz swoją córkę?

- Tak - odparł ledwie dosłyszalnym głosem Presteign. Foyle zwrócił się do Dagenhama:

- No, teraz twoja kolej, trupia główko. Naciskaj swój guzik.

- Jeśli dyskusja ma być prowadzona na takim poziomie... - warknął Dagenham.

- Będzie. Bez litości, bez wybaczenia, bez hipokryzji. Co oferujesz?

- Sławę.

- Co ty powiesz?

- Nie możemy zaoferować ci władzy, ani pieniędzy. Możemy natomiast zapewnić ci sławę. Gully Foyle - człowiek, który ocalił Planety Wewnętrzne przed anihilacją. Możemy zaoferować ci bezpieczeństwo. Usuniemy z akt całą twoją kryminalną przeszłość. Unieśmiertelnimy twoje nazwisko, zagwarantujemy miejsce w alei zasłużonych.

- Nie - ucięła krótko Jisbella McQueen. - Nie zgadzaj się na to. Jeśli chcesz być zbawicielem, zniszcz te tajemnice. Nie oddawaj PirE nikomu.

- Czym jest to PirE?

- Cisza! - warknął Dagenham.

- To termonuklearny materiał wybuchowy, detonowany samą myślą... poprzez psychokineze - powiedziała Jisbella.

- Jaką myślą?

- Żądaniem zdetonowania skierowanym wprost do niego. To sprowadza go do masy krytycznej, jeśli nie jest odizolowany od otoczenia Obojętnym Izomerem Ołowiu.

- Mówiłem przecież, żebyś była cicho - burknął Dagenham.

- Jeśli wszyscy mamy mieć jakiś udział w przekonywaniu go, to ja też chce mieć swój.

- To więcej niż idealizm.

- Nic nie jest większe od idealizmu.

- Jest tajemnica Foyla - mruknął Yang-Yeovil - Wiem jak stosunkowo mało znaczące jest teraz PirE uśmiechnął się do Foyla. -Aplikant Sheffielda podsłuchał fragment waszej krótkiej dyskusji u św. Patryka. Wiemy już o kosmo-jauntingu.

Zaległa cisza.

- Kosmo-jaunting? - wykrzyknął wreszcie Dagenham. - To niemożliwe. Chyba jesteś wbłedzie.

- Nie jestem w błędzie. Foyle dowiódł, że kosmo-jaunting jest możliwy. Jauntował się na odległość 600000 mil z rajdera Satelitów Zewnętrznych na wrak „Nomada”. Jak już powiedziałem, jest to coś daleko większego niż PirE. Te sprawę chciałbym najpierw poruszyć.

- Każdy mówi tu czego chce - powiedziała wolno Robin Wednesbury - a czego chcesz ty, Gully Foyle?

- Dziękuje - odparł Foyle. - Chce zostać ukarany.

- Co?

- Chce zmazać swe winy - powiedział zduszonym głosem. Na jego obandażowaną twarz zaczęło z wolna wypełzać szkarłatne piętno. - Chce zapłacić za to co zrobiłem i wyrównać wszystkie rachunki. Chce się pozbyć tego cholernego krzyża, który dźwigam... tego bólu, od którego pękają mi plecy. Chce wrócić do Gouffre Martel. Chce, żeby poddano mnie lobotomii, jeśli na to zasłużyłem... a wiem, że zasłużyłem. Chce...

- Chcesz uciec - przerwał mu Dagenham. - Nie ma drogi ucieczki.

- Chce odzyskać wolność!

- Nie ma mowy - wtrącił się Yang-Yeovil. - W twojej głowie zamkniętych jest zbyt wiele wartościowych rzeczy, aby stracić je poprzez lobotomie.

- Jesteśmy ponad takie dziecinne sprawy, jak zbrodnia i kara - dodał Dagenham.

- Nie - zaprotestowała Robin. - Zawsze tam gdzie istnieje wina, musi też istnieć wybaczenie. Nigdy nie jesteśmy ponad to.

- Korzyść i strata, wina i wybaczenie, idealizm i realizm - uśmiechnął się Foyle. - Wszyscy jesteście tacy wspaniałomyślni, tacy prostolinijni, tacy jednomyślni. Ja jeden mam wątpliwości. Zobaczymy jak wspaniałomyślni jesteście naprawdę. Oddasz Olivie, Presteignie? Oddasz mi ją, co? Czy wydasz ją również w ręce sprawiedliwości? Jest morderczynią.

Presteign spróbował wstać i opadł z powrotem na krzesło.

- Mówisz, że zawsze musi istnieć wybaczanie, Robin? A czy wybaczysz Olivii Presteign? Zamordowała twoją matkę i siostry.

Robin poszarzała na twarzy. Yang-Yeovil spróbował zaprotestować.

- Satelity Zewnętrzne nie mają PirE, Yeovil. Wyjawił mi to Sheffield. Czy i tak użyłbyś go przeciwko nim? Czy uczyniłbyś z mego nazwiska popularną klątwę... tak jak to

uczyniono z nazwiskami Lyncha i Boycotta?

Foyle zwrócił się do Jisbelli.

- Czy twój idealizm każe ci wrócić do Gouffre Martel i odbyć tam resztę kary? A ty, Dagenham, puścisz ją? Pozwolisz jej odejść?

Przesiąknięty goryczą, z trudem panując nad sobą, słuchał przez chwile okrzyków oburzenia i obserwował ich zmieszanie.

- Życie jest takie proste - powiedział w końcu. - Tak łatwo podjąć decyzje, nieprawdaż? Czy mam respektować prawa własności Presteigna? Kierować się dobrem Planet? Podzielić idealizm Jisbelli? Realizm Dagenhama? Uszanować sumienie Robin? Naciśnijcie guzik i przyglądajcie się jak podskakuje robot. Ale ja nie jestem robotem. Jestem dziwolągiem Wszechświata - myślącym zwierzęciem - i staram sie widzieć jasno swoją drogę przez to bagno. Czy mam zwrócić światu PirE i pozwolić na to, żeby sam siebie unicestwił? Mam nauczyć świat kosmo-jauntingu i umożliwić naszemu teatrzykowi dziwolągów rozprzestrzenienie się galaktyka po galaktyce po całym Wszechświecie? Jak brzmi odpowiedź?

Robot barman cisnął szklankę, w której jeszcze przed chwilą mieszał drinki. Przeleciała przez całą sale i roztrzaskała się o ścianę. W pełnej zdumienia ciszy, która zaległa po tym incydencie, Dagenham chrząknął:

- Cholera! Moje promieniowanie znowu rozstroiło twoje kukły, Presteignie.

- Odpowiedź brzmi: tak - odezwał się zupełnie wyraźnie robot.

- Co? - zapytał zaskoczony Foyle.

- Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak.

- Dziękuje ci - powiedział Foyle.

- Cała przyjemność po mojej stronie, sir - odparł robot. - Człowiek jest przede wszystkim członkiem społeczeństwa, a dopiero potem indywidualną jednostką. Musisz iść ze społeczeństwem, niezależnie od tego, czy wybiera ono samozagładę, czy też nie.

- Całkowicie zbzikował - odezwał się niecierpliwie Dagenham.

- Wyłącz go, Presteignie.

- Poczekaj - rozkazał Foyle. Zerknął na wieczny uśmiech wygrawerowany na stalowej twarzy robota. - Ale społeczeństwo może być takie głupie. Takie podzielone. Byłeś przecież świadkiem tej rozmowy.

- Tak, sir, ma pan racje, ale musi pan je uczyć, a nie dyktować mu swoją wole. Musi pan uczyć społeczeństwo.

- Kosmo-jauntingu? Po co? Po co sięgać do gwiazd i galaktyk? Po co?

- Bo jest pan obdarzony życiem. Równie dobrze mógłby pan zapytać: po co jest życie? Niech pan o to nie pyta. Niech pan je przeżywa.

- Zupełnie oszalał - mruknął Dagenham.

- Ale to jest fascynujące - szepnął Yang-Yeovil.

- W życiu musi być coś więcej niż samo tylko jego przeżywanie - powiedział Foyle do robota.

- A wiec niech pan znajdzie w sobie to coś, sir. Niech pan nie zatrzymuje świata w jego ruchu tylko dlatego, że pan ma jakieś wątpliwości w tym względzie.

- Dlaczego wszyscy nie możemy posuwać się naprzód?

- Ponieważ wszyscy jesteście inni. Nie jesteście lemingami. Niektórzy z was muszą przewodzić i mieć tylko nadzieje, że reszta pójdzie za nimi.

- A kto przewodzi?

- Ludzie, którzy muszą... ludzie, którzy czują wewnętrzną potrzebę, ludzie dążący do jakiegoś celu.

- Ludzie-dziwolągi.

- Wszyscy jesteście dziwolągami, sir. Zawsze nimi byliście. Samo życie jest dziwolągiem. To jego nadzieja i chwała.

- Bardzo ci dziękuje.

- Cała przyjemność po mojej stronie, sir.

- Uratowałeś ten dzień.

- Zawsze gdzieś jest ładny dzień, sir - powiedział robot z nieodłącznym uśmiechem, po czym zasyczał, szczeknął i zwalił się na podłogę.

Foyle zwrócił się do pozostałych:

- To pudło ma racje - powiedział - a wy się mylicie. Kim my właściwie jesteśmy, kim jest każdy z nas, żeby podejmować decyzje w imieniu świata? Niech świat sam za siebie decyduje. Kim my jesteśmy, żeby mieć przed światem tajemnice? Niech świat dowie się wszystkiego i sam zadecyduje. Chodźcie do św. Patryka.

Jauntował się, a reszta podążyła za nim. Kwadratowa budowla była wciąż otoczona kordonem i do tego czasu zebrał się już wokół niej ogromny tłum. W dymiące ruiny wjauntowywało się tak wielu zuchwalców i odważnych, że policja zainstalowała ochronne pole indukcyjne, żeby ich tam nie wpuścić, ale i to nie powstrzymało łobuzów, ciekawskich i nieodpowiedzialnych od wjauntowywania się w dymiące zgliszcza po to tylko, aby po przypaleniu polem indukcyjnym odskakiwać ze skowytem.

Na sygnał dany przez Yang-Yeovila pole wyłączono. Foyle przeszedł przez dymiące rumowisko do wschodniej ściany katedry, wznoszącej się na wysokość piętnastu stóp. Pomacał dymiące kamienie, coś nacisnął, coś podważył i ze zgrzytem uchyliła się kamienna płyta o wymiarach 3x5 stóp. Foyle chwycił ją oburącz i pociągnął. Płyta drgnęła, potem zardzewiałe zawiasy puściły, a sama płyta rozsypała się na kawałki.

Przed dwoma wiekami, kiedy to zniesiono zorganizowaną religie, a ortodoksyjnych wiernych zepchnięto do podziemia, jakieś pobożne owieczki zbudowały w katedrze św. Patryka te sekretną wneke i urządziły w niej ołtarz. Złoto krucyfiksu błyszczało wciąż jasnością odwiecznej wiary. U stóp krzyża spoczywała mała, czarna kasetka z Obojętnego Izomeru Ołowiu.

- Czyżby to był znak? - szepnął zdyszany Foyle. - Czy to odpowiedź, której szukam?

Porwał ciężki sejf i zanim ktokolwiek zdołał go pochwycić, jauntował się o sto jardów na szczątki katedralnych schodów wychodzących na Piątą Aleje. Tam, na oczach gapiącego się tiumu, otworzył kasetkę. Z ust agentów Wywiadu, którzy znali prawdę o jej zawartości, wyrwał się okrzyk przerażenia.

- Foyle! - krzyknął Dagenham.

- Foyle, na miłość boską! - krzyknął Yang-Yeovil.

Foyle wyjął z kasetki pałeczkę PirE koloru kryształków jodyny i wielkości papierosa - jeden funt izotopów transplutonowców w roztworze stałym.

- PirE! - ryknął w stronę tłumu. - Bierzcie to! Trzymajcie! To wasza przyszłość! - cisnął pałeczkę w tłum i wrzasnął przez ramie: - San Frań, rampa Rosyjskie Wzgórze.

Jauntował się trasą St. Louis-Denver do San Francisco, przybywając na rampę Rosyjskie Wzgórze, gdzie była akurat czwarta po południu i ulice roiły się od jauntowców załatwiających spóźnione sprawunki.

- PirE! - zawył Foyle. Jego diabelska twarz pałała krwawoczerwoną barwą. Stanowił przerażający widok. - PirE! To niebezpieczeństwo! To śmierć! Jest wasze. Wymuście na nich, żeby wam powiedzieli co to jest. Nome! - zawołał

w stronę pościgu, który przybył za nim i jauntował się.

W Nome była akurat pora obiadowa i drwalami zjauntowującymi się z okolicznych tartaków na kiełbaski z rożna zakrapiane piwem wstrząsnął widok mężczyzny o tygrysiej twarzy, który cisnął miedzy nich jednofuntowy kawałek stopu koloru jodyny i zaczął krzyczeć żargonem:

- PirE! Słyszycie mnie, ludzie? Słuchajcie mnie, kurcze! PirE to dla was plugawa śmierć. Dla was wszystkich! Nie wytężajcie waszych mózgownic, kurczaki. Przyciśnijcie ich do muru, żeby wam wyśpiewali wszystko o PirE i kropka!

Do Dagenhema, Yang-Yeovila i innych, przyjauntowujących za nim jak zwykle o parę sekund za późno, krzyknął:

- Tokio. Rampa Cesarska! - Znikł na ułamek sekundy przed tym, zanim dosięgneły go ich kule.

O godzinie dziewiątej rześkiego, czystego poranka w Tokio, kłębiący się w tej godzinie porannego szczytu wokół Rampy Cesarskiej tłum sparaliżowany został pojawieniem się samuraja o twarzy tygrysa, który cisnął w sam jego środek kawałkiem niezwykłego metalu oraz zasypał obecnych lawiną niezapomnianych przestróg i upomnień.

Foyle przeniósł się następnie do Bangkoku, gdzie lał deszcz oraz do Delhi, gdzie szalał monsun... cały czas ścigany trop w trop jak wściekły pies. W Bagdadzie była akurat trzecia rano i tłum bywalców nocnych klubów i piwiarni, który jauntując bez przerwy naokoło świata wyprzedzał o wieczne trzydzieści minut godzinę zamknięcia swych przybytków, zgotował mu pijacką owacje. W Paryżu, a następnie w Londynie była północ, kiedy gawiedź z Pól Elizejskich i Piccadily Circus zelektryzowana została pojawieniem się Foyla i jego żarliwym nawoływaniem.

Przeprowadziwszy swych prześladowców w ciągu pięćdziesięciu minut trasą równą co do długości trzem czwartym obwodu kuli ziemskiej, Foyle pozwolił im się wreszcie dopaść w Londynie. Dał sie znokautować, wyrwać sobie z rąk sejf, przeliczyć pozostałe bryłki PirE i zatrzasnąć wieko.

- Zostało wystarczająco dużo na prowadzenie wojny. Sporo tylko czeka na zniszczenie... na anihilacje... jeśli się na to odważycie. - Śmiał się i płakał w histerycznym tryumfie.

- Miliony na obronę, ale ani centa na przetrwanie.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś, ty cholerny morderco? - krzyknął Dagenham.

- Wiem co zrobiłem.

- Dziewięć funtów PirE rozsiane po całym świecie! Jedna myśl i wszyscy... Jak możemy to odzyskać nie wyjawiając im prawdy? Yeo, na miłość boską, zepchnij ten tłum do tyłu. Nie pozwól, żeby słyszeli o czym rozmawiamy.

- To niemożliwe.

- Zatem jauntujmy się. stąd.

- Nie - ryknął Foyle - niech słyszą. Niech wszystko słyszą.

- Człowieku, jesteś szalony. Wręczyłeś dzieciom naładowany pistolet.

- Przestańcie ich straszyć tak, jakby byli dziećmi, a przestaną zachowywać się jak dzieci. Kim wy, u diabła, jesteście, żeby odstawiać mądrzejszych od nich.

- O czym ty mówisz?

- Przestańcie ich straszyć tak, jakby byli dziećmi. Wyjaśnijcie im, czym grozi zabawa naładowanym pistoletem. Wyjawcie im wszystko. - Foyle roześmiał się okrutnie. - Zakończyłem ostatnią w dziejach konferencje, w Komnacie Gwiaździstej. Wyrwałem na światło dzienne ostatnią tajemnice. Od teraz koniec z tajemnicami... koniec z pouczaniem dzieci co jest dla nich najlepsze... Niech wreszcie dorosną. Najwyższa na to pora.

- Chryste, on oszalał.

- Oszalałem? Zwróciłem życie i śmierć ludziom, którzy żyją i umierają. Przeciętny człowiek już wystarczająco długo był poganiany i prowadzony za rączkę przez ludzi nawiedzonych, podobnych nam... ludzi żądnych władzy... Ludzi-tygrysów, którzy nie mogą się powstrzymać przed pędzeniem świata przed sobą. Wszyscy jesteśmy tygrysami, wszyscy trzej, ale kim, u diabła, jesteśmy, żeby podejmować za świat decyzje tylko dlatego, że pragniemy władzy? Niech świat sam dokona wyboru miedzy życiem, a śmiercią. Dlaczego to zawsze my mamy być obarczeni odpowiedzialnością?

- My nie jesteśmy obarczeni - powiedział Yang-Yeovil. - My jesteśmy nawiedzeni. Jesteśmy zmuszeni, aby wziąć na swe barki odpowiedzialność, przed którą uchyla się przeciętny człowiek.

- Niech się wiec przestaną przed nią uchylać, niech przestaną zwalać swoje obowiązki i przewinienia na barki pierwszego lepszego dziwoląga, który tylko na to czeka. Czy na zawsze mamy pozostać kozłami ofiarnymi świata?

- Niech cie cholera! - Dagenham wściekł się. - Czy nie zdajesz sobie spawy, że ludziom nie można ufać? Nie są informowani o wszystkim dla ich własnego dobra.

- Niech się wiec nauczą odpowiadać za swe czyny, albo umrą. To dotyczy nas wszystkich. Żyjmy razem, albo razem umierajmy.

- Czy chcesz umrzeć przez ich ciemnotę? Musisz znaleźć sposób na pozbieranie okruchów, które porozrzucałeś, bez wysadzenia wszystkiego w powietrze.

- Nie. Ja w nich wierze. Zanim stałem się tygrysem, byłem jednym z nich. On wszyscy mogą otrząsnąć się z przecietniactwa, jeżeli tylko ktoś rozbudzi ich solidnym kopniakiem, tak jak rozbudzono mnie.

Foyle drgnął i nagle jauntował się na brązową głowę Erosa spoglądającą na Piccadily Circus z wysokości 50 stóp. Usadowił się na niej w niebezpiecznej pozycji i zawył:

- Hej wy tam, słuchajcie mnie! Słuchajcie, kurcze! Teraz będzie kazanie, kurczaki. Ciszaa! Odpowiedział mu ryk.

- Wy świnie, kurcze. Jesteście tępi jak świnie. Mając w sobie tyle, prawie z tego nie korzystacie. Słyszycie mnie, kurcze? Mając w sobie miliony, wydajecie marne pensy. Mając w sobie geniusz, rozumujecie jak głupcy. Mając w sobie serce, czujecie w środku pustkę. Wy wszyscy. Każdy z was.

Wygwizdano go. Ciągnął dalej z histeryczną pasją opętanego:

- Trzeba wam wojny, żebyście dali coś z siebie. Trzeba wam nieszczęścia, żebyście zaczęli myśleć. Trzeba wam rywalizacji, żebyście stawali się wielkimi. Resztę czasu wylegujecie się jak leniwe prosiaki, kurcze! Świnie, kurcze! Bo tak jest, cholera z wami! Ja rzucam wam wyzwanie, kurczaki. Żyjcie i bądźcie wielcy, albo zdychajcie. Idźcie tam, gdzie odszedł Chrystus, albo przyjdźcie do mnie, Gully Foyla, a ja zrobię z was ludzi. Ja uczynię was wielkimi. Ja dam wam gwiazdy.

Znikł.

Jauntował się po liniach hiperdezyjnych czasoprzestrzeni do Gdziekolwiek i Kiedykolwiek. Przybył w chaos. Na moment zawisł w niestałej parateraźniejszóści i stoczył się z powrotem w chaos.

- „Można tego dokonać” - myślał. „To musi być wykonalne.”

Jauntował ponownie płonącą włócznią z nieznanego w nieznane i znowu stoczył się z powrotem w bezład paraprzestrzeni i paraczasu. Zabłądził w Nigdzie.

- „Wierze” - myślał. ‚Ja wierze.” Jauntował się znowu i znowu bez powodzenia.

- „W co ja wierze?” - spytał samego siebie dryfując w otchłani.

- „Wierze w wiarę” - odpowiedział sobie samemu. „Niekoniecznie trzeba mieć coś konkretnego, żeby w to wierzyć. Trzeba tylko wierzyć, że istnieje gdzieś coś, w co warto wierzyć.”

Jauntował się po raz ostatni i siła jego woli uwierzenia przekształciła przypadkową parateraźniej szość, w którą trafił, w realną... TERAŹNIEJSZOŚĆ: Rigel w gwiazdozbiorze Oriona, płonący niebieskobiałym blaskiem, odległy pięćset czterdzieści lat świetlnych od Ziemi, dziesięć tysięcy razy jaśniejszy od słońca - energetyczny kocioł, obiegany przez trzydzieści siedem masywnych planet... Foyle unosił się w przestrzeni zamarzając i dusząc się w kosmicznej próżni, oko w oko z niewiarygodnym przeznaczeniem, w które tak wierzył, lecz którego wciąż nie pojmował. Unosił się w przestrzeni przez oślepiającą chwile tak bezradny, tak zdumiony, a zarazem tak realny, jak pierwsza skrzelasta istota, która u zarania historii powstającego na Ziemi życia szykuje się do wyjścia z morza i dławi się nadmiarem powietrza na pradawnej plaży.

Kosmajauntował, przekształcając parateraźniejszość w... TERAŹNIEJSZOŚĆ: Vega w gwiazdozbierze Liry - gwiazda klasy AO, odległa o dwadzieścia sześć lat biegu światła od Ziemi, płonąca światłem bardziej niebieskim niż Rigel, pozbawiona planet, okrążana jednak przez roje ognistych komet, których gazowe warkocze śmigają, sypiąc iskrami, po granatowoczarnym firmamencie...

I teraz znowu wrócił w TERAŹNIEJSZOŚĆ: Canopus - żółty jak słońce, gigantyczny, grzmiący w cichych bezmiarach kosmicznej pustki - któremu wreszcie naruszyła spokój istota jeszcze niedawno oddychająca skrzelami. Istota ta unosiła się, dławiąc, na plaży Wszechświata, bardziej martwa niż żywa, bliższa przyszłości niż przeszłości. Zachwycała się masami kamieni, meteorów i pyłu, które opasywały Canopusa szerokim płaskim pierścieniem podobnym do pierścieni Saturna, ale szerokim jak promień jego orbity.

TERAŹNIEJSZOŚĆ: Aldebaran w gwiazdozbiorze Taurusa - monstrualnej wielkości, czerwona Gwiazda, wchodząca w skład układu podwójnego, którego szesnaście planet wiruje z ogromną prędkością po eliptycznych orbitach, wokół obiegających się nawzajem rodziców.

Rzucał się przez czasoprzestrzeń z coraz to większą pewnością siebie...

TERAŹNIEJSZOŚĆ: Antares - czerwony olbrzym klasy Ml, podobnie jak Aldebaran wchodzący w skład układu podwójnego, odległy o dwieście pięćdziesiąt lat świetlnych od Ziemi, obiegany przez dwieście pięćdziesiąt planetoid wielkości Merkurego o rajskim klimacie...

I w końcu... TERAŹNIEJSZOŚĆ.

Został wciągnięty do łona swych narodzin. Powrócił na „Nomada”, wtopionego teraz w bryłę asteroidu Sargasso - domu zagubionych Ludzi Naukowych, którzy uprzątali szlaki kosmiczne przebiegające miedzy Marsem, a Jowiszem... domu Josepha, który ozdobił tygrysim tatuażem twarz Foyla i skojarzył go z dziewczyną imieniem Moira.

Był z powrotem na pokładzie „Nomada.”

Gully Foyle me nazwisko Z Ziemi moje pochodzenie Kosmos Czarny mym mieszkaniem Gwiazdy - moje przeznaczenie.

Moira znalazła go w schowku na narzędzia na pokładzie „Nomada”, zwiniętego ciasno w kłębek, z nieobecną twarzą i oczyma płonącymi boskim objawieniem. Chociaż asteroid dawno już naprawiono i zahermetyzowano, Foyle wciąż przeżywał kurcze niebezpiecznej egzystencji, które rok temu wydały go na świat.

Teraz jednak śnił i medytował, trawiąc i obejmując umysłem wspaniałość, której się nauczył. Z zamyślenia ocknął się w transie i dryfując w powietrzu wypłynął ze schowka, przesuwając niewidocznymi oczyma po postaci Moiry, ocierając się niemal w locie o przerażoną dziewczynę, która odstąpiwszy na bok osunęła się na kolana. Wędrował pustymi korytarzami, aż trafił z powrotem do schowkałona. Zwinął się znowu w kłębek i zasnął.

Dotknęła go raz; nie poruszał się. Wymówiła imię wyrzezane na jego twarzy. Nie odpowiedział. Odwróciła się i odpłynęła do wnętrza asteroidu, do najświętszego miejsca, w którym rządził Joseph.

- Wrócił do nas mój mąż - powiedziała Moira.

- Twój mąż?

- Człowiek-bóg, który nieomal nas zgładził. Twarz Josepha pociemniała z gniewu.

- Gdzie on jest? Pokaż mi!

- Nie zrobisz mu krzywdy, prawda?

- Za grzechy trzeba płacić. Pokaż mi.

Poszedł za nią do schowka na pokładzie „Nomada” i przyjrzał się uważnie Foylowi. Gniew malujący sie na jego twarzy ustąpił miejsca zachwytowi. Dotknął Foyla i przemówił doń; odpowiedzi nadal nie było.

- Nie możesz go ukarać - powiedziała Moira. - On umiera.

- Nie - odparł cicho Joseph. - On marzy. Ja, kapłan, znam te marzenia. Niedługo obudzi się i przekaże nam, swoim ludziom, swe myśli...

- I wtedy go ukarzesz?

- On sam znalazł to już w sobie - powiedział Joseph.

Wyszedł ze schowka i usiadł na podłodze korytarza, opierając się plecami o ścianę. Moira pobiegła krętymi korytarzami i wkrótce powróciła, niosąc srebrną miskę z ciepłą wodą i srebrną tace z jedzeniem. Obmyła delikatnie Foyla i postawiła przed nim, jako ofiarę, srebrną tace. Potem usiadła obok Josepha..: obok świata... gotowa oczekiwać przebudzenia.

KONIEC

Konrad Fiałkowski

A
ADAM
jeden z nas

(fragmenty powieści)

Gdy wyszedł na taras, słońce było już czerwone i niemal dotykało wierzchołków wzgórz. Upał dnia minął, ale wieczorny wiatr nie nadszedł i w powietrzu czuł zapach dymu z palenisk domowych miasta, gdzie szykowano teraz wieczerze. Miasto schodziło tarasami ku strumieniowi i z wysoka, tam, skąd stał, widział wąskie uliczki, dachy i białe ściany wzniesione z kamienia z okolicznych wzgórz. Spojrzał na wzgórza, gdzie kończyły się domy przechodząc w zieleń drzew oliwnych przygaszoną szarością nadchodzącego zmierzchu. Pomyślał, że jeszcze jeden dzień pobytu tutaj, w tym mieście i na tej planecie minął i że dni tych zostało już niewiele. Usłyszał za sobą kroki, stukot drewnianych sandałów o kamienną powierzchnie tarasu, i wiedział, że nadchodzi człowiek, na którego czekał. Odwrócił się i patrzył na znajomą sylwetkę w długim szarym płaszczu, twarz z ciemnymi oczyma, czarne włosy i brodę z białymi pasmami siwizny widocznymi dopiero z bliska. Za nim, pół kroku szedł żołnierz ze straży, który towarzyszył mu od bram pałacu, bo taki był regulamin, który kiedyś sam ustanowił.

Żołnierz zatrzymał się w odległości kilku kroków, a mężczyzna podszedł do niego.

- Witaj proktorze - powiedział i pochylił głowę.

- Witaj Kario - odpowiedział i skinął ręką żołnierzowi, który wykonał zwrot i odszedł.

- Patrzysz na ogrody? - zapytał Kario.

- Na miasto. Z tej wysokości wydaje, się ono zawsze spokojne.

- Gdyby tak było, panie, siedziałbym w swym kantorze i nie miał szczęścia rozmawiać z tobą.

- A wiec co nowego?

- Admis, którego raczysz otaczać opieką przebywa w północnych prowincjach...

- Mówią o nim w mieście?

- Nie i prawdę mówiąc nie rozumiem tego. Powinni wszyscy go znać i słuchać tego co głosi. Jest to tak niezwykłe i tak piękne, że dni naszego życia, którym tutaj żyjemy wydają się bezsensowne i przetrącane.

Proktor uśmiechnął się i spojrzał na mężczyznę w płaszczu. Czyżbyś mu uwierzył, Kario? - zapytał.

- Wypełniam twoje polecenie, panie i wypełniam je skrupulatnie.

On nie wie, nawet nie podejrzewa, że istnieje źódło, z którego dostaje pieniądze, on i ci, co mu towarzyszą. Nawet nie myśli o tym i to też jest w nim urzekające.

- Nie odpowiedziałeś mi na moje pytanie, Kario.

- To jest trudna odpowiedź, panie. Trudno jest uwierzyć' w coś, co jest zaprzeczeniem wszystkiego, z czym się wzrosło i żyło. Ale dobrze jest o tym posłuchać. Proktor milczał. Pomyślał, że może w tym, co przed chwilą usłyszał od tego człowieka tkwi wyjaśnienie dotychczasowego braku powodzenia całego przedsięwzięcia. Może rozziew miedzy nowym modelem, a modelem stosowanym jest zbyt duży? Wiedział, że nie potrafi tego rozstrzygnąć i pomyślał, że im dłużej żyje na tej planecie, tym mniej rozumie jej mieszkańców. Ruszył wolnym krokiem wzdłuż balustrady tarasu ku ogrodom. Widział korony rosnących tam palm daktylowych na tle ciemniejącego już nieba. Kario szedł za nim, pół kroku w tyle, wyrażając tym szacunek dla namiestnika Imperatora, a równocześnie podkreślając zażyłość z tak znakomitą osobą.

- A jego zwolennicy...? Czy ma nowych zwolenników? zapytał przez ramię.

- Ciągle ci sami, panie. A reszta to przygodna gawiedź.

- Nikogo nowego?

- Nikogo.

- Czy twoje informacje, Kario, są na pewno ścisłe?

- Nie istnieją inne informacje, panie, i stare narody wiedzą o tym. Tylko... - Kario zająknął się - ...inni nie zawsze o tym pamiętają,

„Chciał powiedzieć: barbarzyńcy" - pomyślał proktor - „i wtedy przypomniał sobie, że przecież może mnie urazić skracając tym samym siebie o głowę. Biedny Kario, nawet nie potrafi sobie wyobrazić, jakim barbarzyńcą jest on i wszyscy inni mieszkańcy tej planety. A jednak są przy tym unikalni jak protubernacja gwiazd i równie jak one przemijający i nietrwali".

* * *

Góra była wysoka, lecz o łagodnych zboczach, jak garb wyrastająca z równiny. Wody w niej nie było i roślinność przyczepiona do skał, bardziej szara niż zielona, chwytała każdą krople deszczu, gdy z rzadka tu padał. Ludzie na górze także nie mieszkali, mimo, że dojście na szczyt nie było trudne. W wyższych jej partiach, pod szczytem ruiny umocnień przypominały czasy, gdy podczas wojen szukano w niej oparcia, bądź schronienia. Znał ją dobrze i przelatywał nad nią wielokrotnie w czasach, gdy poznawał ten kraj, tak jak poznawał tych ludzi. Teraz wyznaczył tam spotkanie i zawarłszy za sobą drzwi swojej komnaty przygotowywał się do transferu. Nie transferował się nigdy w postaci namiestnika Imperatora, bo jego twarz była znana ludziom, a tylko jako człowiek w płaszczu, bez twarzy niemal, taki który zawsze może wmieszać się w tłum i zniknąć tak, jakby go nie było. To spotkanie było koniecznością, ale miejsce wybrał starannie; a przy tym nocna pora czyniła spotkanie z mieszkańcami niezbyt prawdopodobnym. Co prawda wyładowania, głównie w ultrafiolecie, towarzyszące transferowi pełnej mocy, niewidoczne w dzień, nocą rozjaśniając biel, w zamieszkałych okolicach nie mogłyby zostać niezauważone, ale dlatego też wybrał bezludny szczyt samotnej góry.

Zajął miejsce w fotelu, włączył pole i rozpoczął staranne namierzanie transferu. Potem wysłał w kierunku zawieszonego na orbicie satelity, gdzie był Admis, sygnał synchronizujący, bowiem na spotkanie sprowadzał projekcje Elsza, tworu pomocniczego, który wielokrotnie już, w różnych postaciach realizował zadania na tej planecie. Gdy otrzymał potwierdzenie odbioru sygnału synchronizującego, był już gotowy do transferu. Nacisnął, przycisk inicjujący i swoim fantomem pojawił się tuż nad wierzchołkiem góry. W tej samej chwili Elsz pojawił się obok i Adam spostrzegł, że ma postać podróżną, której tamten kilkaset lat wcześniej używał przy eksploracji tej planety. Wolno, razem spłynęli na wierzchołek góry, gdzie czekał na nich już Admis. Jego płaszcz i twarz zajaśniały bielą odbitych wyładowań gdy zbliżali się do niego i nawet potem, gdy dotknęli skał i natężenie pola spadło, twarz tamtego jarzyła się jeszcze blaskiem.

- Witaj Adamie - powiedział Admis.

- Witaj - odpowiedział.

Elsz milczał, bo był tylko tworem pomocniczym i pozdrowienie go nie dotyczyło.

- Zmęczyłeś się wchodząc tutaj - powiedział Adam.

- Było upalne popołudnie - odpowiedział tamten - ale wieczór jest chłodny i zmęczenie znika.

- Zmęczenie jest konsekwencją struktury, którą nosimy.

- Tak jak ból i śmierć...

- Musiałem cie tu wezwać. Przy tej strukturze inne porozumienie jest utrudnione i ograniczone do dwu osób. A ja wezwałem także Elsza.

- Wiem. Jego ostatnia misja została przerwana. Słyszałem tu o tym. Obcięta głowa jego ciała stanowiła fant w pałacowej zabawie.
- Tak. To przykry wypadek, znacznie komplikujący przy tym przedsięwzięcie. On miał stworzyć warunki początkowe dla ciebie.
- Zrobił co mógł - powiedział Admis.
- To wszystko mało. Prawdziwych postępów przedsięwzięcia nie widzę. Jakie jest twoje zdanie, Elsz?
- Zgadzam się z tobą, panie. Zgodnie z założeniem byłem w swoim działaniu o odcień bardziej radykalny, niż Admis.
- I już cie tam niema. Wyeliminowali cie bez trudu.
- Wielu dobrych ludzi mnie broniło.
- I cóż z tego. Mnie interesuje wynik całego przedsięwzięcia a nie twierdzisz chyba, że twoja misja była sukcesem. Elsz nie odpowiedział.
- Ty też Admisie nie odnosisz sukcesów.
- Wielu ludzi mnie wysłuchało i wielu uwierzyło.
- Ale nam przecież chodzi o zmianę w ich działaniach, o rozwój struktur społecznych, o inne spojrzenie na człowieka przez nich samych. Teraz Imperium jest jeszcze potrzebne, lecz musi się rozpaść i powstaną inne narody i inne cywilizacje. Eksperyment ma objąć całą te planetę, Admisie.
- Może źle wybraliśmy miejsce przedsięwzięcia?
- Wśród narodów Imperium jedynie tu istnieje wiara w abstrakcyjnego Boga. A to już pół sukcesu przedsięwzięcia. Zresztą włożyliśmy w przygotowania tutaj tyle wysiłku. Trwa to już tyle wieków, że w tej chwili rozpoczynanie wszystkiego gdzie indziej byłoby stratą czasu. A czas mija na tej planecie! Do powodzenia przedsięwzięcia potrzebne jest nam Imperium, bo tylko z centrum takiego jak Imperium, zmiany rozprzestrzeniać się mogą na cały świat. A dni Imperium są policzone. To co dziś już widzimy, to początek końca. Jeszcze sto, dwieście lat i najlepsi ludzie uchylać się będą od pełnienia publicznych funkcji, a to już będzie koniec. Potem przyjdą inne ludy, lecz podbijając Imperium przyjmą jako swoje to , co my dzisiaj rozpoczynamy. Tak, przedsięwzięcie musi się udać teraz. My, mimo że sami wieczni, nie mamy tutaj czasu.
- Eliminacja ostatniej struktury Elsza jest naszym niepowodzeniem - powiedział Admis. - Ale z drugiej strony...
- Sama eliminacja jest bez znaczenia. Podobnie jak los każdej z naszych struktur jest bez znaczenia. My jesteśmy tutaj tylko po to, by w tych ludzi wbudować nadzieje. Nadzieje jako generator wszystkiego co czynią i czynić mogą.
- I miłość. O tym przecież ja mówię...
- Nadzieje przez miłość, Admisie. Miłość jest po to, by nadzieja istniała zawsze, nawet wtedy, kiedy nie ma już nic innego. A tak często bywa na tej planecie. Nadzieja wyzwala z tych struktur zwanych ludźmi możliwości niestwarzalne inaczej, możliwości niewarunkowane niczym, co ich otacza. Jest to unikalny przypadek, gdy abstrakcja przetwarzana jest w działanie, przypadek, gdzie sama abstrakcja wystarcza.
- Jak jednak chcesz to zrealizować, Adamie?
- Ty to zrealizujesz.
- Chodzić miedzy ich osiedlami, rozmawiając z nimi, przekonując ich, organizując ograniczone pokazy naszych możliwości - to wszystko nie wystacza. Rozmawiają ze mną, biorą udział w pokazach, są wstrząśnięci naszymi możliwościami, padają na twarz, a potem odchodzą do swoich codziennych zajęć i wszystko pozostaje jak było, zanim przyszedłem.
- Mówisz jak jeden z nich - powiedział Adam.
- Przedstawiam ci fakty. Tu trzeba czegoś więcej, żeby ich zmienić.
- Kiedyś zniszczyliśmy jedno z ich miast wraz z jego mieszkańcami i mówią o tym dotychczas - powiedział Elsz.
- Tak, to był środek skuteczny.
- Zawsze możemy to powtórzyć. - dodał Elsz.
- Możemy - zgodził się Admis - ale musimy uratować tych, którzy nam uwierzyli, a to już jest dużo trudniejsze.
A w ogóle żal mi ich wszystkich Adamie. Są rozbłyskami czasu, mgnieniami wieczności, elementami statystyki tego eksperymentu równie nietrwałymi jak rozkład pól w krysztale informacyjnym, a przecież jestem jednak jednym z nich. Oni czują, kochają i czekają z nową nadzieją każdego wzejścia nad horyzont swego słońca. A nadzieja jest pochodną czasu. W trwaniu jest wszystko, ale nie ma nadziei.
- Będą cie chcieli jednak zniszczyć Admisie. Odebrać ci wszystko, nadzieje także. Będą chcieli byś przestał być. Nie roztkliwiaj się nad nimi. Takimi są i zawsze będą. To nie jest początek eksperymentu. Mówisz im przecież, że to co czynią nie nam, tylko sobie, jest złe. Gdyby to zrozumieli, oczekiwaliby kary. A gdy zostaliby ukarani zrozumieliby, że byli winni.. Inaczej zrozumieć nie potrafią. W tej części planety wina i kara są sposobem pojmowania świata. Przybądź do miasta Admisie!
- To twoja decyzja, Adamie?
- Tak. W mieście muszą próbować cie zniszczyć. Ty, całe przedsięwzięcie, jest skierowane przeciw istniejącemu porządkowi. Nie będą mieli wyboru. Zbiorą1 się, by cie osądzić i zabić. A wtedy wkroczy flota.
- A jeśli zamordują go skrytobójczo? - zapytał Elsz.
- W mieście będą cie chronić tak, jak jest to możliwe w czasie, gdzie istnieje przypadek. Ale ochronie cie. Mam do tego nasze możliwości, a także ich sposoby...
- Wiec gdy w końcu się zbiorą, by mnie skazać na śmierć wprowadzisz pojazdy floty i zniszczysz ich i miasto.
- Tak.
- I co dalej?
- Ci, którzy przetrwają, będą wiedzieć, że istniejemy i czuwamy, że widzimy ich czyny. A tych, którzy uwierzyli wcześniej, uratujemy wszystkich.
- I to zmieni ludzi?
- Zapewne.
- Obyś miał racje. Dobrze. Wkrótce przybędę do miasta.
- Zanim przybedziesz, uważaj na siebie Admisie. Jesteś także człowiekiem, tym młodzieńcem, w którego implementowałem ciebie na pustyni. Nie dysponujesz na razie ani otoczkami pól siłowych ani flotą. Tu w tym świecie, gdzie czas mija, mogę nie zdążyć cie osłonić. W mieście bede z tobą słabym transferem. Wiem, że musisz natężać wszystkie swoje zmysły, by słaby transfer odbierać i w tej strukturze jest to wysiłek przekraczający niemal to, co może zwykły człowiek. Ale ty jesteś przecież nie tylko człowiekiem.
- Wszystko jest w twoich rekach, Adamie. Ty jesteś poprzednikiem. Ja tylko następnikiem, młodszą w sensie czasu, twoją implementacją.
- Lecz jesteś mną. Nie zapominaj o tym.
- W trwaniu ty jesteś mną, a ja tobą. Ale w tym świecie istnieje przecież czas.
- Wiec do spotkania Admisie.
- Do spotkania Adamie.

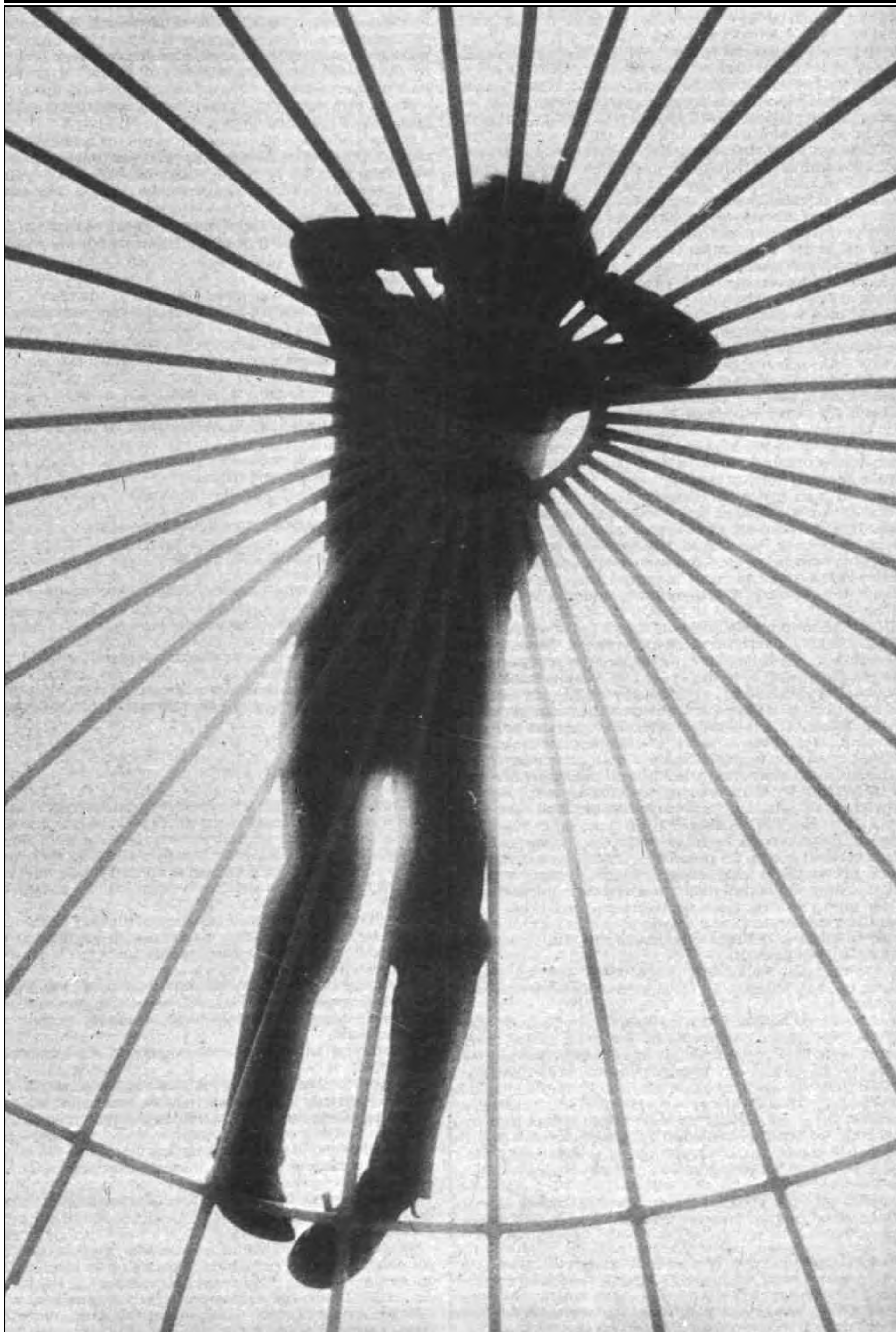
* * *

Lud Atlantis był taki sam, jak tutaj, w tym mieście osiem tysięcy lat później. Mówił innym jeżykiem, czcił innych bogów, ale pracował równie ciężko i pił takie samo wino gdy nadchodziło święto. Tylko kapłani naprawdę wiedzieli. Kapłani Atlantis otrzymali wiedze, która na tej planecie powstała powtórnie za ponad dwa tysiąclecia. A tamci kapłani otrzymali ją, bo taki był tamten pierwszy eksperyment. Otrzymali, zatrzymali dla siebie i tylko czasem, gdy byli zagrożeni używali jej cząstki i dalej byli panami tamtego świata. Potem zapomnieli nawet skąd wiedze te mają i myśleli, że była ich zawsze. A także wierzyli iż wiedzą tak wiele, że świat nie może mieć dla nich niespodzianek. Śmiali się, gdy ich przestrzegał i żądał przekazania tej wiedzy innym.
„Gdybyśmy przekazali naszą wiedze, wszyscy byliby kapłanami, a wiec nikt kapłanem by nie był” - powiedział kiedyś, osiem tysięcy lat temu starzec, który myślał, że naprawdę wie.
Również dlatego musiał wymazać tamten eksperyment. Powodzenie tamtego eksperymentu warunkowane było powszechnością wiedzy. Bez niej eksperyment był bezsensowny, bo na wielkich obszarach informacje można przekazywać falami elektromagnetycznymi, ale nie posłańcami płynącymi na galerach popychanych pracą wioseł niewolników.
A gdy powiedział, że zniszczy tamten świat nie uwierzyli mu, bo myśleli, że wiedzą lepiej.
Znali prawa ruchu ciał w Kosmosie i ta planetoida nadlatują-

ca gdzieś spoza orbity planet zewnętrznych nie niepokoiła ich nawet. Wyliczyli odległość w jakiej minie ich planetę niemal niezauważalnym jasnym punktem swej ponad dziesięciokilometrowej średnicy. A gdy mówił im, że zmieni jej trajektorie tak, że uderzy w planetę - śmiali się. Ich czas był jednoznaczny, a wiec nie mogli znać fal grawitacji. Ładunek grawitacyjny umieszczono w próżni daleko za planetą, nawet poza orbitą jej księżyca. Był tak dobrany, że zainicjowany, generował fale zwijające przestrzeń na tyle intensywnie, że zmieniona trajektoria planetoidy przeszedłszy przez atmosferę planety wnikała w ocean na zachód od Atlantis.
Gdy planetoida zmieniła tor swego lotu uwierzyli mu, ale było już za późno. Uwierzyli mu kapłani, bo lud nic nie wiedział i był zwykłym, takim samym zbiorem ludzi, jak ten lud tutaj w tym mieście, dopóki łoskot i grzmot atmosfery rozrywanej przez planetoidę nie doszedł do Atlantis zarysowując mury świątyni.
Wtedy lud także wiedział, że nadszedł koniec. Wiedział wcześniej nim nadeszła wielka fala omywając wielokilometrowym przybojem stoki nadbrzeżnych gór, zalewając Atlantis i równiny schodzące ku morzom, a potem wszystkie równiny i wszystkie wyspy całej planety. Starcie tej cywilizacji miało być zupełne, takie jak starcie struktur w pamięciach przetworników informacji, gdy kończy się jeden, a zaczyna kolejny eksperyment. Woda, to miał być tylko efekt końcowy zacierający pod warstwą mułu i szlamu ślady tego wszystkiego, co było przedtem. Wcześniej; uderzenie planetoidy zerwawszy skorupę planety, ten cienki pancerz nad rozżarzonym płynnym wnętrzem, spowodowało erupcje wulkanów na całym globie, rzeki płonącej magmy i przeciek trujących gazów do atmosfery. Bieguny planety zmieniły swe miejsce...
Tak, ląd Atlanitis musiał przestać istnieć i to w wyniku jego błędu, błędu w założeniach eksperymentu. Teraz, będąc człowiekiem, myślał o tym z przykrością, bo tylko w trwaniu poczucie winy było mu obce. Ląd Atlantis na którym rozwinął cywilizacje był zbyt odległy od innych lądów i kolonie, przy prymitywnym poziomie techniki zaraz po swym założeniu autonomizowały się. Wymiana produktów i informacji była znikoma, a w eksperymencie zasadniczą sprawą było współdziałanie, rozwój złożonego systemu, a nie niezależny rozwój kilkunastu ośrodków. Dlatego drugi zasadniczy eksperyment, ten eksperyment, w którym teraz brał udział, umieszczono nad morzem zamkniętym, na niewielkim obszarze i nie dokonano transferu wiedzy. Jedynie transfer fragmentaryczny miał nastąpić wiele stuleci później. Co prawda w pozostałych częściach globu prowadzono także eksperymenty, ale były to programy odrębne i takimi miały jeszcze zostać przez długie wieki, chyba że... Pomyślał, że tworzenie, każdy eksperyment, jest konfrontacją wszechwiedzy z szumem informacyjnym, który w definicji informacją nie jest, a niekiedy nazywany jest czasem.
Nie myślał już o katastrofie, która starła Atlantis, lecz o Drugim Eksperymencie i o korekturze, którą właśnie realizował.
Za oknem jego komnaty szarzał świt i słyszał odległe pianie kogutów gdzieś z dołu miasta. Pomyślał, że jest zmęczony, że dzień, który minął był ciężki i że sam jest jednak człowiekiem. Potem, gdy zasypiał widział znowu świątynie Atlantis, gdy nadchodząca fala wody zakryła słońce i słyszał tamtych ludzi, którzy wzywali Go by ich ratował, a przecież oni ginęli dlatego, że tak właśnie chciał. Nim zasnął pomyślał jeszcze, że trudno być człowiekiem, a potem śnił że jest w trwaniu, a wszystko to, co widział na tej planecie, jej ludzie, miasta, drzewa i zachody słońca są tylko złudzeniem.
Spał już, gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca odbiły się od białych tarasów świątyni miasta, w którym był.

* * *

Czekał, spacerując wolno wzdłuż balustrady tarasu, na ten głos. Dotarł do niego ze strony świątyni przytłumiony odległością. Był wyraźny w ciszy zmierzchu: trzy razy zagrały trąby. Spojrzał na ciemne teraz, wschodnie niebo i dojrzał trzy gwiazdy. Czekała go pracowita noc.
Pierwszy przybył Ardo, dowódca garnizonu, ten sam młody mężczyzna, chłopiec prawie o brązowych kręconych włosach spadających na kark, szerokim pasie ze srebrnymi blachami i z krótkim mieczem w skórzanej pochwie, na którego rozkaz, za dnia, konnica atakowała tłum.
- Sława Imperatorowi - powiedział i znieruchomiał trzy kroki przed proktorem.
- Sława - odpowiedział, a potem ciszej już dodał - Chodź ze mną. Musimy się naradzić, sprawa jest bowiem poważna. Wziął tamtego za ramie i poprowadził go ku kolumnom i wejściu do komnat, gdzie służba zapaliła tymczasem lampy oliwne.
- Nie tęsknisz za stolicą, Ardo? - zapytał. Mówił mu czasem po imieniu, gdy byli sami i żołnierze ich nie słyszeli.
- Dlaczego pytasz, proktorze?
- Chce wiedzieć.
- Imperator mnie tu przysłał i stąd mnie odwoła.
- To pewne, ale może odwołać cię stąd jako zwycięzcę lub jako pokonanego.
Szli teraz w kierunku fontanny i zatrzymali się przy niej tak, że szum spadającej wody wytłumiał ich słowa.
- Do czego zmierzasz, proktorze?
- Możemy mieć tu gorącą wiosnę.
- Jestem zawsze gotowy zginąć za ojczyznę.
- O to nie tak trudno Ardo, ale ojczyzna wymaga od ciebie trochę więcej.
- Słucham twoich rozkazów, proktorze.
- W mieście zaczęły się rozruchy.
- Wiem, panie.
- Mów.
- Pojawił się mąciciel i cześć ludzi go słucha.
- Co mówi?
- Żołnierz tego nie słucha, panie.
- Dobrze, co mówi?
- Mówi o zniszczeniu miasta i nowym królestwie.
- Nic więcej?
- Nic co mogłoby nas interesować.
- Co przedsięwziąłeś?
- Wyznaczyłem na jutro trzy setnie pieszych i dwa oddziały konnych na wypadek, gdyby doszło do jakichś rozruchów. Przekazałem dowódcom, że gdyby w czasie zamieszania przypadkiem zginął ów człowiek, oddział dostanie trzy beczki wina.
- Odwołasz ten rozkaz!
- Tak jest, panie.
- Odwołasz również te oddziały.
- Tak jest.
- Weźmiesz natomiast jedną setnie, przebierzesz w szaty zwykłych ludzi, uzbroisz w sztylety i pałki ukryte pod suk- v niami. Żołnierze tak ubrani wmieszają się w tłum i będą chronić tego człowieka. Straż świątyni może go atakować. Jeśli po tym ataku będzie mniej liczna, nie będę miał o to pretensji. A wina dla dzielnych żołnierzy też mamy dosyć.
- Czy dobrze zrozumiałem? Mam go chronić?
- Dobrze zrozumiałeś. Bez mego osobistego rozkazu nie rozpędzać tłumu. Powtarzam: osobistego.
- Tak jest, proktorze.
- To jeszcze nie wszystko. Weźmiesz pięć setni i konnych. W szyku zwartym przemaszerujesz przed pałacem kapłana i przez dziedziniec. W pełnym uzbrojeniu.
- Rozumiem.
- Ponadto od jutra rana pełne pogotowie dla wszystkich oddziałów.
- Tak jest, proktorze. To aż tak poważna sprawa?
- Czy sądzisz, że inaczej sam bym się tym zajmował?
- Czy mogę jeszcze o coś zapytać proktorze?
- Pytaj.
- Ten człowiek, to wysłannik Imperatora.
- Tego komendant garnizonu nie musi wiedzieć.
- Tak jest.
- Ale powiem ci, że jakiś władca naprawdę go tu przysłał.
- Rozumiem.
- Wątpię Ardo, ale pamiętaj o stolicy. Możesz tam się wkrótce znaleźć, a prowincji dla dzielnych żołnierzy w Imperium jest dość. Prowincje taką mógłbyś dostać. A teraz odejdź i jutro rano zamelduj wykonanie rozkazów.
- Sława Imperatorowi - odpowiedział Ardo, wykonał zwrot i zniknął w mroku.
Proktor uśmiechnął się i spojrzał w nisze, gdzie kapiąca w klepsydrze woda odmierzała czas. Wiedział, że następna rozmowa



będzie dla niego trudniejsza. Przeszedł do swojej komnaty i dotknięciem dłoni zablokował drzwi, a potem usiadł w fotelu pod hełmem.

* * *

Czekał na Kario na dziedzińcu twierdzy, kilka kroków za nim stała jego lektyka i potężni śniadzi niewolnicy ją noszący odpoczywali teraz w jej cieniu, bo na to im przyzwolił. Jego osobista straż - czterech uzbrojonych żołnierzy w hełmach i pancerzach stało obok w słońcu, tak jak nakazywał regulamin i patrzyło wraz z nim na wymarsz oddziałów. Oddziały stały w pełnym uzbrojeniu i równały szyki. Słyszał szczek metalu i komendy setników, gdy oddziały wyrównywały front. Z tej odległości twarzy poszczególnych żołnierzy nie widział, ale wiedział, że pot spływa już z ich czół i był pewien, że przeklinają jego, proktora Imperium, który dla swojej zachcianki nakazał im tu stać w skwarne wiosenne przedpołudnie, i za to że będą musieli maszerować w szeregach, zamiast leżeć w cieniu, pić wodę zmieszaną z winem lub octem i grać w gry, dla których kamienne plansze wykonano w płytach dziedzińca.
jazda zbierała się w dole na innym dziedzińcu i słyszał tylko rżenie i tupot koni.
Na drugim skraju dziedzińca stało trochę gawiedzi, wpuszczonej tutaj, by mogła patrzeć na wojskową potęgę Imperium. Przeszedł w ich stronę, by Kario łatwiej mógł do niego podejść. Jego eskorta ruszyła za nim, a także niewolnicy poderwali się, przenieśli lektykę kilkadziesiąt metrów i znowu usiedli w jej cieniu. Oddziały wyrównawszy szyki dokonały zwrotu i z rytmicznym łoskotem sandałów ruszyły ku bramie. Przyjmując świtem meldunek od Ardo, zabronił żołnierzom pozdrawiania go, ale i tak był świadom tego, że idąc patrzą na niego.
Teraz gdy przechodzili obok niego w odległości kilkunastu, kroków poczuł zapach skór ich rynsztunku zmieszany z wonią potu.
Nie patrzył na ostatnie wychodzące oddziały, tylko szukając wysokiej sylwetki Kario spoglądał w bok, ku tłumowi przybyłemu z miasta. Dostrzegł w końcu Kario przepychającego się w tłumie do przodu. Gdy ostatni żołnierze odeszli, tak jak przewidywał, z tłumu wysunęło się kilku ludzi i ruszyło ku niemu, kłaniając się nisko, idąc wolno, by nie narazić się na brutalną interwencje eskorty. Jak zawsze przy takiej okazji chcieli mu przedstawić swoje sprawy lub błagać o łaskę w jakichś drobnych przewinieniach, bo on był tu sędzią najwyższym i tylko obywatele Imperium mogli odwoływać się do samego Imperatora. Tak jak zawsze, udając przez chwile wahanie wskazał na Kario, a resztę oddalił ruchem dłoni. Żołnierz z eskorty podszedł do Kario i przeszukał go sprawdzając czy nie ma noża lub innej broni. Potem przepuścił go i Kario podszedłszy do proktora upadł na kolana ze słowami:
- Bądź pozdrowiony, proktorze.
- Wstań - powiedział proktor i nakazał żołnierzom, by odeszli poza zasięg głosu. Dziedziniec pustoszał i wartownicy usuwali ostatnich gapiów za bramę.
Kario wstał i wtedy proktor zauważył, że tamten nosi skórzany fartuch z wielkimi kieszeniami na pieniądze, tak jak wymagał tego jego zawód.
- Mów - powiedział do Kario.
- Chwila sprawiedliwości jest bliska, panie. Wszyscy słuchają i czczą Admisa. Jego prawda jest wielką prawdą i trafia do serc ludzi. Tłumy słuchają go i wielbią.
- Mam nadzieje że nie płacisz ludziom, by wiwatowali na jego cześć.
- Nie śmiałbym, panie. Admis nigdy by mi tego nie przebaczył.
- Sam to kiedyś proponowałeś.
- To było dawno, panie, wtedy, kiedy jeszcze nie wiedziałem gdzie jest prawda.
- A teraz?
- Jego królestwo nadejdzie, panie. I przecież ty się także z tego cieszysz i miłujesz go. Inaczej nigdy nie wydałbyś tyle pieniędzy dla niego i jego uczniów.
- Zwycięstwo nie będzie proste, Kario. Królestwo samo nie nadchodzi...
- Wiem, panie. Kapłani knują przeciw nam. Nawet twoje wojsko...
- To pomyłka, intryga ciemnych sił...
- Tak pomyślałem, panie. Ale nie mówiłem, bo mi zakazałeś.
- I dalej zakazuje. Nikt, nawet Admis, nie śmie wiedzieć, że wykonujesz moje rozkazy.
- Tak, panie.
- Padnij teraz na kolana i słuchaj mnie uważnie... - czekał, a gdy Kario ukląkł mówił dalej. - Kapłani spiskują. Chcą zabić Admisa. Nie mogę bronić go teraz, gdy przebywa gdzieś w mieście. Jego uczniowie nie stawią czoła kapłańskim strażom i może zginąć każdej godziny dnia i nocy. A ja go musze ochronić, Kario, i ty mi w tym pomożesz.
- Jeśli tylko potrafię, panie.
- Potrafisz!
- Co mam czynić?
- Pójdziesz do arcykapłana i wydasz Admisa.
- Nie rozumiem, panie.
- Pójdziesz do arcykapłana i sprzedasz go. Zażądasz pieniędzy za jego wydanie.
- Nie uczynię tego, panie. Ja go kocham.
- Kario, kochasz go i wolisz by zginął, zasztyletowany gdzieś w zaułku, czy rozsiekany mieczami przy posiłku. Chcesz zobaczyć go skrwawionego i martwego.
- Nie, panie.
- Wiec uczyń, co ci powiem.
- Nie zaprzedam go. Nie potrafię.
- Człowieku. Nie mam innego sposobu. Moi żołnierze nie mogą go po prostu zatrzymać i chronić.
- Wiec chcesz, panie, by arcykapłan ujął go. On go zabije. Rozkaże swoim strażom, by zatrzymując go już go zabili.
- Nie Kario, tam będą moi żołnierze. Nie pozwolą na to. Tego ja dopilnuje-
Kario milczał chwile, a potem powiedział.
- Ty wiele możesz panie, lecz nie doceniasz chytrości arcykapłana. Przebacz, że śmiem tak mówić, panie, ale to wiem. Ja, nie ty, jestem z tego narodu. On zabije go, panie i ani ty, ani ja nie zobaczymy nawet jego ciała - Kario umilkł i jeszcze niżej pochylił głowę nad kamieniami płyt dziedzińca.
- Gdy ja, proktor bede wiedział o tym, że Admis jest w jego rekach, nie odważy się go zabić. Będzie musiał postawić go przed sądem. Wtedy Admis przemówi do najwyższych dostojników i może przekona ich. Ci co nie uwierzą, zginą jak inni. Ale przecież oni dotąd nawet go nie wysłuchali. Nawet go nie widzieli. Ty także kiedyś nie wierzyłeś mu, a teraz wierzysz. Ci dostojnicy to przecież ludzie. Niech i oni zobaczą i usłyszą. Nie można ich tego pozbawić tylko dlatego, że są bogaci i mają władze. To co mówi Admis jest dla wszystkich, dla niewolników i ich właścicieli, dla nędzarzy i bogaczy, dla tych co pracują i tych co całe życie odpoczywając żyli z pracy innych. Dla nich wszystkich jest nadzieja, a wiec i miłość i przebaczenie, które są w nadziei.
- O czym mówisz, panie. Arcykapłana nic nie zmieni. On nie robi takich interesów. On nawet o nich nie będzie słuchał. Dla niego wszystko jest tak jak być powinno. Lud składa ofiary, wiec Bóg dostaje co się jemu należy. A każdą ofiarę kupuje się u sprzedawców arcykapłana, a wiec on także dostaje co się jemu należy. To jest pewny interes i dla Boga i dla arcykapłana. Ty, panie, będąc arcykapłanem pozwoliłbyś popsuć taki interes? Wierzysz, że on na to pozwoli, panie?
- Nie. Ale by sprawiedliwość mogła zwyciężyć i ta próba musi być podjęta.
- A wtedy kapłani skażą Admisa na śmierć.
- Jeśli go skażą, sprawiedliwość zwycięży i kara dosięgnie tych, co go skazali.
- Ty wiesz, panie?
- Tak, Kario.
- Jesteś wielki i twoje wojska idą przez miasto. Teraz wiem, że Admis zwycięży.
- Wykonasz wiec to co ci polecam.
- Nie wiem, panie. Boje się.
- O swoje nędzne życie.
- Boje się nie o siebie. Boje się o niego.
- Cóż mu się może stać. Wszystkie moce będą go strzec. A może chcesz nagrody?
- Nie panie. Nie chce niczego. Jeśli ty wiesz, zrobię co żądasz, bo ty wiesz lepiej. Lecz nie wezmę od arcykapłana nawet de-

nara.
- Nie, Kario. Zażądasz zapłaty. Tylko wtedy arcykapłan ci uwierzy. Tylko pieniądze są celem oczywistym człowieka w tym świecie. Inne cele są zawsze podejrzane. Zażądasz trzy razy więcej niż zechcą ci dać.
- Nie będę się targować. Nie o Admisa.
- Powinieneś, Kario.
- Nie będę. Nie potrafię, panie.
Patrzył na ciemną głowę Karia i zrozumiał, że nic więcej nie osiągnie.
- Jak chcesz Kario - powiedział.
- I tak zaraz go uwolnisz, panie, i będzie tu królem.
- On już jest, Kario.
Kario podniósł głowę, i patrzył wprost na niego nie mrużąc nawet oczu w południowym słońcu.
- Wierze ci, panie - powiedział.
- Wstań wiec, idź i uczyń dziś wieczór co kazałem.
- Tak, panie - Kario umilkł na chwile, a potem dodał już ciszej - ale dlaczego mnie wybrałeś, panie?
Proktor nie odpowiedział tylko odszedł w kierunku lektyki. Niewolnicy poderwali się z ziemi. Po chwili uniesiony przez nich w kierunku pałacu widział jeszcze Karia, gdy ten szedł ku bramie. Wydawał mu się jakiś mniejszy i pochylony. Przez chwile wydawało mu się nawet, że człowiek ten nie ma cienia. Potem pomyślał, że słońce stoi już w zenicie. Gdy wrócił do swych komnat powiadomiono go że arcykapłan prosi go o audiencje. Przewidywał to, lecz spodziewał się, że stanie się to dopiero popołudniem lub nawet wieczorem. Starzec nadszedł powoli poprzedzany przez żołnierza, który podprowadziwszy go do ławy odszedł.
- Witaj proktorze - powiedział na powitanie arcykapłan.
- Witaj - odpowiedział i nie wstając wskazał mu miejsce obok. Potem przysunął ku niemu owoce a sam sięgnął po kubek z chłodnym jeszcze płynem.
- Twoje wojska maszerują dziś przez miasto - zaczął arcykapłan.
- Dałem taki rozkaz. Tej wiosny miasto nie jest spokojne.
- Myślałem, że przywrócisz w nim spokój.
- W tej prowincji nie jest to łatwe, o czym obaj dobrze wiemy.
- Myślałem, że twoja konnica dosięgnie mąciciela
- Pojawił się w ogóle jakiś? - zapytał i spojrzał na starca, „Nie ułatwię mu tej rozmowy” - pomyślał.
- Tak. Przecież atakowała go twoja konnica.
- Ach, to. Rozpędzała jakieś zbiegowisko, bowiem obywatele Imperium skarżyli się na brak spokoju.
- Spokoju nie będzie, dopóki ten człowiek jest w prowincji.
- Jeśli mówisz, że jest jakiś, to usuń go. Starzec spojrzał wprost na proktora.
- Ponieważ nikt nas nie słyszy proktorze, będę mówił otwarcie. To twoja sprawa, nie moja. On wzywa do powstania i utworzenia tu królestwa.
- Odpowiem ci, kapłanie równie otwarcie. Nie wiedziałem, że twoja sympatia i lojalność dla Imperium są tak wielkie.
- On tego może dokonać.
- Ja mam swoich żołnierzy. Niech spróbuje. Chwilowo nie zagraża Imperium.
- Jednak trzeba go usunąć.
- Wiec uczyń to. Słyszałem, jeśli mówimy o tym samym człowieku, że każdego dnia można go spotkać przy świątyni. Nakaż strażom świątynnym, by go zatrzymały.
- Nie. Tak nie mogę—
- Nie masz dość straży?
- Może polać się krew, a to jest krew tego narodu.
- Po prostu uważasz, że nie jest to łatwe? Że ma zbyt dużo zwolenników. Przyznaj się, może jest ich więcej niż wyznawców świątyni.
- Nie.
- Wiec boisz się. Boisz się zamieszek, w których mogłyby ucierpieć twoje stragany. Moje wojsko zawsze jest w pogotowiu.
- Widziałem to dzisiaj. Tylko czekasz, proktorze, żeby wkroczyć do świątyń z wojskiem. Każdy powód dla ciebie jest dobry. Ty nienawidzisz tego narodu tak jak i mnie nienawidzisz. Chcesz rozprawić się z tym miastem. Marzysz o postawieniu w świątyni posągu Imperatora.
- Przesadzasz, Imperator nie potrzebuje twojej świątyni. Ale jeśli się boisz - nic nie rób, kapłanie i czekaj, aż ten człowiek zdobędzie wszystkich twoich wyznawców. Myślę, że świątynia może zostać wykorzystana również dla nowego kultu. Jest to piękna budowla, mówiąc szczerze, jedna z najpiękniejszych jakie widziałem w życiu.
- Gdybyś mi pomógł proktorze, potrafiłbym ci okazać wdzięczność mego ludu. Świątynia jest bogata i jeden wóz złota nie przyniósłby jej uszczerbku. Gdybyś nam wszystkim pomógł...
- Zawsze, gdy będzie tego wymagało dobro Imperium.
- Dwa wozy... I taka chwila nadeszła, proktorze.
- Jestem innego zdania, arcykapłanie. Dobro Imperium nie jest zagrożone.
- Trzy wozy zrujnują świątynie. Przy tym to królestwo, które chce tu ogłosić, nie będzie miłe Imperatorowi.
- Królestwo bez pułków wojska nie interesuje Imperatora. Starzec milczał chwile.
- Wiec nic tu po mnie, proktorze.
- Zjedz winogrona.
- Pójdę już, każ przywołać straż.
- Jeszcze ja nie skończyłem arcykapłanie. Nie sądź, że to co powiedziałeś nie dotarło do mnie. Ja po prostu wiem, że poradzisz sobie i bez władzy namiestnika Imperatora.
- Więcej niż trzy wozy nie mogę. Wierz mi proktorze.
- Nie o to chodzi. Sprawa jest na tyle poważna, że gdybyś zdecydował się człowieka tego zatrzymać, chce by żołnierze Imperium byli przy tym. Twoja straż jest znakomita do zabijania zwierząt ofiarnych, lecz obawiam się, że do tego ogranicza się jej sprawność. Nieudane zatrzymanie mogłoby naprawdę wzniecić zamieszki.
- Zgoda, wyślij wiec żołnierzy i go zatrzymaj!
- Nie, arcykapłanie. My się nie rozumiemy. Wiem, że zechcesz rozwiązać te sprawę po swojemu, nocą, gdy inni śpią, a ty czuwasz. Ale pamiętaj, mają być przy tym moi żołnierze. I przed Imperium odpowiadasz za to swym urzedem, a przede mną, prywatnie - proktor nachylił się do starca - gardłem. Twoje życie nie jest dla mnie więcej warte niż życie mego jednego żołnierza, a gdy wybuchną zamieszki, żołnierzy zginie więcej. Wiec pamiętaj o tym, co ci powiedziałem, a wiesz że zawsze dotrzymuje obietnic. O wypadek w tym mieście, nawet dla arcykapłana nie trudno.
Starzec zbladł jeszcze bardziej i siedział nieporuszony.
- Może jednak spróbujesz winogron? - zapytał proktor.
- Złoże na ciebie skargę do Imperatora - wyszeptał w końcu starzec.
- O co? O to że dbam o dobro Imperium?
- Ty mnie obrażasz.
-... proktorze, chciałeś dodać. Tak, obrażam cie, bo cie nie szanuje. Nie potrafisz poradzić sobie z własnym ludem w najprostszych sprawach. Nie szanuje niedołęgów. Powinieneś złożyć swój urząd i grzać cały dzień na słońcu stare kości, a nie mnie w samo południe niepokoić sprawami z którymi sobie nie radzisz - klasnął w dłonie wzywając straże. - Żegnaj arcykapłanie i dbaj o swoje zdrowie. Tamten wstał i nie patrząc na proktora odszedł zanim nawet nadbiegł żołnierz.
Proktor dopił wino. „Powiedziałem tyle co trzeba” - pomyślał - „by zmusić go do działania. Teraz będzie działał.” A jednak żal mu było starca, który przeżył całe życie w tym mieście i w swych ostatnich latach musiał podjąć decyzje z których każda była dla niego zła, bo albo zmieniała jego role do której przywykł albo burzyła świat, w którym się zestarzał. Ale tego jeszcze arcykapłan nie wiedział, tak jak nie wiedział o flocie, która czekała na te decyzje, decyzje, której arcykapłan nie mógł odwlec w czasie, co jak wszyscy ludzie starzy czynił zazwyczaj chętnie. Był zmęczony słońcem, dopił wiec wino, które już się nagrzało i nie chłodziło gardła, a potem przeszedł przez taras i wszedł pod kolumny w cień i chłód fontanny.

* * *

Czekał na przełęczy, która była jeszcze w słońcu. Niżej w dolinie nadchodził już zmrok. Patrząc stąd widział wyraźnie mury miasta białe i potężne nawet w tej odległości. Pojawił się tu przed chwilą, po prostu wyszedł zza głazów i zamknięty w anonimową postać transferu czekał. Podróżni z jucznymi zwierzę-

tami obładowanymi ładunkami mijali go. Słyszał pokrzykiwania poganiaczy mułów, cichnące w dolinie, gdy minęli przełęcz, rozmowy i płacz dzieci niesionych przez matki.
Wreszcie zobaczył Admisa i poznał go. Szedł w środku grupy mężczyzn, ubrany jak oni w szaty prostych ludzi, boso. Poznał Karia w jego skórzanym fartuchu i mężczyzn, których widział wtedy nocą na szczycie góry, gdy był tam z Admisem i Elszem.
Podszedł do nich i chciał zbliżyć się do Admisa, lecz tamci zastąpili mu drogę.
- Kim jesteś - zapytał ten, który był na szczycie góry, potężny mężczyzna o szerokich plecach, z krótkim mieczem ukrytym wśród szat.
- Admisie - zawołał - przysyła mnie ten, który trwa.
- Przepuść go, Kefo - powiedział Admis.
Kario także patrzył na niego przez chwile, gdy przeciskał się do Admisa, ale podobnie jak Admis nie mógł go poznać, bo nigdy go w tej postaci nie widział, a gdyby nawet rozmawiał z nim kiedyś w takiej postaci i tak by nie zapamiętał.
Gdy był już przy Admisie, ten dał znak ręką, by mężczyźni odeszli od nich i teraz kilku z nich wraz z Kefą szło parę kroków przed nimi, a reszta pozostała w tyle.
- To ty, Adamie? - zapytał cicho Admis.
- Tak, to ja.
- Nie poznam cie nawet, gdy znowu cie zobaczę, tak jesteś żaden.
- Wiem o tym, Admisie. Ty jesteś ten, którego będą znać. Zaczęli schodzić w dolinę i zeszli ze słońca w cień, który był cieniem góry, za którą skryło się słońce.
- Jesteś beztroski, Admisie - powiedział Adam. - Mogą cie tutaj zabić, nim wejsziesz do miasta.
- Czuwasz nade mną Adamie i ufam ci.
- Nie mogę na stałe przykryć cie polem, by nikt nie miał do ciebie dostępu.
- Tak, wiem. Tutaj jestem człowiekiem i muszą mnie znać i dotykać, by mi wierzyć.
- Transferem też być nie chcesz.
- W postaci transfera nic nie wie się o tym, co czuje człowiek, jak pragnie i cierpi. By ich rozumieć, trzeba być jednym z nich.
- I wtedy Admis stał się jednym z nas...
- O czym mówisz.
- O słowach, które kiedyś może zapiszą w swych księgach. Uzupełniając to co jest już zapisane, o Adamie.
- Nie wiem, czy zapiszą. Jeden z tych ludzi zapisuje moje słowa, lecz czyni to tak jak potrafi. Inni tylko słuchają, ale będą pamiętać.
- Po co zabierasz ich z sobą do miasta, Admisie?
- Nie przekazałem im jeszcze wszystkiego.
- Nie masz wiele czasu. Dziś wieczór Kario będzie u arcykapłana i sprzeda cie.
- Myślałem, że mnie miłuje.
- Kocha cie. To ja go przekonałem i czyni to dla ciebie.
- Jak mógł się zgodzić?
- Wierzy, że zwyciężysz i chce ci pomóc w zwycięstwie. Admis chwile milczał, a potem powiedział.
- Źle uczynił. Ty też źle uczyniłeś.
- Dlaczego, Admisie?
- Bo ja umrę w tym mieście i winnym tego będzie dla świata on, jeden z mych uczniów.
- Wszyscy zginą. Ocaleją tylko ci, których wyprowadzi z miasta Gab.
- Nie, Adamie. Umrę tylko ja jeden.
- Nie rozumiem cie, Admisie...
- Widzisz Adamie. Po raz pierwszy jestem tak długo wśród nich, wśród ludzi. Jestem, będąc człowiekiem. Tam, w trwaniu, wiemy wszystko, ale pojąć wszystko można dopiero tutaj, gdzie jest czas. Nie chce Adamie, by oni ginęli tylko dlatego, że nie usłyszeli mych słów, żyjąc w swej codzienności, która nie pozwala nawet słuchać, a co dopiero usłyszeć. Czymże są oni winni, żeby zginąć.
- Tak było zawsze na tej planecie, Admisie. Ratowaliśmy sprawiedliwych, a resztą ginęła.
- I co osiągnęliśmy. To że raz jeszcze musisz niszczyć i zabijać. A za trzy, cztery pokolenia znowu zapomną o tym, będą żyć tak jak żyją i tylko pozostanie groza naszego imienia. To wszystko już było, Adamie.
- Cóż wiec chcesz uczynić?
- Ja sam umrę osądzony przez nich, taką śmiercią, jaką umierają najnedzniejsi z nich, by potem każdy z nich.
cierpiący czy umierający, wiedział, że nie jest pierwszy, samotny w swym cierpieniu, opuszczony przez innych na samym dnie życia, że ja byłem przed nimi i cierpiałem nie mniej. I żeby każdy z nich miał te świadomość. - Admis umilkł. Schodzili ku strumieniowi i w nadchodzącym mroku Adam widział biel kamieni mostka przerzuconego nad potokiem.
- Skąd wiesz, że będą pamiętać? - zapytał po chwili Adam.
- Ty ich nie znasz Adamie, tak jak ja ich znam. Oni potrafią zapominać zło, i pamiętają, to co złem nie jest. Dlatego ich starcy zawsze wspominają dobre czasy. Będą pamiętać to, że nie musiałem zginąć i że zginąłem dla nich.
- Kto będzie to pamiętał, gdy miasto zginie?
- Nie zniszczysz miasta, Adamie.
- Przecież ono zginie. Ty także wiesz to z trwania.
- Ale tu jest czas i miasto nie musi zginąć teraz.
- Cóż wiec chcesz, żebym uczynił?
- Nic, Adamie. To stanie się bez ciebie. Adam milczał chwile.
- Nie Admisie - powiedział w końcu. -Ja także znam tych ludzi. Nie wiesz o tym, ale ja także jestem w czasie, człowiekiem na tej planecie. Oni wielbią tylko silnych. Patrz na imperatorów, których czczą, wodzów których się boją i kapłanów, których słuchają. Pokonany władca nie jest władcą i pamięć o nim ginie, a o zwycięzcach pamiętają przez wieki.
- Ale ich nie mirują, Adamie. Nie władcy są ich nadzieją. Przeszli przez most i było teraz więcej ludzi wokół nich. Wzgórza były w mroku i Adam nie dostrzegł już winnic, które tam były i tylko widział smukłe wymierzone w niebo sylwetki cyprysów na szczytach wzgórz.
- Chcesz zmienić przedsięwzięcie, Admisie. Nie zgadzam się na to - powiedział.
- Nie przedsięwzięcie, tylko sposób jego wypełnienia. I zrobię to. Tak postanowiłem, Adamie. Ja wiem, że czynie słusznie.
- Nie Admisie. Powtarzam ci raz jeszcze. Ci, których oni czczą są zawsze potężni. Wskaż mi przykład, by czcili pokonanego.
- Ja nim jestem. Będą mnie pamiętali po wiekach.
- Chcesz czynić wbrew mnie, a ja przecież jestem tobą.
- Jestem tobą w trwaniu, Adamie. Lecz także ty jesteś mną. A ja jestem ten, którego mają pamiętać. I uczynię tak jak powiedziałem, bo ich nadzieja jest naszym celem, a nie ich śmierć.
- Nadzieja, ale dla tych co chcą nas usłyszeć.
- A śmierć dla pozostałych? Tam przecież będą niewinni, nie tylko ci, którzy nie chcieli nas słyszeć. Będą ci, którym nie starczyło odwagi, by słuchać i tacy, którzy zginą tylko dlatego, że tam byli, a o nas nie zdążyli nigdy usłyszeć.
- Tak jest zawsze z mieszkańcami ich miast, które giną. To reguła wymyślona przez nich i dla nich. Ich historia, przeszłość i przyszłość pełna jest miast, które zginęły: Ich to nawet nie dziwi, że w niszczonych miastach giną niewinni. Oni to rozumieją i akceptują. Teraz i zawsze. Po cóż poprawiać chcesz ich schematy, wprowadzać zamieszanie w reguły ich historii. Oni tego nie będą w stanie zrozumieć. Nie domyśla się nawet twojej ofiary. Czyń tak jak zamierzaliśmy, a resztę zostaw mnie.
- Nie, Adamie. Uczynię tak jak powiedziałem. Ja umrę dla nich. Niech chociaż raz nie doświadczą od nas pożogi i zniszczenia. Nie zapomną tego, wierz mi. To właśnie pamiętać będą.
Doszli do kamiennych szerokich schodów prowadzących w górę do miasta i wtedy usłyszeli daleki głos trąb ze świątyni. Zaczynała się noc i nowy dzień, który tu zaczynał się od nocy.
- Odchodzę, Admisie - powiedział Adam. - Zaczyna się noc i za chwile staną się widoczne wyładowania silnego transferu. Ale pamiętaj, ja nie chce tego, co ty chcesz uczynić.
- Wiem, Adamie, lecz stanie się jak mówię.
- Bede ci towarzyszył Admisie i przekonam się.
- Bądź ze mną Adamie, lecz uczynię, jak powiedziałem,. Adam nie odpowiedział. Odszedł w bok w wąskie uliczki zaułków i rozwiał się.
W swej komnacie, nie wstając nawet z fotela od razu po powrocie z miasta wszedł w transfer.

O autorze: patrz „Fantastyka” nr 9/83

FILAR DARIUSZ

(1950-)

Literat, publicysta

Dariusz Filar urodził się 18 lipca 1950 foku w Gdyni. Recenzjami i krótkimi formami prozatorskimi debiutował w r. 1968 na łamach ówczesnego Miesięcznika Pracy Twórczej „Radar". Jego pierwszym utworem science fiction było opowiadanie „Mortigena intellectualis" ogłoszone w r. 1969 w 10 numerze „Młodego Technika". W latach 1970-1973 w „Młodym Techniku" ukazało się kilkanaście innych opowiadań fantastyczno-naukowych, z których większość weszła następnie w skład debiutanckiej książki „Czaszka olbrzyma"! Na sza Księgarnia", Warszawa 1976; Zawartość: Dreambox, Więźniowie ciszy, Niewolnik, Nazbyt szczęśliwi, Metoda zachowania osobowości, Niepokonani, Mortigena intellectualis, Theatron, Maczuga, Tachistos, Czaszka olbrzyma, Myśli ulotne).
W latach 1970-1975 Dariusz Filar współpracował jako publicysta i korespondent zagraniczny z krakowskim dwutygodnikiem „Student". Od wiosny 1977 r. do lata 1978 r. pisał powieść o tematyce" współczesnej „Pia» wyścigowy" (obszerne fragmenty tego utworu zostały wydrukowane w 1979 r. w 2 numerze „Miesięcznika Literackiego"). Powieść zostanie opublikowana nakładem SW „Czytelnik" w roku 1984. W roku 1982, w ramach serii „Stało się jutro" (IW „Nasza Księgarnia") ukazał się tomik D. Filara zatytułowany „We własnej skórze" (Zawartość: We własnej skórze, Inne miejsce). Kilka opowiadań zawartych w debiutanckim wyborze „Czaszka olbrzyma" zastało przetłumaczonych na język rosyjski, czeski, esperanto oraz zamieszczonych w obcojęzycznych antologiach fantastyki polskiej. Aktualnie D.Filar pracuje nad tekstami do nowego tomiku serii „Stało się jutro", który będę nosił tytuł „Nieostrość" i nad kolejną powieścią o tematyce współczesnej.
Proza Dariusza Filara sięga do tradycyjnych tematów science fiction, ale broni się przed konwencjonalnością zaskakującym, nierzadko ironicznym przełamywaniem wątków narracyjnych. I tak np. w „Niepokonanych" - inwazja z Kosmosu okazuje się wyreżyserowaną akcją Ziemian, „przeprowadzoną po to, aby ludzkość uwierzyła, że istnieją Kosmici". W opowiadaniu „Mortigena intellectualis" podwyższenie sprawności umysłowej człowieka jest równoznaczne z jego zagładą. W „Tachistosie" podróż z szybkością ńadświetlną prowadzi do wędrówki w przeszłość. Do najciekawszych opowiadań należy bez wapienia „Maczuga" - historia o niezniszczalnym przedmiocie z Kosmosu, którego przeznaczenia nie udaje się rozszyfrować. Leitmotivem twórczości Dariusza Filara jest jednak kwestia ingerencji w podświadomość człowieka - przekazywania i odczytywania cudzych myśli, konsekwencje etyczne i środowiskowe wynikające z zastosowania maszyn fantomatycznych (Myśli ulotne, Metoda zachowania osobowości, Theatron, Drembox, Nazbyt szczęśliwi). Najciekawszym przykładem wspomnianych zainteresowań staje się tytułowe opowiadanie tomu „We własnej skórze", które w niezwykle sugestywny sposób uświadamia zagrożenia płynące z „techniki aliusensorycznej" przekazującej doznania zmysłowe z mózgu jednego człowieka do drugiego.

A M U L E T

...Czy pan zdaje sobie sprawą, jakie doniosłe znaczenie miało dla nas sprowadzenie do Polski i unieszkodliwienie posiadacza amuletu? Wiedzieliśmy jednak z góry, że egiptiolog Maj kin nikomu amuletu nie powierzy. Widząc, że wpadł w zasadzkę i że rola jego w akcji Thaidy jest już nam znana, zaciął się. i milczał zawzięcie. Dopiero sprowokowany pytaniami lekarza o istotę, medycyny staroegipskiej zaczaj po trochu mówić. W ożywionej dyskusji, jaka sie wkrótce wywiązała odezwał się. uczony, szperacz, zamiłowany egiptiolog. Z miłym zdziwieniem stwierdził, że przyjaciel mój obeznany jest dobrze z medycyną antyczną, która, jak wiadomo, w dziedzinie hipnotyzmu osiągnęła zdumiewające wyniki. Opowiedział wiec nam z wyraźną dumą historie, odkrycia amuletu.
- Kiedy było to badanie? - przerwał zasłuchany Kamil.
- Wczoraj wieczorem. A zatem dowiedzieliśmy się, że Majkin, myszkując w jakimś świeżo odnalezionym grobowcu, odnalazł mumie arcykapłana Horzesa, a w mumii złotego skarabeusza, niezmiernie starej roboty. Napisy na grobowcu głosiły, że arcykapłan, jadąc kiedyś z amuletem do faraona, spadł z wozu i zabił się. Podobno jednocześnie, w tej samej chwili, zmarli nagle: faraon, dwaj kapłani, pomocnicy i zaufani Horzesa, wreszcie kilku dostojników wojskowych i dworskich. Majkin w dalszych poszukiwaniach poddał badaniu miedzy innymi posąg jakiegoś bóstwa. Oglądana ze wszystkich stron figura, przez nieuwagę szperacza, spadła na kamienną posadzkę i stłukła się. na ka wakłi. Nieostrożność bajecznie się opłaciła, gdyż w posągu ukryty był niezmiernie cenny papirus

● ●

FILOCH0WSKI WACŁAW

(1889-1944)

Literat, publicysta

Urodził się 28 lutego 1889 r. w miejscowości Rutki (woj. łomżyńskie) z ojca Tomasza, sędziego Sądu Najwyższego i matki Anieli Wielońskiej. Uczęszczał do gimnazjum w Łomży, później (po strajku szkolnym) do Carskiego Sioła i Warszawy. W roku 1911, po zdaniu matury w Petersburgu, zapisał się na wydział fizyko-matematyczny Uniwersytetu w Nancy, którego nie ukończył, porzucając studia dla kariery literackiej (w tym czasie powstały m.in. dwa młodzieńcze dramaty: „Jesień" i „Majowe nabożeństwo" pisane pod wpływem twórczości St. Przybyszewskiego). W roku 1914 Filochowski wstępuje do legionu Gorczyńskiego, służy w korpusie generała Dowbór-Muśnickiego, jest oficerem w Biurze Prasowym Ministerstwa Spraw Wojskowych. W latach dwudziestych poświęca się całkowicie pracy dziennikarskiej. Jest długoletnim kierównikiem działu literackiego w „Gazecie Warszawskiej". Na łamach tego pisma oraz jego kontynuacji - „Warszawskiego Dziennika Narodowego" zamieszcza felietony, nowele, powieści, reportaże, sprawozdania z podróży a nawet wiersze i bajki sygnowane pseudonimami: Philo Phiionides, Gwiazdosław Pstry, Vacat itp. Przesadnie skromny i nie zapobiegliwy o doraźne sukcesy, niezbyt troszczy się o edycję swoich utworów. Wielokrotnie przerywa pracę w redakcji wyjeżdżając do Włoch, Jugosławii, Czechosłowacji,'Rumunii, Algieru, Palestyny, Brazylii, W czasie okupacji współpracuje z narodową prasą podziemną. Umiera 29 września 1944 r. wycieńczony niewolą i trwającą od lat chorobą. Jego całą spuściznę rękopiśmienną pochłania pożar Warszawy.
Debiutanckim zbiorem nowel Filochowskiego są „Chińskie cienie" opublikowane w roku 1921. Wkrótce potem ukazują się powieści osnute na przeżyciach wojennych (np. „Znak", 1922) oraz satyryczne romanse podróżnicze, m.in: „Pod gwiazdą szatana", 1923; „Przez kraj wód, duchów i zwierząt", 1926; „Ziemia dwakroć obiecana", 1937. Prawdziwą rzadkość bibliograficzną stanowi dramat „Szron czyli pochwała starości" zamieszczony w „Gazecie Warszawskiej" w roku 1937. Elementy konwencji fantastycznej pojawiają się w zbiorach nowel „Czarci młyn. Legenda nowej Warszawy" (1922, zawartość: Poszport zagraniczny, Wrony, Cymbał w glorii, Moloch i osioł, Bies wiosny, Psyche Łowiczanka, Czarci młyn); „Człowiek w ciemnych okularach", 1924 oraz w powieści „Amulet Ozyrysa" (1922, zawartość: Amulet Ozyrysa, Żelazny ptak). Autor „Chińskich cieni", jak zauważa St. Lam, „z upodobaniem sięga do wątków baśniowych, mitologicznych, okultystycznych, łącząc troskę o wyszukany koncept z dowcipną pointą, skłonność do stapiania opisów zdarzeń irrealnych z rzeczywistymi". Trzeba jednak podkreślić, że Filochowski posługuje się fantastyką przeważnie w funkcji pomocniczej, akcydentalnej. Niesamowitość sytuacji, tajemniczość scenerii orientalnej jest pretekstem do zagęszczania efektów grozy, uwypuklania wątków sensacyjnych, kryminalnych, przygodowych i awanturniczych, rzadziej - refleksji społecznej i obyczajowej, co daje się zauważyć w cytowanych fragmentach powieści „Amulet Ozyrysa".

BIBLIOGRAFIA WYBRANA

- St. Lam, Współcześni pisarze polscy, Warszawa 1922.

OZYRYSA

Wacław Filochowski

oraz drobne, złote, szczelnie zamknięte pudełeczko. Dokument, w połowie tylko czytelny, wyjaśniał, że skarabeusz należał ongiś do samego Ozyrysa, a w pudełku znajduje się Złoty Dym. Kto ma na lewym ramieniu kontur świętego Żuka wycięty nożem umaczanym w zawartości maleńkiej puszki i kto w rekach swych posiada skarabeusza Ozyrysa - będzie panował nad tymi, którzy mają na sobie ten znak tym samym sposobem wytatuowany. Sekretu stale strzegł żaden kapłan. Tylko on, jako wtajemniczony, władał amuletem, a przed śmiercią przekazywał skarabeusza i Złoty Dym swemu następcy, jednemu z tych, którzy, aczkolwiek nie wtajemniczeni, mieli wytatuowany święty znak. Dalej' papirus niemożliwy był do odcyfrowania, łatwo jednak Majkin mógł sformułować wnioski, wziąwszy pod uwagę opisaną na ścianach grobowca historie zagadkowej śmierci Horzesa. Pierwszy wniosek: o ile posiadacz skarabeusza umierał mając przy sobie amulet, śmierć zabierała wszystkich członków tajemnego zakonu skarabeusza. Drugi wniosek: widocznie faraon, jak również zmarli nagle dostojnicy musieli być znaczeni konturem świętego żuka.

Przez przypadkowy zgon Horzesa, ostatniego władcy sekretu, tajemnica wygasła, a kapłani, nie domyślając się nawet znaczenia, jakie miał skarabeusz, umieścili go zwyczajem współczesnym, jako zwykły amulet, w mumii arcykapłana, a w grobowcu postawili ulubiony posąg zmarłego z bezcennym papirusem. W owym maleńkim pudełeczku Majkin ujrzał coś w rodzaju niezmiernie gęstego dymu, jakieś ciało nieznane, nie dające przy dotknięciu żadnych wrażeń, ale w mroku wspaniale promieniujące złocistym blaskiem... Komisarz umilkł zamyślony.

Samochód spokojnie toczył się po śnieżnym szlaku. Wiszący na martwym niebie księżyc zdawał się być otworem, przez który z innych światów spływał na ziemie mistyczny blask wieczności.

- Nie wierze w cuda - stwierdził po chwili komisarz - ale przekonałem się, że umysł ludzki stanąć może wobec zagadek niesłychanie trudnych do rozwiązania. Zagadek tak zawikłanych i ciężkich, że może lepiej byłoby przezornie od nich uciec, gdyż mogą wtrącić człowieka w wir zabobonów, albo, co nie jest wykluczone, za furtę domu wariatów (...)

Komisarz w milczeniu ujął safianowe, płaskie pudełeczko i otworzył je. Na ciemno-szkarłatnym, prawie czarnym pluszu zamigotało wątłe światełko.

- Niech pan zobaczy. Taki mały kawałeczek złota, a ile tu cierpień, tajemnic oszałamiających, ile krwi, ambicji, wojen, klęsk, zbrodni - całych stuleci. I obaj nachylili się nad pudełkiem, w którym od lekkich wstrząsów samochodu drżał mały amulet. Księżyc też mu się ciekawie przyglądał. Może samotny pątnik nocy naszego globu poznał go i ze spotkania się ucieszył? Zapewne widywał tego skarabeusza w innych stronach, nad nieśmiertelnym Nilem, wtedy, gdy i on, Księżyc i Nil i świat, a przede wszystkim człowiek - byli młodsi. Ten mały, milczący i choć martwy, lecz wspaniale wymowny żuk miał w sobie chyba urok tajemnicy i moc zaklęcia, gdyż trudno było odeń oczy oderwać.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Amulet Ozyrysa, druk. T. Jankowski, Warszawa 1922, wybór ze stron 50-60.



SIEDZĄC NA GRZĘDZIE

Głównym i właściwie jedynym tematem twórczości Adama Wiśniewskiego-Snerga jest status ontologiczny świata i człowieka, czyli, inaczej mówiąc, pytanie o to, na ile realna jest doświadczana przez nas rzeczywistość, w jakim stopniu można zaufać swoim zmysłom, co z tego, co widzimy i czujemy istnieje faktycznie, a co jest tylko złudzeniem zmysłów. Łączy się z tym bezpośrednio sprawa sił organizujących ludzki świat, kogoś lub czegoś, co stoi ponad poznawczymi możliwościami człowieka i stwarza jego świat, dostarcza mu wrażeń, jakie docierają do jego zmysłów. Zastanawiając się nad tą sprawą nie szuka Wiśniewski-Snerg ratunku w wierze w zjawiska nadprzyrodzone.

W spójnym wewnętrznie świecie jego powieści sformułowana zostaje teoria istnienia Nadistot. Teoria tłumacząca się w kategoriach myślenia zdroworozsądkowego i zawierająca coś z naszych wspólnych, ukrytych lęków i obaw. Otóż Wiśniewski-Snerg zakłada, że skoro istnieje cała hierarchia ewolucyjna, drabina na której ustawione są organizmy coraz bardziej skomplikowane i coraz doskonalsze we wszystkich swoich funkcjach, to wcale nie musi się ona kończyć na człowieku. Człowiek nie musi być najdoskonalszym wytworem natury, ukoronowaniem całego jej rozwoju, jak to sobie w swoim zadufaniu wyobraża, ale tylko jednym z ogniw ewolucji, jednym z jej pięter, powyżej którego znajdują się inne, doskonalsze od niego gatunki. Jak doskonalszej w jaki sposób go przewyższające? Tego z punktu widzenia człowieka określić się nie da i WiśniewskiSnerg przezornie przyjmuje ten ludzki punkt widzenia za obowiązujący. Nie stara się poza niego wychodzić, bo byłby wtedy zobowiązany do sprecyzowania teorii istnienia Nadistot, a to z oczywistych względów nie jest możliwe i nawet w powieściach, zaliczanych do gatunku science fiction, mającego wielkie doświadczenie i tradycję objaśniania nieistniejącego, brzmiałoby trywialnie. Teoria Snerga dopóty ma sens, dopóki otoczona jest mgłą niedopowiedzeń, dopóki stwarza możliwość dla wyobraźni.

Potrafimy się pogodzić z myślą, że istnieją istoty doskonalsze od człowieka, i że - co podpowiada w tej sytuacji zdrowy rozsądek - nad nimi stoją Nad-Nadistoty i tak pewnie w nieskończoność. Trudno sobie natomiast wyobrazić rozmiary tych Nadistot czy ich materialny kształt, jako że równie dobrze mogą one być - na jakimś piętrze ewolucji - istotami niematerialnymi, czystą duchowością, umysłem wyzwolonym czy czymś w tym rodzaju. Krótko mówiąc: jest to myśl, z którą możemy się pogodzić, ale która budzi niejasny strach. Pojawia się bowiem od razu problem kontaktu ludzi z Nadistotami. W żadnym razie nie może to być kontakt partnerski, bo też trudno sobie wyobrazić partnerski kontakt człowieka z jakimś zwierzęciem czy rybą.

Może być jakaś forma zainteresowania, czerpania korzyści przez istotę bardziej rozwiniętą z przewag nad istotą mniej rozwiniętą, ale nigdy nie dochodzi do wzajemnego zrozumienia. Nie dochodzi nawet do tego, że istota stojąca niżej na ewolucyjnej drabinie uświadamia sobie w pełni istnienie istoty wyżej od siebie rozwiniętej, całej specyfiki jej bytu, wszystkich jej właściwości.

W debiutanckiej powieści Adama Wiśniewskiego-Snerga zatytułowanej „Robot” (1973), która zresztą uznana została za najlepszą powieść SF w XXX-lecie PRL, przywołuje autor przykład kury i człowieka. Otóż kura wydziobując ziarno nie jest w najmniejszym stopniu świadoma tego, że obok niej siedzi przy stole człowiek i je jajko, że człowiek - istota stojąca wyżej od niej w hierarchii gatunków - bezlitośnie ją wykorzystuje (jajko to przecież możliwość zaistnienia potomstwa kury) i sam przy tym nie obdarza kury najmniejszą refleksją. Oba stworzenia przynależą do rozdzielnych sfer bytu i jedyne spotkanie następuje w tym momencie, gdy istota wyższa spostrzega, że coś,- co „produkuje” istota niższa, może być jej potrzebne. Na tej samej zasadzie odbywać się mogą kontakty człowieka z Nadistotami. Tylko że w tym układzie człowiekowi przypada do odegrania rola kury. Może więc tuż koło nas żyją Nadistoty, a my nie mamy nawet świadomości ich istnienia, może wykorzystują jakiś nasz wytwór, np. bioprądy, energię intelektualną czy coś, czego nawet sobie nie możemy wyobrazić i bezlitośnie obchodzą się z nami, a ich działania uznawane są przez nas naturalnie. Nie potrafimy nawet personifikować Nadistot, a one również nie zdają sobie sprawy z tego, że mamy jakąś świadomość, mniej doskonałą oczywiście od ich świadomości, ale jednak coś odczuwamy, cierpimy, że mamy swój świat zewnętrzny i wewnętrzny. (Może kury też go mają, tuż obok nas?). Prawdopodobna jest również sytuacja, że tak jak człowiek organizuje kurnik, by mieć swoje kury pod kontrolą i stworzyć im.optymalne warunki istnienia, tak również Nadistoty stwarzają jakiś - powiedzmy - „człowiecznik” po to, by hodować w nim ludzi i osiągnąć te korzyści, które im są niezbędne. Może np. cała kula ziemska jest takim gigantycznym (z naszego punktu widzenia) „człowiecznikiem”, terenem hodowli człowieka, czy też stacją doświadczalną, w której bada się zachowanie przedstawicieli gatunku homo sapiens.

W powieści „Robot” całe ludzkie miasto zostaje oderwane od ziemskiego podłoża i przykryte gigantyczną kopułą, szybując w przestrzeni kosmicznej. Niektórzy jego mieszkańcy dochodzą do wniosku, że ich miasto jest próbką doświadczalną pobraną przez kogoś niewiadomego dla sobie tylko znanych celów, że ludzie są rodzajem królików, na których dokonuje się jakichś eksperymentów. Może eksperymentem jest rozbudzenie nieprawdopodobnych potrzeb konsumpcyjnych, może dla eksperymentu powstało „miasto posągów”, gdzie obowiązują inne prawa fizyczne niż te, do których człowiek się przyzwyczaił? W tej wydanej po raz trzeci powieści nic nie zostaje dopowiedziane do końca. I słusznie. Z innej strony podchodzi do problemu Wiśniewski-Snerg w swojej drugiej historii, wydanej po raz pierwszy w 1978 roku i noszącej tytuł „Według łotra”. W „Robocie”
starał się wyłożyć wykoncypowaną przez siebie teorię istnienia Nadistot, w drugiej książce nie pojawia się ona, a służy jedynie jako myślowe zaplecze dla założeń przedstawionego świata. W trzeciej, najmniej „fantastycznej” - „Nagi cel” (1980), już nawet to nie jest mu potrzebne. „Według łotra” jest daleką stylizacją opowieści o Chrystusie, choć można założyć, że ten sam problem mógłby pisarz opisać przy pomocy najzupełniej innej fabuły. Świat przedstawiony to wielki plan filmowy, który - jeśli można użyć tego słowa - zaludniają manekiny o różnym stopniu doskonałości wykonania, zależnie od tego, jaką rolę mają odegrać w filmie kręconym nie wiadomo przez kogo i nie wiadomo przy pomocy jakich urządzeń (że to film, domyślamy się z używanej terminologii). Świat jest wielką dekoracją, której tandetność dostrzega ktoś znajdujący się na wyższym stopniu rozwoju czy też dysponujący „lepszą” świadomością, jak bohater powieści, który stając się odtwórcą pierwszoplanowej roli filmowej otrzymał doskonalsze zmysły i spostrzegł, w jak okropnym, udawanym świecie dotąd żył.

W finale powieści, gdy jego rola się skończyła, zepchnięty zostaje na powrót do szeregu mniej doskonałych manekinów i traci możliwość przenikliwego postrzegania, więc świat wydaje mu się znów normalny. Jest w tym ukryta dość banalna myśl: w miarę osobniczego rozwoju sięgamy wzrokiem coraz głębiej w nasz świat i spostrzegamy coraz więcej z tego, jak został on urządzony. Ale nie o to chodzi.

By nadać temu światu pozory celowości, założyć musimy istnienie Nadistot. Któż bowiem mógłby zorganizować ów wielki plan-filmowy-miasto i po co? Dla Nadistot jest to zapewne kolejny eksperyment, może więc i nasze zmysły, te, którymi dysponujemy, są tak, „obmyślone”, że wystarczają tylko do postrzegania naszego świata w zaplanowanym przez kogoś (?) kształcie? Może, gdybyśmy zdobyli na moment zmysły doskonalsze, spostrzeglibyśmy, że łąka jest dziurawa, a Słońce wisi na sznurku?

Może nie trzeba nawet Nadistot do tego, by oszukać nasze możliwości poznawcze? Może człowiek rozwinie tak swoje umiejętności, że będzie mógł tworzyć sztuczne światy o pozorach realności, jak to ma miejsce w rzeczywistości „Nagiego celu”? Przecież już teraz jest film, telewizja, kwadrofonia, są środki halucynogenne i tym podobne sposoby oszukiwania ludzkich zmysłów, tworzenie namiastek, światów pozornych. Może więc jednak nasz świat, jako całość, jest pozorem? Jeśli zaś nie, to sami zmierzamy konsekwentnie do ufikcyjnienia naszego życia, do samooszukiwania się i wprowadzamy się coraz głębiej w nierealność. I o tym właśnie pisze Adam Wiśniewski-Snerg...

Leszek Bugajski

Adam Wiśniewski-Snerg:

- „Robot”, wyd. III. Wydawnictwo Literackie, Kraków-1983.
- „Według łotra”, wyd. II. W.L., Kraków 1983.
- „Nagi cel”, Czytelnik, Warszawa 1983, wyd. II.

SZALEŃSTWO TKWI W NAS

„«Tytus Groan» jest utworem na tyle niezwykłym, że „niełatwo zaklasyfikować go do jakiegoś gatunku” - stwierdza Jadwiga Piątkowska w posłowiu do powieści Mervyna Peake'a. Ale też niezwykłą postacią jest sam autor „Tytusa Groana”. Urodził się w 1911 r., w Chinach (jego ojciec był lekarzem na placówce misyjnej). Po powrocie do Anglii zapisał się na studia malarskie, był nauczycielem rysunku, grafikiem, ilustratorem książek (m.in. „Alicji w krainie czarów” - L. Carrolla). Przedstawiciel cyganerii artystycznej, ceniony przez krytyków i lekceważony przez czytelników, niezaradny życiowo, nieustannie borykał się z kłopotami finansowymi. Zadebiutował w roku 1941 zbiorem wierszy „Shapes and Sounds”, ale dopiero kilkanaście lat później doczekał się pierwszych wyróżnień państwowych - m.in. nagrody fundacji Heinemanna przyznanej przez Królewskie Towarzystwo Literackie za trylogię „Tytus Groan”, „Gormenghast”, „Tytus sam”. Pierwsza część trylogii powstawała w czasie drugiej wojny światowej, w okresie narastającego kryzysu nerwowego, który był jednym z powodów długotrwałej choroby i przedwczesnej śmierci autora. Tematem powieści są losy hrabiego Tytusa, siedemdziesiątego siódmego właściciela zamku Gormenghast, a dokładniej - historia jego dzieciństwa ukazana na tle surowych norm i reguł obyczajowych rządzących zamkniętym, światem angielskiej arystokracji. Już sama nazwa i wygląd dziedzicznej posiadłości Groana kojarzy się z rekwizytami powieści gotyckiej. Ponure, średniowieczne zamczysko Gormenghast, wspaniale zrekonstruowane w malarskiej wyobraźni Peake'a, mogłoby z powodzeniem udzielić gościny duchom, zjawom i mocom nadprzyrodzonym. A jednak klasyczne reguły „horroru” zostają jak gdyby zawieszone. Akcja utworu nie ociera się nawet o zjawiska irrealne, jej motorem są namiętności ludzkie stwarzające pełne grozy sytuacje, w których działania bohaterów rozsadzają spaczone ramy etykiety dworskiej. Jest zatem „Tytus Groan” powieścią gotycką na przekór temu, co się powszechnie o niej sądzi - wywodzi się z XVI II-wiecznych romansów Anny Radcliffle (m.in. „Tajemnic zamku Udolpho” (1794), gdzie niesamowite efekty strachu zostają wyjaśnione za pomocą przyczyn naturalnych. Co istotniejsze, wspomniany sposób motywacji zdarzeń odsłania właśnie alegoryczną wymowę literatury grozy. Nie jest przecież tajemnicą, że historie Williama Ainswortha, Bulwera-Lyttona- nawiązujące do utworów Walpole'a, Lewisa i Radcliffle'a - odgrywały tę samą rolę w dziedzinie prozy powieściowej jaką spełniała poezja romantyczna w literaturze wieku XIX: ukazywały niezgodę pomiędzy jednostkowym przeżyciem bohaterów, a rzeczywistością, która ich otaczała. Podejmując analizę naszej psychiki (jak w przypadku hoffmanicznego motywu człowieka rozdwojonego) powieści te stwierdzały, iż pojęcie szatana nie ma nic wspólnego z ingerencją mocy nadprzyrodzonych, że to my sami jesteśmy siedliskiem występku, nieustającym konfliktem dobra i zła rodzącym się wciąż na nowo w naszej podświadomości. Jeśli w ten właśnie sposób spojrzymy na historię najnowszej prozy gotyckiej, spoza fantastycznego kostiumu duchów, zjaw, widm wstających zza grobu, chęci straszenia i perwersyjnego zabawiania czytelnika wyłoni się całkiem realna, zatrważająca prawda o nas samych i otaczającym świecie. Czy będzie to odczytanie nieuprawnione, sprzeniewierzające się klasycznym założeniom gatunku? Wystarczy zestawić przełomowe fazy rozwoju prozy gotyckiej z ogólnospołecznymi. przemianami kulturowymi, aby zrozumieć, że nie była ona wyłącznie czystą rozrywką formalną, „grą ze strachem”, oddziaływaniem na emocje czytelnika.

Powstaje pytanie, czy w tej krótkiej recenzji nie należałoby raczej odwołać się do streszczenia utworu Peake'a, pozostawiając na uboczu rozważania o charakterze teoretycznym? To „teoretyzowanie” nie jest jednak bynajmniej ucieczką od tematu. „Z kręgu młodego pokolenia romantyków angielskich” - przypomina W. Ostrowski „wyszła jeszcze jedna odmiana powieści gotyckiej, „Frankenstein” - Mary Shelley, utwór poruszający problem narodzin zła w człowieku, będący zapowiedzią literatury fantastyczno-naukowej”. Warto przypomnieć, iż istnieją wcale poważne opracowania science fiction (jak chociażby „Billion Year Spree” (1975) - B. Aldissa) wywodzące początki gatunku z romantycznego dziedzictwa prozy gotyckiej! Zastanówmy się jak wiele łączy ze sobą powieść gotycką i fantastyczno-naukową mimo odmiennej motywacji zdarzeń - ileż wspólnych rozwiązań tematycznych, mechanizmów ułatwiających dotarcie do wewnętrznych założeń świata przedstawionego...

Czy zatem nie jest tak, że „teoretyzując” na temat „Tytusa Groana” poznajemy gatunek, o którym wcale nie zamierzaliśmy pisać?

Andrzej Niewiadowski

M. Peake, Tytus Groan, przekład i posłowie Jadwiga Piątkowska, Wyd. Literackie, Kraków 1982, cena zł. 190.-

● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

LUZ BLUES

Istnieje typ prozy fantastycznej jakby stworzonej dla ludzi, którzy nie lubią fantastyki. „Kosmiczny kalejdoskop”, zbiór opowiadań jednego z czołowych przedstawicieli angielskiej SF, zbudowany jest po części z tekstów tej kategorii. Mam nadzieję, że zabrzmiało to jak pochwała i żaden zaciekły fan nie rzuci się na mnie z pięściami za deprecjację autora i gatunku. Najlepsze świadectwo urodzie kobiet wystawia nie kochający mąż, lecz przechodzień przystający na cnodniku z oczami w słup. Fantastyka wcześniej czy później zweryfikuje się podobnie - to nie fan, lecz zewnętrzny świat literacki zadecydują o jej wartości.

Pomyślmy przez chwilę, czego ów zewnętrzny świat może nie cierpieć w gatunku, który sąsiadom z kolumny i mnie przyszło wielbić instytucjonalnie? Częściowych wyjaśnień w tej kwestii udziela red. Przybyłowska w Paradzie Wydawców w tym numerze. Jej argumenty, nawet jeśli niesłuszne bo częściowo nieaktualne, należy przyjąć z uwagą jako wyraz poglądów dość jeszcze rozpowszechnionych. Mamy więc pierwsze zarzuty fantastyka schematyzuje człowieka, narracja tej prozy jest przeładowana techniką, a wizje przyszłości przyrządzane są niekompetentnie. Czy to już koniec pretensji? - Niestety nie. Z własnych czytelniczych doświadczeń dopiszę tu jeszcze: kostyczność, nieznośny dydaktyzm fabuł SF: bazowanie wielu utworów na stałych elementach fantastycznej gry, jak paradoksy czasoprzestrzenne, dylematy rakietowo-kosmiczne i wtórność tego wszystkiego wobec tzw. pomysłów koczujących oraz szczytowych osiągnięć gatunku... Tak się szczęśliwie składa że wymienione zarzuty dotyczą tomika Shawa w małym stopniu. Opowiadania pomieszczone w „Kosmicznym kalejdoskopie” to przykład błyskotliwej literatury rozrywkowej. Autor pisząc je bawił się pewnie równie dobrze jak czytelnik, a stało się tak między innymi dlatego że przynależność gatunkowa tekstów zaznacza się nienachalnie. Shaw lekceważy jakby tych, którzy dobrze wiedzą, co powinno się znaleźć w tomiku SF i pisze trochę na przekór gettowemu opakowaniu. I tak np. „Frywolna Mona Liza” mogłaby swobodnie ukazać się w piśmie nie branżowo-fantastycznym, lecz zajmującym się popularyzacją sztuki (kina lub powiedzmy... turystyki). Jest to po prostu dowcipna hipotez! na temat jeszcze jednego wynalazku Leonarda- preaparatu filmowego mianowicie. „Detlacja 2001” mogłaby zdobić „różowe kartki” ekonomicznego dodatku „Polityki”; to przypadek, że ukazała się parę miesięcy temu właśnie u nas. „Członek rzeczywisty”, znakomita metafora i paszkwil na mentalność konsumpcyjno-ekskluzywną byłby okrasą numeru dawnych, dobrych, Teoplitzowskich „Szpilek”. „Porywacze ciał” pasują zarówno do „Szpilek”, do „Magazynu Rodzinnego” jak i do „Przekroju” - tzn. do pism zamieszczających teksty satyryczne, rodzinne i kryminalne.

Sześć pozostałych opowiadań to teksty mniej uniwersalne, demonstrujące więź z typową fantastyką w sposób ścisły. Kobieta z innego świata w scenerii westernu, treningowy obóz alpinistyczny istot z innego wymiaru na stokach Himalajów, człowiek w symbiozie z rośliną na pokładzie statku kosmicznego, dziwne istoty stwarzające materię u zarania dziejów, powietrzne walki policjanta z przestępcami, potwór wychodzący z rzeki... Typowe, prawda? - a jednak w wyniku autorskiego luzu, nonszalancji i błyskotliwości czytelnik otrzymuje bodaj więcej niż oczekiwał. Autor czyniąc nieuchwytne psikusy kanonom sprawia, że nie spożywamy po raz któryś z rzędu tej samej potrawy, lecz uczestniczymy w eleganckiej grze intelektualnej, w całym tego słowa znaczeniu, angielskiej, czyli - dystyngowanej. Idzie mi tu zresztą nie tylko o elegancję formalną i o luz wobec kanonów SF, lecz także o luz tematyczny.

Nurzając się od roku z górą w obowiązkowej lekturze polskich opowiadań SF stwierdzam ze smutkiem, że owego luzu, swobody i wyobraźni brakuje więcej niż połowie naszych piszących. Shaw wytwarza teksty mniej poważne, konfekcyjne, rozrywkowe; zapewne, jak powiedziałem, szuka sobie tematów trochę na siłę. Nasi prozaicy, gdy na nich patrzę, sprawiają wrażenie, że temat dopada ich, chwyta za gardło i sam wpycha pióro do ręki.

Wychodzi z tego po jednej stronie proza znakomita warsztatowo, przyjemna, pomysłowa, pewnie.- średniokaloryczna. Po drugiej - kostropata, nieforemna, męcząca i przeładowana znaczeniami. No cóż, kłopoty to nasza specjalność.

Maciej Parowski

Bob Shaw „Kosmiczny kalejdoskop” (tłumaczyła Zofia Uhrynowska-Hanasz) Iskry, Warszawa 1983. Cena 80 zł

STRONICE PREHISTORII

Anatolij Britikow

W Rosji, podobnie jak na Zachodzie, fantastyka naukowa w swej pierwotnej postaci istniała „synkretycznie" z utopią społeczną. Charakterystyczną w tym względzie jest utopijna powieść W.F. Odojewskiego „4338 god. Pieiiersburgskije pisma" - najprawdopodobniej pierwszy w Rosji utwór literacki, który z perspektywy naukowo-społecznej próbuje spojrzeć w przyszłość. Odojewskiego można uznać nie tylko^za prekursora rosyjskiej fantastyki naukowej. „Pietiersburgskije pisma" ukazały się w 1840 roku, 22 lata przed pierwszą powieścią Verne'a i tyle samo lat po „Frankensteinie albo Współczesnym Prometeuszu" Mary Shelley, uważanym przez wielu krytyków za pierwsze współczesne utwory fantastyczno-naukowe. „Pietiersburgskije pisma" są utopią naukowo-techniczną napisaną w popularnej na początku XIX wieku, formie powieści epistolarnej. Wyimaginowany autor notatek został przeniesiony w przyszłość podczas snu w czasie którego zmienił się w chińskiego studenta podróżującego po Rosji 44 wieku. Charakterystyczne dla Odojewskiego, poważne, wnikliwe podejście do przeszłości, antycypowało , popularyzatorsko-oświatowe ukierunkowanie ducha fantastyki vernowskiej. Uczeni w Rosji są sercem i duszą społeczeństwa. Sterowane statki powietrzne, pospieszne transeuroazjatyckie pociągi elektryczne, odzież z włókien sztucznych - wiele spośród przewidywań Odojewskiego zbiegło się z tym, co przepowiadał Verne Wizje społeczne autora „Pietiersburgskich Pisiem" są bardziej konserwatywne. Rosia 44 wieku rządzona jest przez cara. Zachowane zostały nierówności majątkowe i klasowe. Co prawda, monarchia została przedstawiona z pewną dozą ironii; trudno na przykład inaczej rozumieć aluzję, że krajem rządzi „pierwszy poeta". Być może, ze względów cenzuralnych autor nie mógł inaczej sformułować swych marzeń o światłych reformach. Połączenie utopi|no-oświeceniowych idei z ironicznymi aluzjami do współczesności można dostrzec w wymyślonych przez Odojewskiego dziwnych stanowiskach. Istnieją ministrowie historii, filozofii, a premier nosi miano ministra pojednania... Akcenty satyryczne widoczne są również w pewnych szczegółach życia codziennego. Na przykład - w Rosji 44 wieku do obiadu tonu należy przedpołudnia poświęcać pracy, a nie życiu towarzyskiemu. W domach, w których przestrzega się tych zasad, nie przyjmuje się gości przed godziną 12, co jednak nie znaczy, jak zauważa autor, że gospodarze pracują. Wszystkie, nieliczne XIX-wieczne próbki literatury fantastyczno-naukowej charakteryzuje ich obywatelsko-oświeceniowe ukierunkowanie. Można jednak wyraźnie dostrzec różnice ideowe. W fantastycznych rozdziałach powieści Czernyszewskiego „Co robić?" (1863) dochodzą do głosu socjalistyczne ideały rosyjskiej rewolucyjneJ demokracji, cel rewolucji, do której powieść wzywa. U Odojewskiego gwałtowny rozwój nauki i techniki nie ma w zasadzie wpływu na doskonalenie się form społecznych. U Czernyszewskiego, po raz pierwszy w literaturze rosyjskiej, marzenia naukowo-techniczne zostają powiązane z socjalistycznym kształtem wyobrażanej przyszłości.



Fantastyka naukowa w swej współczesnej postaci zaczęła wyodrębniać się z synkretycznego powieściopisarstwa o utopijno-publicystycznym charakterze w końcu XIX i na początku XX wieku, w czasach gwałtownego rozwoju przemysłu i nauki. Najróżniejsze magazyny, łącznie z technicznymi o bardzo specjalistycznym charakterze, publikowały chętnie rodzime i zagraniczne powieści bądź opowiadania fantastyczno-naukowe. W 1895 czasopismo „Elektriczestwo" wydrukowało „elektryczną" utopię W. Czikolewa „Nie byl'no i nie wydumka". W Niżnim Nowgorodzie P. Infantiew wydał powieść fantastyczną „Na drugoj płanietie" (1901). W 1902 r. A. Rodnych w nieukończonej powieści „Samokatnaja podziomnaja żeleznaia doroga mieżdu S. Pietiersburgom i Moskwoj" wysunął oryginalną koncepcję transportu bezsilnikowego, w którym wykorzystano siłę przyciągania ziemskiego. W noweli „W stranie połunoczi" (1910) M. Wołchow (M. Pierwucliin) opisał podróż samochodem po Arktyce. W 1913 ukazała się „astronomiczna" powieść B. Krasnogorskiego „Po wołnam efira", a w 1914 jej ciąg dalszy „Ostrowa efirnowo okieana" (napisany wspólnie z D. Swiatskim). Na te same lata przypada publikacja utopijno-fantastycznych utworów I. Oligera („Prazdnik Wiesny", 1910), A. Kuprina (Żidkoje-sołnce", 1912), A. Bogdanowa („Krasnaja zwiozda, 1908), „Inżienier Menni", 1913). Więzień twierdzy Szlisselburg, N. Morozów, uczony i rewolucjonista, jako jeden z pierwszych w Rosji utorował drogę fantastyce kosmicznej w książce „Na granice niewiedomowo". Naucznyje połufantazji" (1910), Jego„Zwiezdnyje pieśni" i artykuł teoretyczny „Poezja w naukie i nauka w poezji" (1912) były powiązane ściśle z poezją naukową i eksperymentami w prozie fantastycznej W. Briusowa. Prekursorem problematyki podróży kosmicznych stał się w Rosji K. Ciołkowski. Jego aforyzm: „Ziemia jest kolebką ludzkości, ale nie sposób wiecznie żyć w kolebce" został dewizą ery kosmicznej. Nawet w chwili obecnej fantastycznonaukowa twórczość Ciołkowskiego (albo twórcza fantazja naukowa - trudno to rozróżnić) jest dla pisarzy-fantastów prawdziwą skarbnicą tematów, hipotez, problemów. Pod jego wpływem, bądź przy jego pomocy, napisane zostały powieści i nowele podejmujące zagadnienie lotów międzyplanetarnych :„Putieszestwije na ł_unu" (1926) t. Grawe „Planeta KIM"
(1930) A. Paleja, „Pryżok w niczto" (1933) A. Bielajewa, opowiadanie S. Grigoriewa „Za mietieorom" (1932). Ciołkowski konsultował również film W. Żurawlowa „Kosmiczeskij riejs". Bardzo trudno jest zresztą odseparować fantastyczno-naukowe utwory Ciołkowskiego od jego prac naukowych. Wciesna monografia naukowa „Swobodnoje prostranstwo" (napisana w 1883, wydana w 1954) swą formą wykładu przypomina raczej utwór fantastyczno-naukowy. W 1893 roku czasopismo „Wokrug swieta" wydrukowało pierwszą nowelę „reportaż" Ciołkowskiego" „Na Lunie". Później powstały, utrzymane w tym samym stylu: „Izmienienije otnositielnoj siły tiaiesti na Ziemlie" (1894) i „Griezy o Ziemlie i niebie" (nowela ta napisana w 1895 r, była przedrukowywana w Związku Radzieckim pod tytułem „Tiażest izczezła"). W 1896 Ciołkowski rozpoczął prace nad publikowaną we fragmentach (lata 1903, 1916, 1920 - w czasopismach i jako druk zwarty) nowelą „Wnie Ziemli". W najpełniejszym zbiorze utworów fantastyczno-naukowych Ciołkowskiego - „Puf k zwiozdam" (1960) zamieszczono jeszcze kilka innych nowel i opowiadań. W Rosji „powieść w zupełnie nowym stylu" kształtowała się Jako poetycki „satelita" nauki, a jednocześnie Jako nowy nurt literacki o wyraźnie społecznych tendencjach. Jednakże ów społeczny i naukowy charakter nie zawsze szły w parze. Na początku naszego stulecia powstało wiele utopii o wyraźnym ukierunkowaniu technicystycznym. Prawie wcale nie było natomiast powieści, które łączyłyby prognostyki naukowo-techniczne ze społecznymi.

A. Kuprin w „Żidkom sołnce" (1912) jako jeden z pierwszych podjął próbę dokonania takiej syntezy ideowo-gatunkowej. W jego utworze zrelacjonowana została historia próby uszczęśliwienia ludzkości. Bohater powieści zgęszcza energię słoneczną, by przechować na Ziemi światło i ciepło na te czasy, w których Słońce zacznie stygnąć. Ludzkość rozczarowuje jednak bezinteresownego altruistę-autora wynalazku, porzuca on swoje laboratorium. Mechanizm jednego zbiornika z „płynnym słońcem" przez pomyłkę zapomniano wyłączyć. Potworny wybuch dokonuje ogromnych zniszczeń i zabija uczonego. Straszliwe działanie energii słonecznej do złudzenia przypomina skutki wybuchu jądrowego. Kuprin jako jeden z pierwszych w rosyjskiej literaturze podjął problem wpływu wielkich odkryć naukowych na losy ludzkości, odpowiedzialności uczonego, który jest w stanie rozpętać niewiarygodne siły... „Żidkoje sołnce" jest najbardziej dojrzałym fantastycznym utworem Kuprina. W opowiadaniu „Tost" (1907) materiał naukowy sprowadza się właściwie do dwóch, trzech motywów, wyrwanych na chybił-trafił z popularnych, błędnych koncepcji fizykalnych (przekształcenie kuli ziemskiej w gigantyczną dynamomaszynę). Z tych samych przesłanek wywodzą się również wyobrażenia Kuprina o komuniźnie, jako o, „anarchistycznym związku wolnych ludzi". Doskonali pod względem fizycznym, piękni ludzie nudzą się w kuprinowskim komunizmie i zazdroszczą minionym pokoleniom prowadzonych przez nie zażartych walk,

W „Korolewskim parkie" (1911) ta niepewność jutra przekształca się w wyraźny pesymizm. Obydwa utwory są odbiciem niewiary demokratycznego skrzydła rosyjskiej inteligencji w twórczą siłę rewolucji. Reakcja po wydarzeniach lat 19051907 wyraźnie osła-

biła i tak dość mgliste ideały liberalne, Autorka mistycznych historii - W. Kryżanowska uzasadnia swą nienawiść do „buntu czerni" argumentami przypominającymi te, które spotykamy w utworze Kuprina. W powieści „Smiert' płaniety" tłum porażony jakimś bakcylem zniszczenia zrzuca w przepaść dorobek tysiącletniej cywilizacji. Szczątki ginącej kultury ratuje arystokratyczna kasta magów. Na statkach kosmicznych wypełnionych dziełami sztuki, maszynami i'zwierzętami odlatują na inną planetę opuszczając Ziemię ginącą pod wpływem jakichś tejemniczych sił.&
Jedną z pozycji literatury fantastycznej, która wyjątkowo wyraźnie odzwierciedla miotanie się rosyjskiej, liberalnej inteligencji między wiarą i nadzieją, upadkiem ducha i pesymizmem był zbiór fantastycznej prozy W Briusowa „Ziemnaja os' „ (1907). Briusow precyzyjnie przewidział przyszłość rosyjskiej fantastyki, był jej pierwszym teoretykiem. Jego droga pisarza-fantasty miała złożony charakter. Bnusow, tchnący optymizmem w swojej poezji fantastycznej, w prozie głosił ponure (choć niekiedy wizjonerskie) proroctwa. A jednak, w swych czołowych utworach uciekał się do groteski. Opowiadanie „Posliednlje muczeniki" (1906) napisał w formie notatek naocznego świadka „wielkiego historycznego ruchu nazywanego przez jego zwolenników „Rewolucją Światową", hiperbolizując sprzeczności pomiędzy niszczycielskimi i twórczymi pierwiastkami nadciągającego przewrotu.
Centralnymi utworami zbiorku są: udramtyzowana powieść „Ziemlia" (1904) i opowiadanie „Riespublika Jużnowo Kriesta" (1904-1905), obydwa związane z ulubionym tematem Briusowa - miastem przyszłości. Miasto jest dlań symbolem nadziei, a jednocześnie- przestrogą dla ludzkości. Przestroga i nadzieja - to dwa przeciwległe bieguny, między którymi wahają się przepowiednie Briusowa.
W „Ziemlie" świat przyszłości przedstawiony jest jako labirynt pięter, sal, przejść, schodów i maszyn zamkniętych pod nieprzenikliwą kopułą. Ludzkość pozbawiona naturalnego światła i otoczenia wymiera w sztucznie stworzonym środowisku. Przepojeni entuzjazmem młodzieńcy marzą o dawno zapomnianym słońcu, porzuconej ziemi. Domagają się, by otworzono kopułę.wpuszczono światło i powietrze. Mędrzec Teotl wie, że miasto otacza próżnia i jeśli kopuła zostanie otwarta, ludzie uduszą się. Lecz jeszcze ważniejsze jest dlań przeprowadzenie dowodu konieczności zagłady. Dawniej człowiek pomagał twórczym działaniom przyrody, teraz natomiast, głosi Teotl, w imię prawa umierania, człowiek powinien stać się siewcą śmierci.
Ale życie zwycięża: maszyny idą w ruch, kopuła powoli unosi się. Klęczy tłum oczekując na pojawienie się Słońca. Spełnia się jednak przestroga starca - i wielka sala przemienia się w cmentarz.
Mimo wszystko ostateczną rację przyznaje autor tym, którzy rwą się ku Słońcu. Nieoczekiwany jest przedostatni fragment „Ziemli". Przy akompaniamencie okrzyków: - Biegnijcie na niższe piętra, zamknijcie wszystkie drzwi! To droga ratunku! pojawia się Młodzieniec: - Pomyliłeś się Teotlu! Nie jesteśmy ostatnimi ludźmi! Są jeszcze inne sale! Tam żyje prawdziwa ludzkość... My jesteśmy tylko nieszczęsnym tłumem, który zabłąkał się w ciemnych korytarzach... To nic, że zginiemy - ziemia żyję!
W „Ziemlie hiperbolizacji uległy zarówno pozytywhe jak i negatywne cechy ludzkości. W „Riespublice Jużnowo Kriesta" uwypukla wyłącznie wady. Nowe państwo na Antarktydzie powstaje z „trustu stalowni... Konstytucja republiki na pierwszy rzut oka zdaje się realizować ideały ludowładztwa... Jednakże te demokratyczne opakowanie przysłania jedynie autokratyczną dyktaturę członków-założycieli byłego trustu".&
Gdy w 1912 roku P. Sakulin napisał (w związku z powieścią Odojewskiego), że „pojawienie się utopii stanowi symptom nadciągającego kryzysu", mógłby powołać się na cały szereg współczesnych mu utworów. Rosyjska fantastyka tego okresu przeczuwała nadciągającą eksplozję społeczną, choć nie zawsze uzmysławiała sobie jej związek z rewolucją przemysłowo-techniczną.
W 1910 roku pojawiła się powieść-utopia N. Oligera „Prazdnik Wiesny". Oliger był drugorzędnym powieściopisarzem, na tyle jednak, na ile pozwalał mu jego talent, dowodził, że w wyśnionej przyszłości gwałt i święte prawo własności nie powrócą na swoje miejsca. Autor ze względów cenzuralnych nie używał słowa „rewolucja", czyniąc jednak wyraźne aluzje do przerażenia, jakie na samą myśl o niej ogarniało rosyjską inteligencję, przekonywał, że „życie wciąż niesie wśród szarej mgły swój płomienny sztandar", i że należy widzieć nie tylko „czerwony ptomień ostry jak miecz", ale i przyszłość, którą płomień ten oświeca. - Czyż nic tam nie ma? - pytał i odpowiadał od razu: Tam - marzenie. Tam jest to, czego jeszcze nie było".
Nawiasem mówiąc, powieść W. Ropszina (Sawinkowa), która pojawiła się trzy lata później nosiła właśnie taki podtytuł: „To, czego nie było". Jego sens był jednak zupełnie inny - stanowił aluzję sugerującą, że rewolucja 1905 roku była chimerą.
Problematyka związana z naukami przyrodniczymi oraz tematyką społeczno-utopijną w fantastyce rosyjskiej początku XX wieku zbiżają się do siebie, krzyżują, ale na ogół funkcjonują pararelnie: w różnych gatunkach i co ważniejsze - rozdzielone koncepcyjnie.
Synteza, która mogłaby spowodować powstanie typologicznie nowej odmiany gatunku, jak na razie przynosi owoce jedynie w sferze antyutopii fantazji - przestróg w rodzaju „Riespubliki Jużnowo Kriesta" Briusowa czy „Żidkowo sołnca" Kuprina.
Utopia pozytywna winna opierać się na zrozumieniu tego, iz dla komunizmu decydujące znaczenie mają siły wytwórcze oraz naukowe poznanie praw życia społecznego. Nic więc dziwnego, że utopia taka wychodzi dopiero spod pióra socjaldemokraty. Mowa tu o powieści „Krasnaja zwiozda" (1908) A. Bogdanowa-Malinowskiego. Na pierwszy rzut oka Bogdanów zbudował tu harmonijny system. W technice i przemyśle społeczeństwo opanowuje świat; w ekonomice, jednoczy się do walki z przyrodą; a w ideologii zespala swoje doświaaczenia ideologiczne. Wyzyskiwani przekształcają się w wykonawców, wyzyskiwacze - w oroanizatorów. Proletariat włącza się do procesu produkcyjnego jednocześnie jako organizator i wykonawca - to znaczy, jest w stanie uzyskać powszechnie zespalającą perspektywę działania i w ten sposób wprowadzić do społeczeństwa nieistniejącą do tej pory jedność. Wychodząc z tych założeń Bogdanów zastępuje realną walkę klasową idealistycznym kolektywizmem, koleżeńską współpracą. W „Krasnoj zwiozdie" znajdujemy jednak niemało ciekawych, fantastycznych pomysłów związanych z techniką i naukami przyrodniczymi (niektóre z nich zostały już zrealizowane): synteza białka, materiały syntetyczne, stosowanie klejenia zamiast szycia w trakcie procesu produkcji odzieży, antymateria, antygrawitacja itp. Profesor N. A. Rynin pisał, że Bogdanów „właściwie oceniając niską wydajność energetyczną istniejących materiałów wybuchowych..., stosuje w silniku rakietowym swojego statku kosmicznego rozpad atomów i w ten sposób, jako pierwszy (!) wysuwa ideę wykorzystania w energii wnętrza atomu do lotów międzyplanetarnych." Perspektywy nauki i techniki interesowały Bogdanowa nie przypadkowo. Autor „Krasnoj zwiozdy" jako pierwszy w rosyjskiej fantastyce .połączył utopię z naukowymi koncepcjami komunizmu i ideę rewolucji społecznej. W „Krasnoj zwiozdie" zostały naszkicowane kontury nowej powieści fantastyczno-naukowej, takiej, jaka za kilka lat wyjdzie spod pióra Aleksego Tołstoja.

Przełożył
Sławomir Kędzierski

Anatolij BRITIKOW

współczesny krytyk i teoretyk literatury science fiction, jest autorem pierwszej, rosyjskiej monografii tego gatunku „Russkij sowletskij nauczno-fantasticzesklj raman" (Izd „Nauka" 1970). W 1973 roku, na Międzynarodowym Spotkaniu Pisarzy Twórców Literatury Fantastyczno-Naukowej w Poznaniu, książka A. Britikowa została uhonorowana Nagrodą Specjalną za najwartościowszą rozprawę o literaturze science fiction. Z powyższej pracy, nie tłumaczonej dotychczas na język polski, wybraliśmy fragmenty rozdziału pierwszego („Stronice prehistorii") omawiającego genezę rosyjskiej utopii i fantastyki naukowej od „Pietiersburgsskich pisiem" (1840) - W. F. Odojewskiego, po twórczość A. Bogdanowa-Malinowskiego - powieści: „Krasnaja zwiozda" (1908), „Inżenier Menn" (1913).

A.N.



Ludzkość przeżyła cztery rewolucje w sposobie komunikowania się: mowę, pismo, druk oraz – obecnie - telekomunikacje. Każdej z nich odpowiadał odrębny, wynikający z cywilizacji, sposób życia. Mowa skupiła gromady zbieraczy i myśliwych, dzięki jej sygnałom mężczyźni i kobiety wspólnie działali, realizując wspólne cele. Pismo stanowiło podstawę pierwszych miejskich osiedli społeczeństwa rolniczego, umożliwiało mu rejestracje faktów i kodyfikowało przekazywanie



TECHNIKA KOMUNIKOWANIA SIĘ

Daniel Bell

wiedzy i umiejętności. Druk, - to osnowa społeczeństwa przemysłowego, klucz do powszechnej umiejętności czytania i pisania, fundament masowej oświaty. Telekomunikacja (od greckiego słowa tele, czyli ponad odległość), to jest łącza kablowe, radiotelefon, telefon, telewizja - i obecnie już nowsze techniki – są podstawą społeczeństwa informacyjnego.

Społeczeństwa ludzkie istnieją dzięki umiejętności celowej koordynacji działań swoich członków. Kluczem do tego jest informacja. Informacja zawiera wszystko, od doniesień o wydarzeniach do sygnałów cenowych z rynków. Sukces każdego przedsięwzięcia w znacznej mierze zależy od szybkiego przekazania dokładnych informacji. Dzisiaj, w 137 lat po stworzeniu pierwszego skutecznego urządzenia telekomunikacyjnego - telegrafu, znajdujemy się u progu nowego układu, który - ze względu na zespolenie wszystkich urządzeń telekomunikacyjnych i połączenie ich z komputerami - zasługuje na miano rewolucji, gdyż tworzy nowe możliwości komunikowania. Simon Nora i Alain Minc w znakomitym raporcie dla prezydenta Republiki Francuskiej dla określenia tego zjawiska posługują się słowem telematique, a mój kolega z Harvardu Anthony Oettinger - compunications.

Telematique albo compunications - to zespolenie telefonów, komputerów i telewizji w jeden zróżnicowany układ, pozwalający na przekazywanie danych i porozumiewanie się osób albo komputerów za pomocą kabli, przekaźników mikrofalowych lub satelitów. Komunikacja stała się szybsza, jest też zorganizowana w zupełnie inny sposób. Szczegółowe określenie tego sposobu wychodzi daleko poza ramy niniejszego artykułu, ale możliwe jest naszkicowanie niektórych nowych modeli i przedstawienie następstw, które za sobą pociągają.

Sieci przetwarzania danych: Rejestracja przekazów bankowych w końcówkach komputerowych umożliwia uzyskanie danych o zakupach w sieci sprzedaży detalicznej. Zamówienia na takie towary, jak samochody można przekazywać za pośrednictwem sieci komputerowej, która zamienia je w programy produkcyjno-czasowe dla fabryk, ułatwiając realizację zamówienia zgodnie z indywidualnymi życzeniami nabywcy. Ogólnie rzecz biorąc, byłoby to zastąpienie papierków wypełnianych w wielu egzemplarzach przez układ przekazywania elektronicznego.

Banki informacji i systemy wyszukiwania: Wywołując albo wyszukując informację za pośrednictwem układu komputerowego można uzyskać tekst jakiegoś przepisu, wzór chemiczny, dane ze spisem ludności, wyniki analizy rynku, etc.

Systemy teletekstów: W takich systemach jak angielski Prestel lub francuski Tic-tac i Antilope na ekranach domowych telewizorów można wyświetlić wiadomości dnia, informacje o pogodzie, notowania giełdowe, zawartość katalogów oraz standardowe informacje encyklopedyczne.

Systemy fascimilowe Służą do elektronicznego przekazywania dokumentów (rachunków, zamówień, korespondencji) zamiast przesyłania ich pocztą.

Sieci łączności komputerowej: Pozwalają zespołom prowadzącym badania, dyrekcjom przedsiębiorstw i agencjom rządowym na utrzymywanie łączności, interpretację nowych wyników badań, wydawanie poleceń lub uzyskiwanie informacji finansowych potrzebnych do dalszego działania.

Nie są to spekulacje ani literatura science-fiction, to techniki już wdrożone. Tempo ich wprowadzania i rozpowszechniania nie jest równomierne, zależy od kosztów, chwilowych tendencji oraz polityki rządów, które albo im sprzyjają albo zakazują ich wprowadzania.

Szybkość rozpowszechniania nowej techniki wiąże się z problemami finansowymi. Konieczność przejścia na nowe, niezależne źródła energii wymaga przeznaczenia ogromnych sum na dziedzinę, która z natury rzeczy jest kapitałochłonna. Niepewność, |aka wiąże się z inflacją, prowadzi niekiedy do odroczenia inwestycji lub krótkoterminowego zastępowania wkładu kapitału przez wkład pracy, co jeszcze bardziej obniża społeczną wydajność. Są to jednak problemy polityczne i ekonomiczne, które nie stanowią tematu tego artykułu.

Jeżeli przyjmiemy, że wiele z tych nowych technik i sposobów będzie ostatecznie wprowadzonych, to jakich następstw możemy się spodziewać? Chociaż przepowiadanie jest rzeczą ryzykowną, można pokusić się o naszkicowanie zmian społecznych, do których prawdopodobnie dojdzie, kiedy te wszystkie nowe sposoby zostaną wyko-

rzystane.

Społeczeństwo poprzemysłowe

Rewolucja w komunikacji, powstanie społeczeństwa informacyjnego, przyspieszą rozwój tego, co nazwałem społeczeństwem poprzemysłowym.
Większa część dzisiejszego świata - głównie kraje w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej - znajduje się jeszcze na etapie przed przemysłowym, to znaczy, że co najmniej 60 procent siły roboczej jest zaangażowane w przemysłach wydobywczych. Życie w tych krajach to „rozgrywka z naturą", a bogactwo narodu zależy od jakości zasobów naturalnych oraz wahań światowych cen na artykuły powszechnego użytku. Mniejsza część świata, kraje nad północnym Atlantykiem oraz ZSRR i Japonia, to kraje uprzemysłowione, w których podstawą bogactwa i rozwoju gospodarczego jest wytwarzanie dóbr za pomocą maszyn napędzanych energią. Niektóre z nich przechodzą na etap świata poprzemysłowego. W społeczeństwach przemysłowych usługi są podporządkowane produkcji dóbr - jest to m.in. transport, usługi komunalne i bankowe. W społeczeństwach poprzemysłowych następuje przesunięcie akcentu na usługi społeczne (oświata, zdrowie, pomoc społeczna) oraz usługi zawodowe (obliczenia, analizy systemowe, badania naukowe i wdrażanie). Drugi wymiar społeczeństwa poprzemysłowego jest bardziej istotny: po raz pierwszy innowacje i zmiany wynikają z kodyfikacji wiedzy teoretycznej i są w takiej mierze od niej uzależnione. Można to łatwo stwierdzić badając stosunek techniki do nauki. Przemysły: stalowy, samochodowy, artykułów powszechnego użytku - mają charakter dziewiętnastowieczny, były stworzone głównie przez „utalentowanych majsterkowiczów", którzy niewiele wiedzieli o podstawowych prawach i odkryciach naukowych. Odnosi się to do takiego geniusza, jakim był Tomasz Edison, wynalazca m.in. żarówki elektrycznej, gramofonu i filmu. Wiedział niewiele o pracach Maxwella i Faradaya w dziedzinie elektromagnetyzmu, który stanowi podstawę prawie wszystkich kolejnych, odkryć współczesnej fizyki. To samo dotyczy wynalazcy dynama - Siemensa, wynalazcy telefonu - Bella, albo wynalazcy radia - Marconiego.
Pierwszym „nowoczesnym" przemysłem była chemia, gdyż uczony musiał znać teoretyczne" właściwości makrocząsteczek, którymi manipulował, aby wiedzieć, dokąd zmierza. Przemysły oparte na nauce drugiej połowy naszego wieku i produkty, które wytwarzają - sprzęt elektroniczny, polimery, komputery, lasery - narodziły się z wiedzy teoretycznej i właśnie teoria określa kierunek przyszłych poszukiwań oraz rozwoju produkcji. Wiedza i informacja stały się dla społeczeństwa poprzemysłowego strategicznymi i motorycznymi zasobami społecznymi, podobnie jak praca i kapitał były strategicznymi i motorycznymi zasobami społeczeństwa przemysłowego. Decydującą „wartością zmienną" każdego społeczeństwa jest więc rozmiar podstawowych badań naukowych oraz zasoby naukowe i techniczne - na uniwersytetach, czy w instytutach badawczych - i zdolność społeczeństwa do rozwoju nauki i techniki.
W tym aspekcie nowa technika informacyjna staje się podstawą nowej techniki intelektualnej, w której wiedza teoretyczna i jej nowe metody (analiza systemowa, programowanie liniowe, teoria prawdopodobieństwa) przekazane komputerowi decydują o innowacjach przemysłowych i militarnych.

Następstwa

Dwie ważne konsekwencje rewolucji w komunikacji uzupełniają obraz zmian społecznych. Po pierwsze, ze względu na działania sił rynkowych i politycznych w gospodarce światowej dokonuje się nowy międzynarodowy podział pracy; po drugie zaś rozszerza się skala działań politycznych w świecie.
Zmiany gospodarcze: W 1975 roku w Limie Kraje rozwijające się, proklamując nowy międzynarodowy ład ekonomiczny, domagały się by do 2000 roku 25 procent światowych mocy wytwórczych znalazło się w rękach Trzeciego Świata. Było to zamierzenie wysoce nierealistyczne. A jednak pewne zmiany już widać. Jedna grupa krajów rozwijających się m.in. Brazylia, Meksyk, Korea Południowa, Tajwan, Singapur, Algeria, Nigeria, rozpoczęła raptowną industrializację. Prawdopodobnie w przyszłych dziesięcioleciach tradycyjne dziedziny przemysłu, takie jak tekstylny, stoczniowy, stalowy, obuwniczy, oraz wytwarzanie drobnych przedmiotów konsumpcyjnych, zostaną „wyjęte" z rozwiniętych krajów uprzemysłowionych i skupią się na tym niższym szczeblu światowej drabiny. Kraje rozwinięte odpowiedzą albo protekcjonizmem i rozerwaniem układu światowej gospodarki, albo ustanowieniem „względnej przewagi" w elektronice i innych przemysłach opartych na nauce i wysokiej technologii, które są wyróżnikami ery poprzemysłowej. Doprowadzenie do tej sytuacji jest poważnym problemem polityki gospodarczej i społecznej narodów świata.
Rozszerzona scena polityczna: Drugim, delikatniejszym, a może i ważniejszym problemem jest fakt, że rewolucja w komunikacji bezwarunkowo oznacza zmianę skali - rozszerzenie politycznej sceny świata, pojawienie się krajów zgłaszających nowe roszczenia i multiplikację aktorów albo mocodawców.

Tempo

W ostatnim dziesięcioleciu (albo jeszcze dawniej) słyszeliśmy wiele o przyspieszeniu tempa zmian. Jest to jednak zwodnicze powiedzenie i nic nie znacząca metafora, bowiem trzeba zadać pytanie: „zmian czego?" i „jak mierzyć tempo?". Nie ma wzorca, który można by zastosować, a słowo „zmiana" jest niezbyt precyzyjne. . Angielski autor, Mervyn Jones, zwrócił uwagę, że człowiek urodzony w 1800 a zmarły w 1860 obserwował pojawienie się kolei, parowców, telegrafu, oświetlenia gazowego, produktów wytwarzanych fabrycznie oraz ekspansję wielkich skupisk miejskich. Człowiek, który żył w latach 18601920, poznał telefon, żarówkę elektryczną, samochód, i kino. Mógł zaznajomić się z teorią Darwina, Marksa, Freuda, obserwował ostateczny upadek większości monarchii, rozpowszechnienie idei równości, powstanie i załamanie się imperializmu.
Jak zmierzyć wydarzenia ostatnich 40 lat, by móc powiedzieć, że wzrosło tempo zmian? Najwyżej dałoby się stwierdzić, że ponieważ wykresu wzrostu nigdy nie można przedstawić jako linii prostej, jesteśmy bliscy „wyrównywania" wielu tak zwanych zmian, które przekształciły nasze życie (np. transport i komunikacja nie zwiększą szybkości w sposób znaczący). A we wzroście ludności świata przekroczyliśmy, jak się wydaje ten punkt, w którym krzywa zmian już zwalnia. Ale widać wyraźnie, że poszerzyła się skala, w której zachodzą zmiany. A zmiana skali, co od dawna wiedzą fizycy i teoretycy organizacji, wymaga zasadniczej zmiany formy. Jest to poważny problem polityczny dla rządów. Francuski filozof J.J. Rouseau w „Umowie społecznej" przedstawił „prawo natury", że im większe staje się państwo, tym bardziej władza ulega koncentracji, tzn, że liczba władców maleje, gdy rośnie liczba ludności. Rousseau starał się wykazać, że rządy zmieniają swą formę, gdy wzrasta ludność, jako że wzajemne oddziaływanie na siebie ludzi multiplikuje się, a interesy stają się bardziej złożone i rozbieżne. Problem dla współczesnych społeczeństw szczególnie tych, które pragną zachować instytucje demokratyczne, kontrolę rządu przez naród i
rosnący udział narodu w sprawowaniu rządów to dopasowanie skali między Instytucjami politycznymi i gospodarczymi oraz między ich działalnością. Fakt, że rząd staje się coraz bardziej odległy i wywiera coraz większy wpływ na życie członków społeczeństwa, doprowadza do separatyzmu, lokalnego patriotyzmu i tendencji odśrodkowych.
Często zwracałem uwagę, że w wielu krajach państwo jest zbyt wielkie, by rozwiązywać drobne problemy życia, a za małe - na wielkie problemy.

Wolność osobista

Te wszystkie zmiany strukturalne skłaniają do sformułowania pytania o los wolności osobistej w „nowym wspaniałym świecie", który ma nadejść. Aldous Huxlexy i George Orwell przepowiedzieli kontrolę - ekspansję totalitaryzmu, która może nastąpić w rezultacie rozwoju techniki. Nowe techniki pozwalają na rozbudowę mechanizmów nadzoru i wtrącania się w prywatne życie obywatela.
Londyński „Times" opublikował niedawno artykuł o zwiększeniu środków bezpieczeństwa w RFN, co doprowadziło do umieszczenia przez komputer na liście podejrzanych pewnego niemieckiego konsultanta, którego praca wymagała parokrotnego w ciągu jednego dnia przejścia granicy do Szwajcarii. Wniosek z tej historii wcale -nie brzmi tak, że komputeryzacja przejść granicznych zwiększa władzę policji; po prostu groźba terroryzmu zmusza do podejmowania takich kroków. Problem kontroli społecznej można określić w trzech punktach: rozwój techniki obserwacji, koncentracja techniki na prowadzeniu rejestrów, kontrola dostępu do strategicznych informacji przez wyłączność prawa dysponowania nimi lub narzucenie ich tajności. Na tych trzech obszarach doszło do ogromnego wzrostu zagrożenia i rosnącego zaniepokojenia możliwością niewłaściwego wykorzystania informacji. Jednak niezależnie od rzeczywiście istniejącej groźby dla wolności osobistej i swobody działalności gospodarczej, nie stanowią one istoty problemu. Nie chodzi tu o technikę per se lecz o system społeczny i polityczny, w którym ta technika jest stosowana.
Technika jest instrumentem pozwalającym panować nad skalą. Można to przedstawić bardziej abstrakcyjnie, ale prosto. Technika nie określa struktury społecznej - po prostu rozszerza różne możliwości. Technika jest włączona w system społeczny i każda struktura społeczna wybiera, w jaki sposób z niej skorzysta. Można wziąć dla przykładu tę samą technikę i wykazać, jak odmiennie ją wykorzystują różne systemy społeczne. Można wykazać różne sposoby wykorzystywania samochodu (i społeczne koszty tego) bez jakiejkolwiek zmiany w samym samochodzie. Każdą technikę można zastosować w różnych warunkach społecznych, a decyzja w sprawie użycia techniki jest przede wszystkim funkcją systemu społecznego, jaki społeczeństwo wybiera. Na koniec problem stosunku techniki do wolności. Jest on prozaiczny, ale głęboki. Prozaiczny, gdyż technika stanowi ułatwienie albo hamulec, jest zdolna do intensyfikacji lub powstrzymywania - zależnie od decyzji systemu politycznego. Jest ważna, gdyż człowiek jest stworzeniem zdolnym do litości i do morderstwa. Wybór ścieżki cofa nas ku długim męczącym wysiłkom cywilizowanych społeczeństw, by znaleźć instytucjonalne ramy umożliwiające jednostkom wykorzystanie ich zdolności przy jednoczesnym respektowaniu integralności osobistej.

Wg „Harvard Business Review"
opracował
Jerzy Jacek Tomczak

Wąż morski nie ma u ludzi najlepszych notowań. Kiedyś bywał przedmiotem straszliwych opowieści marynarzy i podróżników, potworem z relacji, w których wszystko jest możliwe. Dziś stał się po prostu symbolem takich właśnie relacji - opowieści nieprawdopodobnych a uporczywie powtarzanych, sensacji wymyślonych na użytek naiwnych, żeby wypełnić tzw. sezon ogórkowy, albo dla celów jeszcze gorszych - by odwrócić uwagę od spraw istotnych. W tym sensie „wężem morskim” naszych czasów, obok UFO, Yeti (zajmę sie niedługo i nimi...) jest poczciwy potwór ze szkockiego jeziora Ness (znanego jako Loch Ness, tyle, że „loch” znaczy właśnie jezioro).

Maciej Iłowiecki

POTWÓR Z JEZIORA

Cóż robić: nadszedł czas, by zająć się wreszcie i potworem Nessie, choć sezon ogórkowy dawno minął. Ale okazja po temu w tym roku szczególna - właśnie mija 50-a rocznica objawienia się Nessie we współczesności. Pisze ..we współczesności”, bo potwór pojawiał się w różnych epokach od bardzo dawna. Mało kto wie, iż pierwsza o nim wzmianka pochodzi z... 566 r... zatem sprzed 1418 lat! Jak zanotował kronikarz, wówczas to św. Kolumban, apostoł celtycki Piktów, uratował był rybaka, zaatakowanego na wodach Loch Ness przez „ogromnego smoka”. Relacje o smaku w szkockim jeziorze pojawiają się potem co pewien czas, nasilając się znacznie w XIX wieku. Ciekawe, że w początkach naszego stulecia doniesienia o potworze są znowu dużo rzadsze. I oto nagle w 1953 roku pojawia się od razu kilkadziesiąt nowych doniesień! Potwora widzą mieszkańcy nadbrzeżnej wioski Drumnadrochid, dostrzegają przypadkowi turyści kanadyjscy, miejscowi rybacy, dziennikarz Campbell i wiele innych osób. Znamienne, że mimo braku wtedy jeszcze relacji prasowych, które mogłyby sugerować wygląd potwora, opisy podawane przez świadków są nader zgodne. W 1953 r. pojawiają się też pierwsze zdjęcia Nessie. Jedno z nich, wykonane przez doktora Wilsona i przedstawiające wysuniętą z wody niewielką głowę na długiej i grubej szyi, zrobiło światową karierę. Od tego czasu ruszyła lawina doniesień, zdjęć, filmów, w ctągu 50-lecia dostrzeżono Nessie 3 tysiące razy, zrobiono kilkaset zdjęć i filmów. Specjaliści podzielili się na dwa zażarcie zwalczające się obozy. Jedni twierdzą, że nie ulega wątpliwości fakt istnienia w wodach Loch Ness „wielkiego, żywego, aczkolwiek niezidentyfikowanego obiektu”, mnie zaś uważają, „iż Nessie została wymyślona przez dziennikarzy i osoby bogacące się w tych stronach na turystach.

W ostatnich latach przewagę zyskali zwolennicy realnego i żywego potwora. Wsparty ich rzetelne badania Loch Ness i zarazem - dokonane gdzie indziej odkrycia różnych zwierząt, które „nie powinny dziś istnieć na Ziemi”. W felietonie mogę podać jedynie niektóre fakty. Otóż istnieje kilka zdjęć i filmów, przez wiarygodnych, brytyjskich ekspertów z zakresu fotografii, hydrodynamiki i zoologii uznanych z catą pewnością za niesfałszowane, przestawiających „duży, niezidentyfikowany, aktywnie poruszający się obiekt”, który nie jest na pewno „todzią, kajakiem czy czymś podobnym, lecz prawdopodobnie obiektem żywym”.

W 1973 r. eksperci amerykańscy z ośrodka komputerowego w Pasadenie (Jet Propulsion Laboratory), specjalizującego się w analizie zdjęć lotniczych i satelitarnych, wydali opinię podobną niektóre zdjęcia są niewątpliwie obrazem „nieznanego nauce, żywego obiektu”. W latach 70-ych do badań Loch Ness zastosowano elektroniczną, stroboskopową kamerę do zdjęć podwodnych oraz specjalne urządzenia sonarowe. Badania prowadziło kilka ekip, m.in. naukowcy z Bostonu (kierowani przez dra R.R. Rinesa). Dokonane przez tę grupę zdjęcia podwodne uważane są za dowód najbardziej przekonywający. Była też grupa wysłana przez Narodowe Towarzystwo Geograficzne USA, zespół ekspertów japońskich, zespół uczonych z Uniwersyteteu w Birmingham i inni. Wedle zapisu urządzeń sonarodowych, wielkość „aktywnych obiektów” (bo stwierdzono, że jest ich więcej) sięga 6 do 9 m. Układ echosond, sprzężony z podwodnymi kamerami to pozwolił ustalić, że tajemniczy obiekt ma wyrostki, przypominające płetwy oraz coś w rodzaju ogona. Przy okazji warto wyjaśnić, dlaczego wszystkie zdjęcia są jednak niewyraźne. Otóż wody Loch Ness zawierają olbrzymie ilości brunatnej zawiesiny torfowej, która uniemożliwia przenikanie światła i bardzo utrudnia fotografowanie. W ostatnich latach hydrolokatory ekipy amerykańskiej, wykryły w jeziorze „szybko poruszające się obiekty o rozmiarach do 13 m”, oraz ławice ryb „wyraźnie starające się odłączyć od owych obiektów”. Kanadyjski zoolog McGowan całkiem serio postawił wtedy hipotezę, że obiekty żyjące w Loch Ness są... plezjozaurami (rodzaj wodnych dinozaurów), przetrwałymi do naszych czasów z ery mezozoicznej, z okresu jury. Jezioro Ness było w epoce lodowcowej częścią morza i dość nagle zostało od morza oddzielone, mogły więc w nim przetrwać „żywe skamieliny”. Tymczasem dowodów przybywa, choć nadal są raczej pośrednie. W 1983 r. naukowe pismo brytyjskie „New Scientist” ogłosiło pierwsze wyniki badań kolejnej ekipy z Uniwersytetu w Birmingham, kierowanej przez prof. Adriana Shine’a. W głębinach Loch Ness sonary zarejestrowały po raz-nie wiem który istnienie wielkich obiektów, poruszających się z prędkością 3 km na godz. Trudno przytaczać kolejne argumenty, niemniej jednak ekipa Shine’a dowiodła (co przedtem podawano w wątpliwość), że wielkie stworzenia mogłyby bez trudu wyżywić się w jeziorze. Ponadto Shine odkrył w Loch Ness pewne gatunki reliktowe, przetrwałe tu z czasów epoki lodowej. Shine nie ma wątpliwości, że w wodach Loch Ness żyje „coś nieznanego nauce”.

Godny zastanowienia jest fakt, iż Nessie - potwór wprawdzie najsłynniejszy - nie jest przecież jedyny. Wiele miejsc na świecie ma swoie potwory, niektóre owiane legendą. Można na przykłać wspomnieć o tajemniczych istotach, które jakoby zamieszkują jezioro Champlain w Stanie Vermont w USA (pierwszy opis w 1606 r.), albo jezioro Herrington w Stanie Kentucky (ostatnio widział tam potwora dość wiarygodny świadek, profesor zoologii L.S. Thompson), albo jezioro Pohenegachiook w Ouebeck (zamieszkujący je potwór zwany Ponikiem jest bardzo popularny w Kanadzie), wreszcie liczne jeziora w ZSRR, na przykład Kok-Kol w Kazachstanie (miałby tu żyć Ajdachar - czyli „ogromny wąż”), jezioro Sary-Chelek w górach Tiań-Szań, jeziora Worot, Labynchyr i Khaiyr na Syberii. „W to, że w jeziorach Worot i Labynchyr żyją jakieś duże zwierzęta, nie można wątpić (...). Może są reliktem starej, nawet trzeciorzędowej fauny?” - pisze radziecki zoolog S.K. Krumow. Własnego potwora ma także jezioro Patenggang na Jawie.



Być może wszystkie te potwory są zrodzone w wyobraźni ludzi, którzy w ten sposób tłumaczą sobie jakieś dostrzegane na jeziorach zjawiska natury fizycznej. Dlaczego jednak te zjawiska nie występują w innych jeziorach, zaś tam, gdzie występują, przybierają wężowatą, płetwowatą postać, rzeczywiście przypominającą pleziozaura? Czy hipoteza przeżycia w pewnych izolowanych miejscach przedstawicieli gadów, które wymarty setki milionów lat temu, jest w ogóle godna rozważania? Cóż, taka hipoteza wydawać się mogła zupełnym absurdem do roku 1938, kiedy to u wybrzeży Afryki złowiono Latimerię, rybę trzonopłetwą, która wedle paleontologów miała wymrzeć 75 milionów lat temu (wtedy jeszcze zapewne żyły na Ziemi ostatnie dinozaury!). Znalezisko było tak niezwykłe, ze wielu uczonych po prostu nie dało mu wiary - Latimeria nie mogła przetrwać do naszych czasów! W istnienie* tej żywej skamieniałości uwierzono dopiero w 1952 r., kiedy rybacy złapali drugi okaz Latimerii. W 1957 r. złowiono z kolei pewnego mięczaka morskiego - Neopilina galathea - który to gatunek wedle ustaleń paleontologii wymarł... 350 milionów lat temu. „Odkrycia te są surowym ostrzeżeniem dla badaczy, by nie byli zbyt dogmatyczni" - napisał wtedy słynny paleontolog J.L B. Smith. W 1977 r. głośne było wyłowienie przez japońskich rybaków z trawlera „Tsuio-Matu" - w pobliżu Nowej Zelandii - szczątków nieznanego zwierzęcia. Miało ono małą głowę na długie] szyi, cztery płetwy i długi ogon. Ważyło ok. 2 ton, mierzyło - 13 m. Ponieważ szczątki rozkładały się szybko, rybacy zachowali tylko płetwę1, resztę wyrzucając. Zrobili też kilka niewyraźnych zdjęć. Na podstawie tych zdjęć i resztek płetwy prof. Yoshińori Imaizumi, dyrektor działu peleontologii Muzeum Nauki w Tokio stwierdził, iz jest to morski plezjozaur Muraenosaurus, wymarły 100 milionów lat temu. Proszeni o opinię uczeni francuscy uważali jednak, że jest to pewien rodzaj olbrzymiej foki, która wszakże wymarła ok 20 milionów lat temu. Natomiast zoologowie z Muzeum Nauk Przyrodniczych w Londynie uważają, że istnienie pleziozaurów dzisiaj jest niemożliwe i ze Japończycy złapali po prostu rekina jakiegoś nieznanego gatunku. Cóż, zdjęcia są rzeczywiście niewyraźne...

W 1978 r. rybacy urugwaiscy złowili resztki ogromnego zwierzęcia o potężnych płetwach i z pozostałościami pancerza. Uczeni z Instytutu Zoologii w Montevideo nie potrafili określić jego przynależności gatunkowej, zdołali jednak ustalić, ze nie byt to żółw

O istnieniu potworów przypominających z opisu dinozaury opowiadają także Pigmeje z dżungli w Kongo - ostatnio właśnie ruszyła w te rejony ekspedycja uczonych

Jak widać, na świecie potworów nie brakuje. Mam nadzieję, ze leszcze nie raz dadzą o sobie znać i ze wreszcie ich tajemnica zostanie wyjaśniona.

KOSMOS ZACZYNA SIĘ NA ZIEMI

Tło marsjańskich kronik...

Z odległości 55,5 min km wygląda jak stara pięciogroszówka przylepiona do nieba. Wyniki badań prowadzonych przez radzieckie „Marsy" oraz amerykańskie „Marinery'1 i „Vikingi" zaprzeczyły niektórym astronomicznym obserwacjom i spekulacjom nowelistów. Oczywiście burze pyłowe i zjawiska wulkaniczne pozostają w repertuarze, należy jednak dodać do charakterystyki Marsa jeszcze parę elementów. Przede wszystkim atmosfera aż 20-krotnie rzadsza, niż przypuszczano. Ciśnienie atmosferyczne przy powierzchni planety wynosi zaledwie 6 milibarów. Żaden ziemski astronauta po wylądowaniu nie odrzuci hełmu, by odetchnąć świeżym powietrzem. Chyba że będzie mu odpowiadać mieszanka składająca się w 65% z dwutlenku węgla, 30% argonu i zaledwie 5% pozostałych gazów. Dzielny kosmonauta brnący przez nagie i gładkie piaskowe pustynie musi być również przygotowany na to, ze może się natknąć na jakiś pagórek o wysokości bagatela - 19,2 km ponad umowny poziom zerowy. Po marsjańskim treningu niczym już będzie te głupie dziewięć tysięcy metrów Mount Eyerestu.

Amaranty, ale nie pod szyją

Amarant (szkarłat) kojarzy się zazwyczaj tylko z odcieniem czerwieni. Niektórzy wiedzą, ze jest to barwnik uzyskiwany niegdyś z roślin Mało kto wie, że wartość odżywcza amarantu przewyższa wartość zbóż i roślin zielonych. Badania FAO prowadzone od końca lat sześćdziesiątych, wykazały, że amarant zawiera sporo aminokwasów potrzebnych do budowy Działek i zapewniających ludzkiemu organizmowi równowagę hormonalną., i witaminową. Łatwo jest go uprawiać w każdym klimacie i na różnych glebach. Znano go, w Ameryce Południowej, w Azji w Afryce. Obecnie w USA bardzo poważnie traktuje się możliwość wykorzystania amarantu jako rośliny zbożowei eksperymentalne uprawy w Pensylwanii dały 1800 kg nasion z hektara, co jest niema! rekordowym plonem amarantu w strefie umiarkowanej. Nie wiadomo, czy cała Ameryka okryje się czerwono-złotymi roślinami. Wiadomo natomiast, że codzienne spożywanie \W gramów amarantu skutecznie chroni przed utratą wzroku. A co roku w krajach trzeciego świata ŚO tysięcy dzieci ślepnie wskutek niedożywienia.

UFO...

.to tylko powietrze, twierdzą radzieccy uczeni, prof. Georgij Barenblatt i prof. Andnej Monm. Zauważyli oni, ze na granicach poszczególnych warstw atmosfery Ziemi w wyniku falowań i różnorodnych zaburzeń tworzą się obszary o innej gęstości i temperaturze, niż otaczającego środowiska. Obszary te w miarę opadania ku powierzchni Ziemi stają się pułapką dla zawartych w powietrzu aerozoli. Dzięki temu stają się widoczne i czego dowiodły badania przeprowadzone przez prof. Helenę Tichomirową z AN ZSRR - bez względu na początkowy kształt zawsze stają się dyskiem. Taki „latający talerz" reaguje nawet na najlżejsze powiewy wiatru - stąd owe zadziwiające manewry, nagłe przyśpieszenia i stawanie w miejscu. Dysk taki znika sto razy wolniej, niż białe smugi pozostawione przez samoloty. Logice i badaniom naukowym nie sposób zaprzeczyć: latające talerze to po prostu plamy w powietrzu. Skąd jednak w takim razie biorą się zielone ludziki?

Od fakiety do rakiety.

Sally Ride - pierwsza amerykańska astronautka ma 165 centymetrów wzrostu, 52 kg wagi i tytuł doktora fizyki Nie wiadomo, czy w bagażu zabranym przez nią na pokład Challengera 18 czerwca br, znalazła się jeszcze jedna rakieta. Bowiem przed zrobieniem kosmicznej kariery Sally Ride, była mistrzynią tenisa. Wprawdzie kierownictwo NASA nie przewiduje oddania sterów rakiety w damskie ręce, jednak już 8 kobiet ma wyznaczone role w programach przyszłych lotów. Czy plan zostanie wykonany, nie wiadomo. Jerrie Cobb pierwsza amerykańska lady, która juz w 1961 roku przeszła pełny cykl przygotowań do kosmicznego lotu, zamiast w kabinie rakiety wylądowała w amazońskiej dżungli jako misjonarka, żyjąca wśród najbardziej zacofanych indiańskich plemion.

Czy grozi nam nieustająca narkoza?

Brytyjski Departament Ochrony Środowiska proponuje, by do 1990 roku wszystkie wytwarzane w Europie samochody byty przystosowane-do paliw nie zawierających ołowiu. Próby doskonalsze, rafinacji ropy prowadzą do wzbogacenia paliwa w „oktany". ale również do horrendalnej zwyżki cen Metanol powoduje niszczenie zbiorników paliwa, źle miesza się z benzyną i bardzo szybko paruje . Zostaje więc eter droższy od metanolu, ale pod każdym innym względem o wiele lepszy Produkcję mieszanek eterowych juz od lat pięćdziesiątych prowadzi brytyjski koncern naftowy Shell Cała europejska produkcja eteru wynosi rocznie około 0,5 min ton, ale w krótkim czasie może zostać podwojona.

Pamiętliwe liście

Mano Desbiez z uniwersytetu w Clermont (Francja) twierdzi że Rosiny mają pamięć i potrafią z niej korzystać, Dowiodły tego eksperymenty z nakłuwaniem liści, czyli zaburzeniem naturalnej symetrii roślin. Nakłute liście zostały po 5 minutach usunięte. W ciągu 20 dni w miejscach po liściach i usuniętych wykształciły się nowe pąki i okazało się. ze asymetryczne ukłucia zostały zapamiętane i odtworzone w większości wypadków Tak nawet przy braku specjalnego systemu informatycznego, jakim u zwierząt jest układ nerwowy, istnieje „komórkowy" mechanizm pamięci oraz pozanerwowe sposoby przekazywania informacji.

Kolejny etap zdobywania świata

Amerykański uczony Gerard 0'Neill widzi konieczność zabudowy kosmosu. Według niego konieczność ta wynika przede wszystkim z prognoz demograficznych - do roku 2050 liczba ludzi wzrośnie do 16 miliardów, co pociągnie za sobą deficyt źródeł energii żywności i zasobów naturalnych naszej planety. Prognoza 0'Neilla przewiduje, że proces kolonizacji kosmosu będzie rozwijać się bardzo szybko. W ciągu około 35 lat czyli w 2085 r na Ziemi pozostanie zaledwie 2 mld mieszkańców. Zasiedlona przestrzeń kosmiczna już w roku 2150 ma pięciokrotnie przewyższać powierzchnię lądów na Ziemi. Można się śmiać z takich entuzjastycznych planów, można pocieszać się, że tak źle na Ziemi nie będzie, ze uda się znaleźć nowe źródła energii i pożywienia przy ' jednoczesnym ograniczeniu przyrostu naturalnego. Można tez jednak myśleć perspektywicznie, czego dowodem planowana przez NASA budowa pierwszej stacji kosmicznej przeznaczonej dla 100 osób.

mówi Barbara Maria **PRZYBYŁOWSKA** - za-ca red. nacz. Państwowego Instytutu Wydawniczego

DLACZEGO **TAK**- DLACZEGO **NIE?**





- Ostrzegano mnie, że nic z tej rozmowy nie będzie, bo pani nie lubi science-fiction. Dlaczego?

- Nie znam się na tym gatunku. Życie jest za krótkie, żeby wszystko czytać. Podobnie, kiedy sięgam po kryminał, po chwili sumienie mnie gryzie, że robię nie to, co należy i odkładam go na „lepsze czasy". Mam bardzo dużo lektur zawodowych, i to stanowi już liczbę stron znacznie ponad moją wydajność czytelniczą. Coś muszę eliminować.

- Nie można nie lubić jakiejś lektury nie znając jej.

- Powiedzmy, że jestem w dziedzinie SF po prostu niekompetentna. Jest to jednak moja wypowiedź prywatna. Jako wydawca mogę stwierdzić, że np. Lema na pewno byśmy wydali, bo Lem jest po prostu dobrym pisarzem i spełnia podstawowy i jedyny warunek, jakim kieruje się PIW, zawierając umowę z pisarzem do druku - a mianowicie uprawia dobrą literaturę. Ale Lem jest autorem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie, nie naszym. My przedstawiliśmy czytelnikom książeczkę o nim w serii Portretów Współczesnych Pisarzy Polskich.

- Opowiem pani o środowiskowym żarcie: czwórka młodych krytyków SF przygotowała przed trzema laty zestaw esejów pod wspólnym tytułem „Czy Lem szkodzi polskiej SF?"... I wie pani, po złożeniu Mistrzowi najszczerszych hołdów, doszli do wniosku, że jednak szkodzi. Za silnie świeci i oślepia wydawców, którym wygodniej dostrzegać tylko jednego.

- Szkodzi na tej samej zasadzie, na jakiej każdy wielki pisarz szkodzi złym, a wielki aktor...

- ...szkodzi młodym, utalentowanym aktorom. Dyrektorzy teatrów nie dają im ról, niezmiennie obsadzają wielkiego pewniaka. Do niedawna prestiżowi wydawcy przypominali takich dyrektorów. Ale to nie jest zarzut pod adresem Lema.

- ...Ani wydawców. Wybierają co najlepsze. Ale wracajmy do SF. Zdarzyło mi się w życiu przeczytać parę maszynopisów powieści tego gatunku proponowanych PIW-owi. Raczej nieudanych. O ile wiem, nie doczekały się druku. Oglądam czasem film SF i budzi się we mnie podejrzenie, że na tym terenie niesłychanie trudno osiągnąć te wartości, które - jak mi się wydaje - stanowią o naprawdę dobrej literaturze. Chodzi mi o wizję, bogatą, pełną, prawdziwą wizję człowieka. W zakresie możliwości technicznych przyszłego świata wyobraźnia ludzka pracuje nader wydajnie, ale jak gdyby kurczy się, gdy przychodzi do odpowiedzi na pytanie, jak zmiany warunków życia wpływają na człowieka, jaki on będzie. Przecież życie człowieka epoki świec różni się zasadniczo od człowieka epoki elektryczności Technika w jakiś sposób warunkuje zmiany antropologiczne. I tu SF - mówiąc teoretycznie - ma dwa wyjścia: albo umieścić w tym całym „hardware" przyszłości - człowieka w jego inwariantach - z tym zasobem podstawowych, psychofizycznych potrzeb właściwych całemu rodzajowi ludzkiemu, i wtedy otrzymujemy wizję człowieka schematyczną i ubogą. Albo wysilić wyobraźnię że tak powiem antropologiczną, by przedstawić człowieka ukształtowanego w jakiś tam sposób przez warunki, w jakich żyje, ze zmodyfikowanym repertuarem dążeń, ambicji, Stresów, pragnień, z innym sposobem rozumienia świata, może z odmienną skalą wartości. Trzeba ogromnego talentu, ogromnej intuicji i wiedzy o człowieku - by stworzyć przekonywującą wizję takiego człowieka. Niech pan zwróci zresztą uwagę, że całe wieki chrześcijaństwa nie wytworzyły przekonywujące] wizji raju, że we wszystkich utopiach człowiek wydaje się zawsze jakiś niepełnokrwisty. Wygląda na to, że antropologiczna projekcja natrafia od wieków na jakieś niewidzialne przeszkody.

- Za to piekłą wychodziły nam znakomicie. Zarówno w życiu jak i na papierze. Weźmy Dantego, czy choćby Huxleya, który należy już chyba do SF.

- Chyba pan ma rację, ale „Nowy wspaniały świat" tylko potwierdza tezę, że piekło jest dogodną materią literacką, a człowiek w SF-ie jest schematyczny i bezkrwisty. Tu wprawdzie jest to założenie pisarza. Ukazanie groźnej wizji możliwej przyszłości człowieka w świecie totalitarnym - jako istoty pozbawionej indywidualności i centralnie sterowanej. Podobnie ma się z wizją 0rwellowską „1984". Zaliczyłabym tę książę raczej do literatury politycznej, choć niewątpliwie zawiera elementy SF - razem z jej słabościami.

- Arbitralnie zakłada pani, że SF musi zajmować się wizjami możliwymi, że winna byś socjologiczną i psychologiczną futurologią. Tylko czemu właściwie fantaści nie mieliby poszaleć? Uciec w świat baśni.

Zbudować literacki model sytuacji społecznej, w życiu nieprawdopodobnej, ale potraktujący rzeczywiste tendencje. Napisać krzykliwą powieść-ostrzeżenie. Protest wyartykułowany ekspresyjnym tonem, szczególnie gdy dorzeczny, też ma dużą wartość.

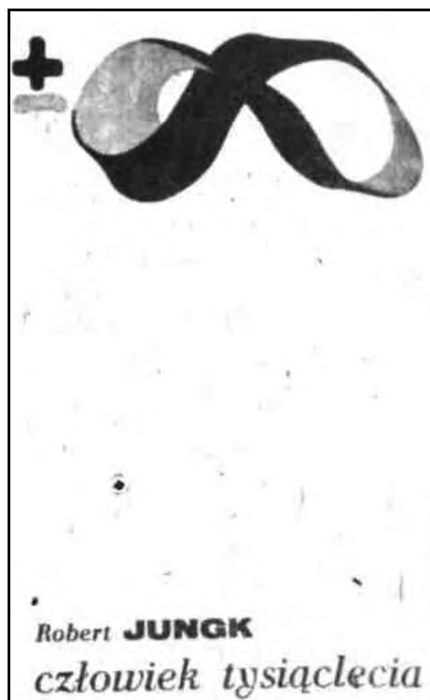
- Nie przeczę. Nie mam przecież recepty na lo, jakie ingrediencje mają wchodzić, a jakie nie, do dzieła sztuki. Ja tu dzielę się z panem moimi niepokojami dotyczącymi jednego tylkonurtu - pogłębionego humanistycznego nurtb w prozie SF. Przy moich powierzchownych sondażach na taką realizację nie natrafiłam. Trzeba, powtarzam, nieprzeciętnego talentu, wyobraźni, poczucia empatii, żeby wyobrazić sobie i opisać człowieka i jego problemy w świecie, którego jeszcze nie ma. Ale oczywiście dzieło takie może powstać.

- A PIW odżegnuje się do tęgo gatunku.

- Proszę pana, zacznijmy od tego, że do PIW-u nie wpływają tego rodzaju pozycje. Jeżeli kilka wydawnictw prowadzi serię science-fiction,, to jest .rzeczą oczywistą, że i autor, i tłumacz zgłosi się do takiej redakcji, która przyjmie go z otwartymi ramionami i nawet przymknie oczy na pewne słabości, bo raz rozpędzone koło powinno toczyć się dalej, seria jest serią jeśli dostarcza rocznie na rynek pewną określoną liczbę tytułów. W PIW-ie taki autor musi przejść przez znacznie trudniejszą drogę. Dzieło musi się wybronić jako dobra literatura. Sami moglibyśmy wprawdzie robić poszukiwania w tym kierunku. Ale nasz program wydawniczy jest i tak dostatecznie obszerny i z trudem możemy zaspokoić potrzeby naszych czytelników w zakresie klasyki, literatury współczesnej, rzadziej historii. Nie musimy szukać nowych pól ekspansji tematyczne|.

- A jednak wydaliście Danikena.

- Tak, nawet dwukrotnie. Ale książka Danikena to ani fiction ani science. Była głośnym na całym świecie wydarzeniem, wywołała falę dyskusji. I jakkolwiek nie przekonuje do faktu interwencji kosmitów w dzieje naszego globu, daje świadectwo pewnej niewątpliwej prawdzie, że jesteśmy świadkami-szerzącego się zapotrzebowania na nadprzyrodzoność. Mimo tego, że tezy Danikena oparte są - jak sądzę - na pseudonaukowych dowodach, nic się złego nie stało w naszym życiu





umysłowym, jeżeli zaznajomiliśmy polskich czytelników z tą światową sensacją. Zresztą przy pomnę, że wydaliśmy też książkę autorów polskich - „Z powrotem na Ziemię", książkę będącą odpowiedzią naukowców na danikenowskie rewelacje.

- Ukazuje się w PIW natomiast seria literatury grozy. Dlaczego? Czy dlatego, że to literatura szacowna, czy dlatego, że nie trzeba płacić tantiem? Groza to przecież też fantastyka.

- Za bardzo wiele książek nie trzeba płacić honorarium, wystarczy odczekać 25 lat po śmierci autora, a jednak po nie się nie sięga.
Pan stale traktuje nas, nasze Wydawnictwo, jako zaciekłych wrogów fantastyki. Przecież to nieprawda. Fantastyka grozy, fascynacja nieznanym - to przecież elementy towarzyszące literaturze od zarania dziejów. Wydaliśmy kilka tomów poświęconych tej literaturze - z jednej strony, aby pokazać najlepsze osiągnięcia tego gatunku, z drugiej, aby stworzyć okazję do współpracy z wybitnymi ilustratorami. Są w tym gatunku nawet arcydzieła, np. „Dama pikowa" Puszkina. A nasze książki cieszyły się ogromnym powodzeniem i gdyby nie trudności poligraficzne - prowadzilibyśmy poszukiwania materiałów do dalszych tomów.

- Piękną obronę grozy jako gatunku poważnego można znaleźć we wstępach do tomów pióra Jerzego Parviego i Renę Śliwowskiego: Zrywała groza z klasycyzmem, naturalizmem, scientyzmem; zwiastowała romantyzm, surrealizm, symbolizm. W rosyjskiej literaturze grozy, co zresztą odziedziczyła po niej radziecka fantastyka, można znaleźć przejmujące akcenty społecznego realizmu. Chyba wszyscy wielcy pisarze XIX wieku próbowali koncepcji grozy.

- Może to zbyt pospieszne uogólnienie: Ale człowieka zawsze nurtują zjawiska niewytłumaczalne, myślę, że będzie się zawsze z nimi borykał. Niezależnie od tego, jak wiele potrafi wyjaśnić nauka, trudno sobie wyobrazić, byśmy mogli dotrzeć do ostatecznych granic poznania. Ciągle świat będzie pełen zagadek. Czarne dziury, UFO, Trójkąt Bermudzki... są pasjonującą pożywką dla wyobraźni, dla współczesności - nasi, następcy będą mieli nowe problemy.

- Myślałem o czym innym. Niemal identyczną obronę jak literatury grozy można powtórzyć wobec SF. Współczesna SF też zrywa z doprowadzanym do krańca, wyjałowionym modelem eleganckiej prozy artystycznej, też otrząsnęła się z wiary w omnipotencje nauki, też bez wątpienia znaleźć w niej można akcenty społeczne, też otwiera nas na nowe obszary, nowe konwencje literackie, gdzie myśli się o człowieku w skali kosmicznej nie kameralnej, gdzie uwzględnia się najnowsze odkrycia myśli ludzkiej. Nie mówię, że współczesna fantastyka nie kiksuje, ale sto i więcej lat temu kiksowała także literatura grozy, a czas odsiał z tego rzeczy najwartościowsze. Fantastyka podobnie jak kiedyś groza rozszerza i mnoży możliwości literatury, wpuszcza na jej teren trochę świeżego powietrza. Jestem pewien, że już dziś wydawnictwo tak ambitne jak PIW znalazłoby 20 tytułów do wydania z dziedziny SF spełniających najwyższe kryteria dobrej literatury.

- Nie zarzekam się, drzwi są otwarte. Elementy fantastyki nie będą przecież dyskwalifikowały książek przyjmowanych do serii Klubu Interesującej Książki, Mikropowieści, Współczesnej Prozy Światowej, Współczesnej Prozy Polskiej...

- Już dziś, teraz można znaleźć dowody, że separujecie się od fantastyki niekonsekwentnie. W1958 roku wydaliście „Ludzie jak bogowie" Wellsa, w 1977 r. „Śniadanie mistrzów" Vonneguta (autora słynnej apoteozy fantastów, zaczynającej się od słów „kocham was wy sucze syny"). W 1981 roku w serii mikropowieści ukazała się nowela Anara „Kontakt", w 1983 „Nienasycenie" Witkacego - utopia negatywna, a wiec rzecz bardzo bliska fantastyce. A z rzeczy z pogranicza - książki takie jak „Siedmiu szaleńców" Arlta, jak opowiadania Barthelmego „Osobliwości" z fantastyką psychologiczną mają wiele wspólnego... To są argumenty pierwsze z brzegu, wyszperane w mojej tylko domowej bibliotece.

- Nam zarzuca Pan niekonsekwencję, ale za to Pan jest konsekwentny. Uznał' Pan nas za wrogów fantastyki - i atakuje własne wyobrażenie. Powtarzam jeszcze raz, nie jesteśmy wrogo nastawieni do fantastyki - tylko chcemy wydawać dobrą literaturę.
Powiedziałam drzwi są szeroko otwarte. Rozstrzyga zawsze kryterium literackości, a nie antyfantastyczność.

- PIW-owi także zawdzięczają fantaści wsparcie intelektualne. To wy wydaliście przecież analizę współczesnej SF pióra Very Graafa, „Homo futurus". Bogate zestawy tomików „biblioteki myśli współczesnej" widziałem na półkach u wszystkich polskich autorów SF. Toffler „Szok przyszłości", Jung „Człowiek tysiąclecia", „Super-Ameryka", Mazur „Cybernetyka i charakter", Hall „Ukryty wymiar", Wickler „Czy jesteśmy grzesznikami", Hoffman „Wokół ewolucji", Eigen i Winkler „Gra - prawa natury sterują przypadkiem"... tytuły mówią za siebie. Te książki bez wątpienia pomagają autorom łamać tak trudno wg pani przekraczalną barierę oddzielającą nas od przyszłości. Dobre słowo powiedziane o polskiej SF lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych będzie po części słowem pochwalnym na temat waszej serii „bmw".

- Miło mi to słyszeć, bo przez kilka lat pracowałam w tej redakcji. Rzeczywiście, jest coś wspólnego w przyszłościowej literaturze i eseistyce zajmującej się najważniejszymi problemami współczesności, a także projekcją tych problemów w przyszłości. Występuje wzajemnie przyciąganie się tych światów - próba przewidzenia, odnotowania potrzeb, dążeń, zachowań - są współczesne. Ale naukowcy zajmują się przewidywaniem, a fantaści odgadywaniem, „bmw" dostarcza naukowych bodźców inspirujących myślenie o przyszłości, o możliwych jej wariantach.

- Występuje też proces odwrotny. Töffler pisze gdzieś, że uwielbia SF. Myśliciele inspirują pisarzy, ale także pisarze myślicieli. Bywają sytuacje bardziej skomplikowane; z naukowego zwiastuna nowej ery, „Szoku przyszłości", czas zrobił rzecz pokrewną fantastyce.

- Töffler „stał się pisarzem SF - bo zdrożała nafta „Wówczas w 1970 roku, gdy pisał „Szok", Był wyrazicielem nadziei społeczeństwa konsumpcyjnego. Trudno go nazwać fantastą. Na materiale empirycznym wykazał możliwość istnienia technologii destandaryzujących, indywidualizacji wyborów, skojarzenia raju obfitości. Nastąpił kryzys. Czy w ogóle wstrzyma on ten kierunek rozwoju?... czy opóźni jego realizację. Czekamy teraz na przekład nowej książki Töfflera „Nowa fala".. Töffler jest bacznym obserwatorem społeczeństwa, przewiduje kierunki ewolucji, zmiany tych kierunków pod wpływem trudności. A to co pisał w „Szoku" o przyszłości w społeczeństwie wyrzucającym, migrującym. Pozbawionym przywiązania do ludzi, miejsc i rzeczy - to nie zmyślenie to trafna obserwacja. Rozumiem pana intencje, ale na przypisanie Töfflera do fantastyki zgodzić się nie mogę.

- To był chwyt retoryczny. I żart mający panią skłonić do okazania SF życzliwości. Taka jest moja misja, pracownika miesięcznika pt...

- Wiem. Ale nie jestem fantastyce nieżyczliwa.. Nie gustuję po prostu w tej prozie, a w profilu PIW nie zajmuje ona stałego miejsca. Przypadkowe, tak r już pan to wykazał. I powiem panu taką uwagę na marginesie. Wygląda na to, iż ludzka fantazja nie jest zdolna przekroczyć granic własnych możliwości. Wszystko, co ludzkość w swym zaraniu wymarzyła, wcześniej czy później realizowała: sezam, stoliczku nakryj się, kije samobije, latający dywan... Została nam jeszcze do odkrycia czapka-niewidka

- Skoro tak, to ja wyobrażam sobie za parę lat serie SF w PIW. Oczywiście, ambitną serie.

- Powtarzam, nie mówię nie. Ale to jest futurologiczna furtka w przyszłość. Na razie fantastykę wydaje kto inny, a my działamy w swojej podstawowej dziedzinie, tzn. zaspokajamy ogromny głód klasyki w naszym kraju. Jeśli ten głód nasycimy, to mogą nastąpić w wydawnictwie poszukiwania nowych obszarów ekspansji. Ale to odległa przyszłość.

- Nie tylko ze względu na fantastów życzę pani, by nie była tak odległa. Dziękuje za rozmowę.

Notował Maciej Parowski

LĄDOWANIE DZIEWIĄTE

Zarzucają mi niektórzy Czytelnicy, a także i koledzy, że same tylko krytyki pod naszym adresem zamieszczam podczas „lądowań” Zauważyłem jednak wyraźne ożywienie się dyskusji o piśmie (a o to przecież mi chodzi) po każdej nowej porcji krytycznych uwag. I to zarówno dyskusji podejmowanej przez Czytelników, jak i członków zespołu redakcyjnego. Dobry bodziec, więc chyba warto go stosować.

Niech czytar do góry nogami

Proponuję, aby autor obecnego układu wkładki powieściowej za karę, obowiązkowo, jeden dzień w tygodniu, czytał na oczach kolegium redakcyjnego powieści z wydanych dotychczas numerów Fantastyki, bez. ich wyjmowania. I przy każdym obracaniu do góry nogami tak czytanego numeru wołał głośno „mea culpa”, tak długo aż się poprawi.

Wiesław Sikora z Krakowa

„Bardzo słaby papier, zarówno okładki jak i wewnątrz. Jak dotąd najlepszą okładkę (gatunek papieru) miał numer 8. z maja. Sądziłem, ze to zapowiedź lepszego wyglądu pisma. Niestety, numer 9 był taki jak poprzednio. I jeszcze jedno: numer czerwcowy dostałem 23 lipca. Dostawać miesięcznik z miesięcznym poślizgiem? Podobno mieliście dogonić właściwy czas. Kiedy?,

Ireneusz Dziekoński z Moniek

Paw na okładce

Dostałem ostrego ataku śmiechu. Pan redaktor mówi o złym papierze, o technice druku i złej farbie, o precyzji wykonania i wysokich wymaganiach, a na waszej okładce - PAW. Pismo ludzie będą kupować dla treści, ale błagam nie oszpecajcie go taką grafiką. Przecież to kwintesencja nieudolności. Pokraczny facecik z płaską głową i jedną ręką krótszą, z prawym butem na lewej 7 lewym na prawej nodze... Panowie, Polska ma czternaście tysięcy plastyków. Czy me, lepiej reprodukować na okładkach jakieś prace Beksinskiego, Starowieyskiego, Wańka, Popiela (świetne np. w „Przeglądzie Technicznym”) i innych, którzy po prostu potrafią. Pismo znakomite, ale nie oszpecajcie go tandetami.

Jerzy W. Wielooki z Olsztyna (artysta plastyk)

Recenzje - pitu - pitu, nuda

Recenzje mdłe, woda, zwody, pitu - pitu, nuda.. Parada wydawców. Oj, co za dłużyzny, sieczka A „Kosmos zaczyna się na Ziemi” zostawię już bez żadnego komentarza

Patryk Pawęska ze Świebodzic

PS Lepszych gatunków papieru niż ma Fantastyka używa się do wyrobu torebek na cukier i papier śniadaniowy.

Opinie krytyczne, a w szczególności krytyki negatywne (lecz i pozostałe także) to sztuka dla sztuki. Żaden krytyk swoją negacją nie zniechęci mnie do przeczytania utworu... Więcej debiutów. Młodzi pisarze mają mniejszą siłę przebicia.

Ryszard Czarnocki ze Szczecina

Bardzo cenię p. Parowskiego za jego książkę „Twarzą ku ziemi” i za recenzje. Ale proszę mi powiedzieć czy to ten sam Parowski, który jest współautorem komiksu⁷

Jarosław Lach z Poznania

Ten obraża, kto powtarza

Z literatury lubię najbardziej tę, która wnika w psychikę. Bardzo podobało mi się „Houston, Houston” Źle jednak odebrałem powtórkę opowiadania M Wolskiego pt. „Zadziwiający przypadek fascynacji”. Nie jest to wasza wina, ze było ono uprzednio prezentowane kilkakrotnie w radio... Teraz rozumiem dlaczego bronicie się przed wszelkiego rodzaju powtórkami Dlatego popieram wasze stanowisko w tej sprawie „nie powtarzać”, choć o różne pozycje do ponownego wydrukowania na waszych łamach upominają się niektórzy czytelnicy

Wojciech Kes z Jawora

Co powinno się ukazać

Mamy olbrzymie zaległości. Taką pozycję jak „Fundacja” Asimova dopiero wiele lat po niewczasie dostaniemy z rąk Wydawnictwa Poznańskiego. Ciekawe jak będzie wydana. Moim zdaniem to wstyd dla takich potęg edytorskich jak „Czyteinik” czy „Iskry”, że pozwoliły się ubiec. A swoją drogą wydawcy powinni wprowadzać również kontaktowanie się bezpośrednie z czytelnikami. Oj dostało by się im, dostało. Od „Fantastyki” czytelnicy oczekują Lukasa „Gwiezdnych wojen” oraz „Imperium kontratakuje”, Clarkea. „2001 Odysei kosmicznej”. Przecież to na świecie wielkie bestsellery. I to nieważne, czy gdzieś je ktoś juz kiedyś, w jakiejś gazecie, drukował. My dostaniemy je i tak za późno, a może nie dostaniemy w ogóle: tak jak to było w przypadku „Planety małp”. Dotychczas drukowane pokątnie „Gwiezdne wojny” kosztowały po 500 zł egzemplarz. To świadczy o zapotrzebowaniu Jasne, ze wydrukowanie takiej pozycji na łamach „Fantastyki” położyłoby kres spekulacjom. .W liście bestsellerów, stawiając Aldissa „Cieplarnię” na I miejscu uwzględniłem prawie wszystkie książki z zeszytowej seri KAW-u, w której o dziwo ukazują się lepsze pozycje niż w normalnych formatach.

Zbigniew Tański z Przasnysza

Jaką dziwną politykę stosują niektóre wydawnictwa. Proszę mi powiedzieć kto i dlaczego ustala wysokość nakładów na poszczególne tytuły. Księgarze chyba nie - bo i tak każda science fiction leci im natychmiast spod lady. Więc kto9 Czemu raz ukazuje się debiut w nakładzie 100 tysięcy a równocześnie Aldiss, Dick czy Ballard wychodzą w nakładach co na/ mniej o połowę, a z reguły grubo mniejszych. Dla przykładu Aldiss 50 tys., Ballard - 20 tys., Dick - 30 tys.. Więcej atutów! Mała ilość tytułów to świadectwo lenistwa, tak jest, zwyczajnego lenistwa oficyn wydawniczych. Zaś pojedynczy, 200-tysieczni debiutanci zamyka/ą drogę do debiutów (Kilku czy kilkunastotysięcznych! innym młodym, czasem bardzo zdolnym autorom. Tyle się dyskutuje o trudnościach wydawniczych, tyle się win wkłada na barki poligrafii’ czy jednak jeden z głównych aktorów a raczej autorów, procesu wydawniczego - oficyna edytorska - jest bez winy w trudne/1 głupie/ sytuacji rynkowej w naszych księgarniach? Na głowie to wszystko stoi, na głowie.

Józef Biniacz z Wałbrzycha

Na razie do widzenia.

Redaktor

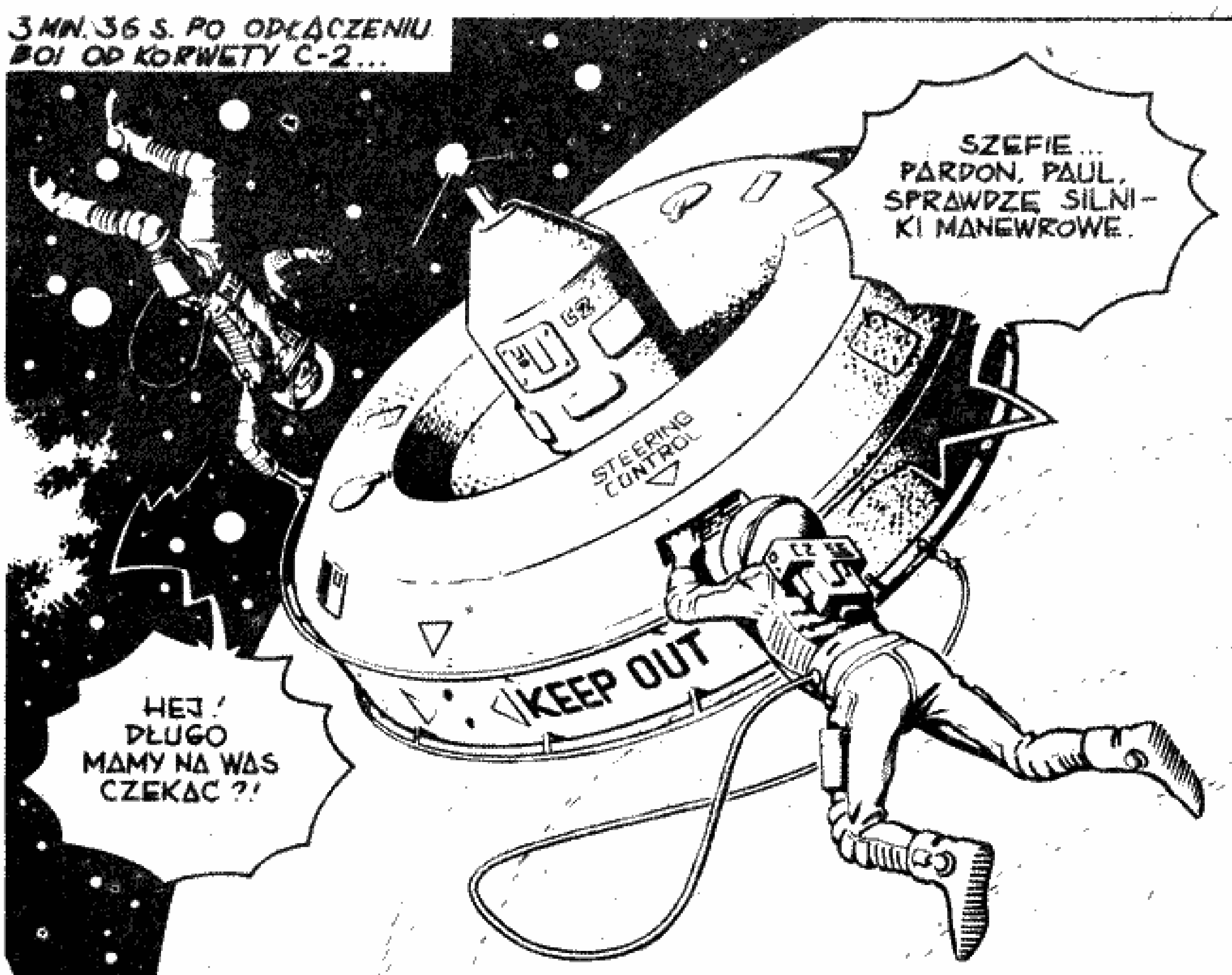
Konkurs nie dla każdego

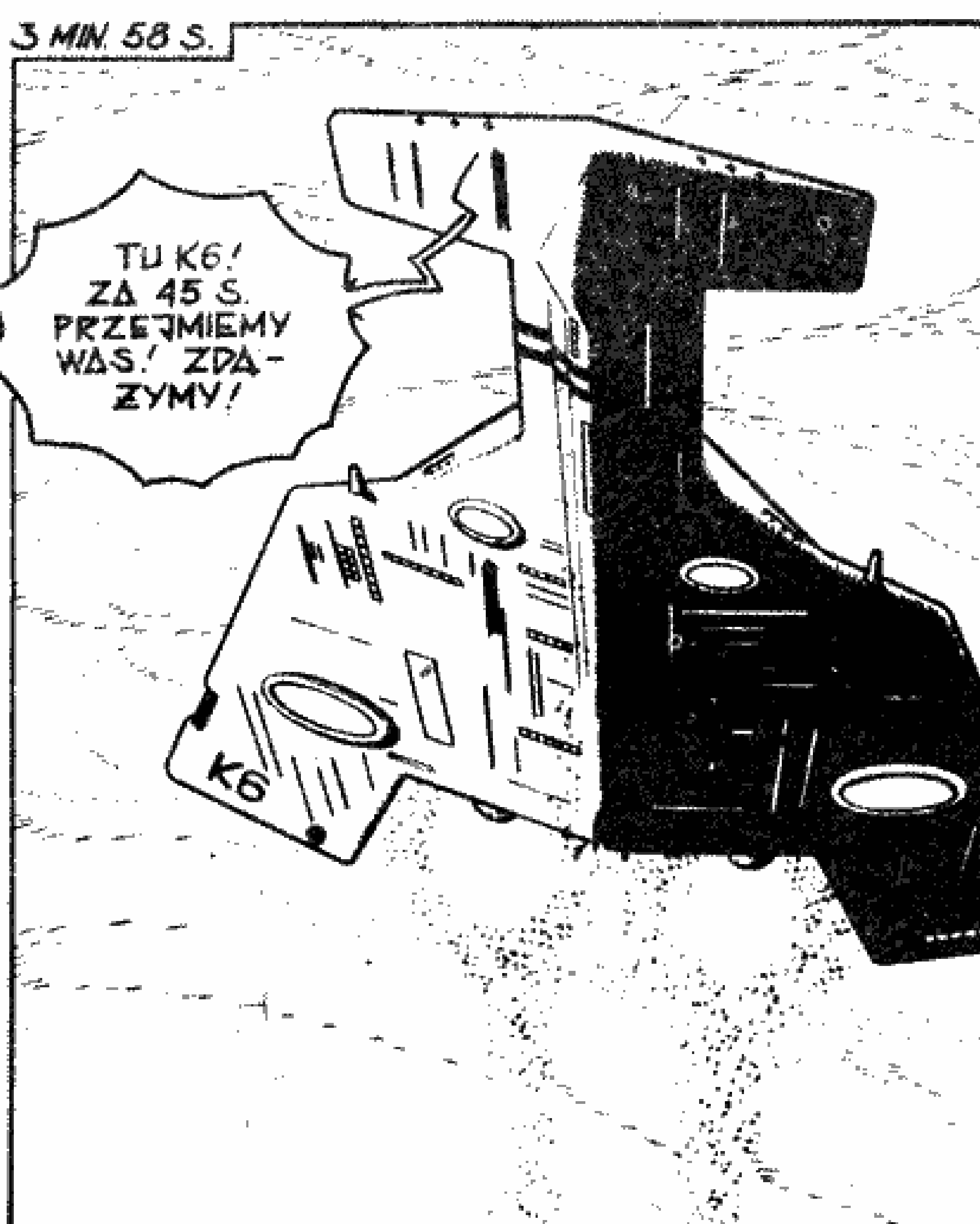
Otrzymaliśmy ciekawy list od doc. dr. hab. Andrzeja/Brodziaka ze Śląskiej Akademii Medycznej, a wraz z listem zapowiedź interesującego, w jakiejś mierze - przyszłościowego - konkursu. Doc. Brodziak pisze:

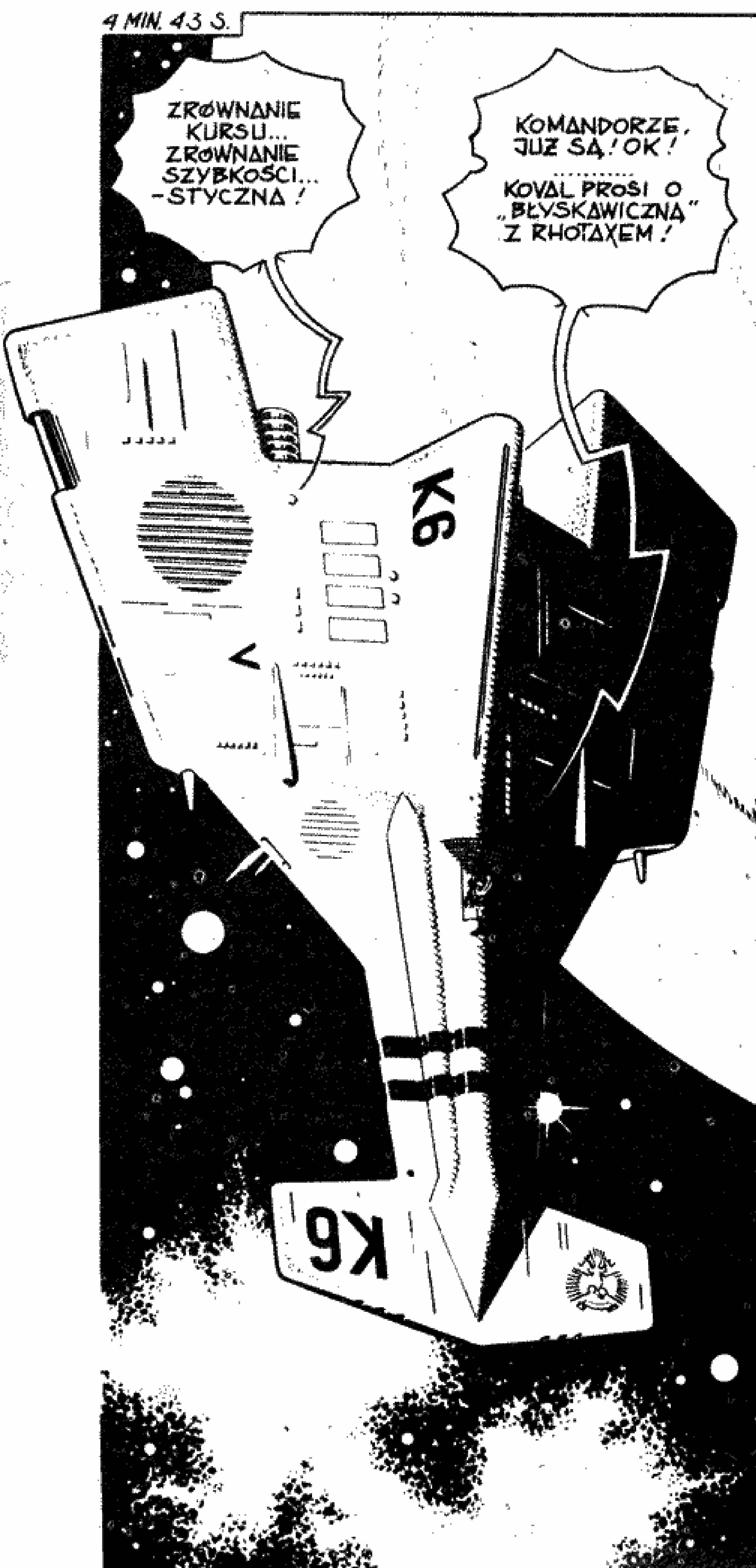
„Ponieważ wiem. iż SF jest ulubioną rozrywką wielu pracowników nauki a zwłaszcza informatyków, automatyków i innych inżynierów zależy mi, aby ogłoszenie o konkursie było zamieszczone również me tylko w pismach fachowych, ale i w piśmie o tekstach „z przymrużeniem oka”, ale za to czytanych przez wielu informatyków w pierwszej kolejności Konkurs dotyczy sprawy mocno wybiegającej w przyszłość, lezącej u podstaw metody diagnostycznej stojącej u progu zrewolucjonizowania diagnostyki medycznej i badań nad mózgiem człowieka (nieinwazyjne mapowanie spektroskopia „in loco” - wnętrza organizmu według składu chemicznego i fizycznych właściwości materii). Metoda ta jest już co prawda opanowana w pewnej mierze w krajach wysokorozwiniętych, ale jej rozwój u nas w kraju dalece się opóźnia. Jeśli ogłoszenie p konkursie zwiększyłoby jedynie „ilość uwagi” poświęconej tej sprawie, to jego zamieszczenie na łamach „Fantastyki” spełniłoby pożyteczną rolę.

A oto regulamin konkursu

Zarząd Główny i Zarząd Sekcji Cybernetyki Medycznej Towarzystwa Internistów Polskich
Ogłasza konkurs na „algorytm i program komputerowy rekonstrukcji obrazów tomograficznych metod CT i NMR”.
Program może być uruchomiony na jednym z komputerów SM4, Riad 32, Odra 1300, ICL1900, Mera 400, Mera 50. Punktem startu programu może być macierz 262 • 262 danych początkowych, po translacjach, zapełniana sztucznie. Rozwiązaniem najlepszym jest uruchomienie programu na którejś z działających w kraju instalacji tomografu komputerowego. Problem definiują wystarczająco dokładnie artykuły:
1. Theory of Image Reconstruction in Computed Tomography, Radiology, 1975,117, 561.
2. Principles of Nuclear Magnetic Resonance Imaging. Radiology 1982,143,157.
3. NMR Fourier zegumatography. I. Magn. Reson., 1976,18, 69.
Prace mogą być prowadzone w ramach tematów podejmowanych przez instytucje macierzyste autorów. Nagroda konkursowa Towarzystwa Internistów Polskich uhonoruje jedynie wkład myśli osobistej autora algorytmu. Wysokość nagród:
I nagroda 50.000,- zł
II nagrody 20.000,- zł
III nagroda 10.000,- zł
Zgłoszenia do gotowości i demonstracji działania programu należy zgłaszać do dnia 1.XI.1984 r. na adres Zarządu Sekcji Cybernetyki Medycznej Towarzystwa Internistów Polskich - V Katedra i Klinika Chorób Wewnętrznych Śląskiej Akademii Medycznej. 41-902 Bytom, ul. Żeromskiego-7, tel. 810-231.
Nagrody przyzna Sąd Konkursowy powołany spośród ekspertów przez Zarząd Sekcji Cybernetyki.
Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w czasopismach lekarskich i ogólnych w lutym 1985 roku.

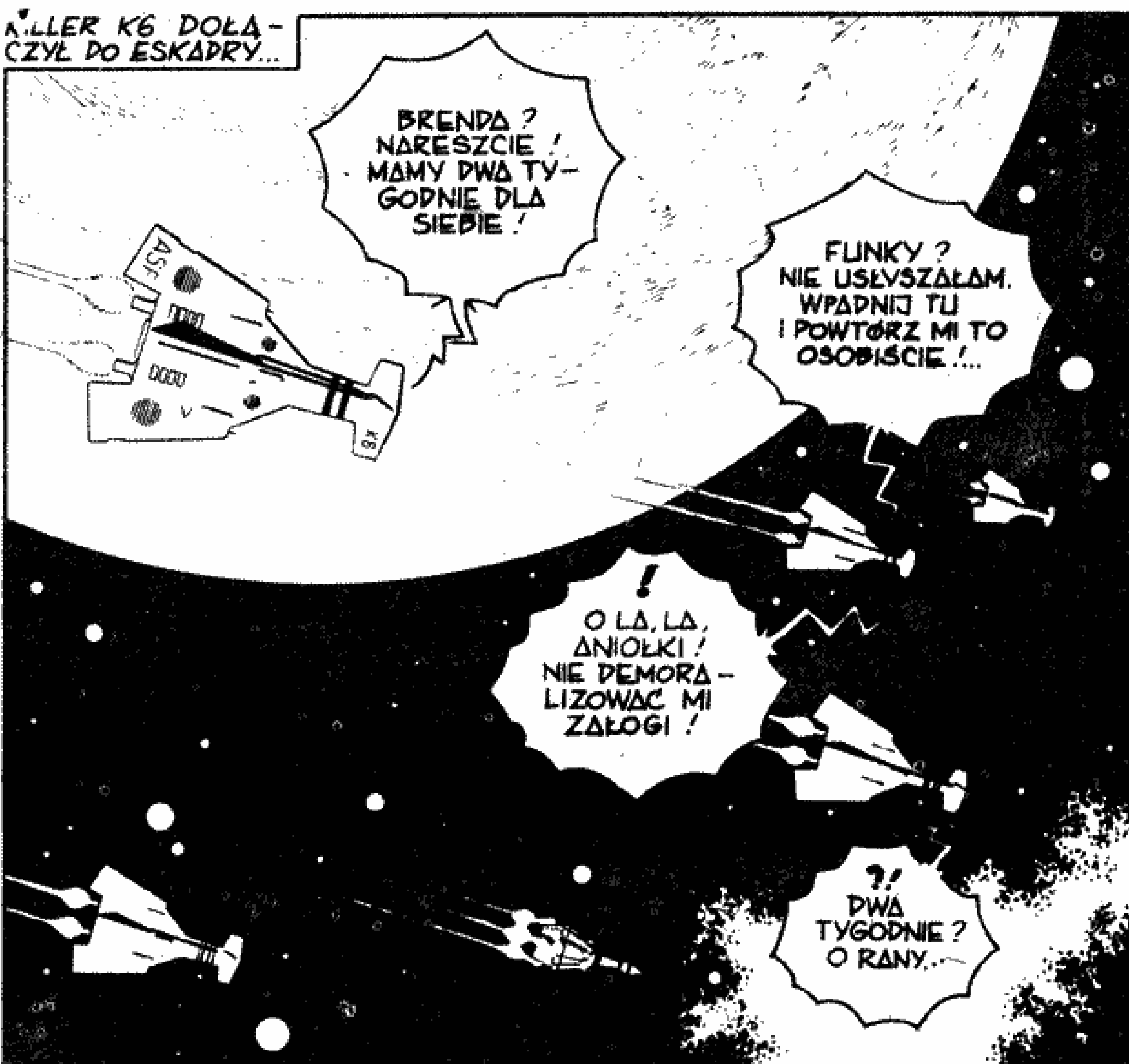

3 MIN. 36 S. PO ODŁĄCZENIU BOI OD KORWETY C-2...
SZEFIE... PARDON, PAUL, SPRAWDZĘ SILNIKI MANEWROWE.
STEERING CONTROL
KEEP OUT
HEJ! DŁUGO MAMY NA WAS CZEKAĆ?!


3 MIN. 58 S.
TU K6! ZA 45 S. PRZEJMIEMY WAS! ZDĄŻYMY!
K6


4 MIN. 43 S.
ZRÓWNANIE KURSU... ZRÓWNANIE SZYBKOŚCI... -STYCZNA!
KOMANDORZE, JUŻ SĄ! OK!
KOVAL PROSI O „BŁYSKAWICZNĄ" Z RHOTAXEM!
K6
K6


RHOTAX, DOTRZYMAŁEŚ SŁOWA, KOLEJ NA MNIE. MASZ MINUTĘ NA POZBYCIE SIĘ ZEGARKA SPOD OPARCIA MOJEGO FOTELA!
C2


58 SEK. PÓŹNIEJ W STEROWNI KORWETY C-2...
PRYWATNA GWARANCJA KOVALA... PRZECZUWAŁEM... TO CHYBA ZE 2 KT!...
CHOLERA... KOVAL, MOGŁEŚ NAM ZASZKODZIĆ...
TAK JEST... GDYBY NAM ZABRAKŁO TLENU... NO, TO 1:1, RHOTAX.


KILLER K6 DOŁĄCZYŁ DO ESKADRY...
BRENDA? NARESZCIE! MAMY DWA TYGODNIE DLA SIEBIE!
FUNKY? NIE USŁYSZAŁAM. WPADNIJ TU I POWTÓRZ MI TO OSOBIŚCIE!...
!
O LA, LA, ANIOŁKI! NIE DEMORALIZOWAĆ MI ZAŁOGI!
?!
DWA TYGODNIE? O RANY...

EPITAFIUM


DIEGO SOL. 2 GODZ. PO POWROCIE W OCZEKIWANIU NA SPOTKANIE Z NOWYM PREZYDENTEM...
NACZELNIKU, CO SIĘ DZIEJE? NA KOSMODROMIE PRZEJĘLI NAS SMUTNI, OGOLILI, OSTRZYGLI, DOSTARCZYLI UBRANIA I PĘDEM NAS TU PRZYWIEŹLI. SKĄD TEN POSPIECH?
PAN PREZYDENT PROSI...
CISZEJ... WYJAŚNIENIA DZIŚ O PIĄTEJ U SEN. BOBBERA A JUTRO ODPRAWA W TAJNEJ BAZIE...
DZIWNE, ANI SŁOWA O NAS W PRASIE...


WITAM PAŃSTWA. GRATULUJĘ. PRZEDSTAWIAM WAM NOWĄ OSOBĘ W RZĄDZIE. PAN VISA-VIÑEGO, SEKRETARZ D/S BEZPIECZEŃSTWA A ZARAZEM PRZEWODNICZĄCY KOMISJI BADAJĄCEJ AFERĘ STELLAR FOX...
!
?

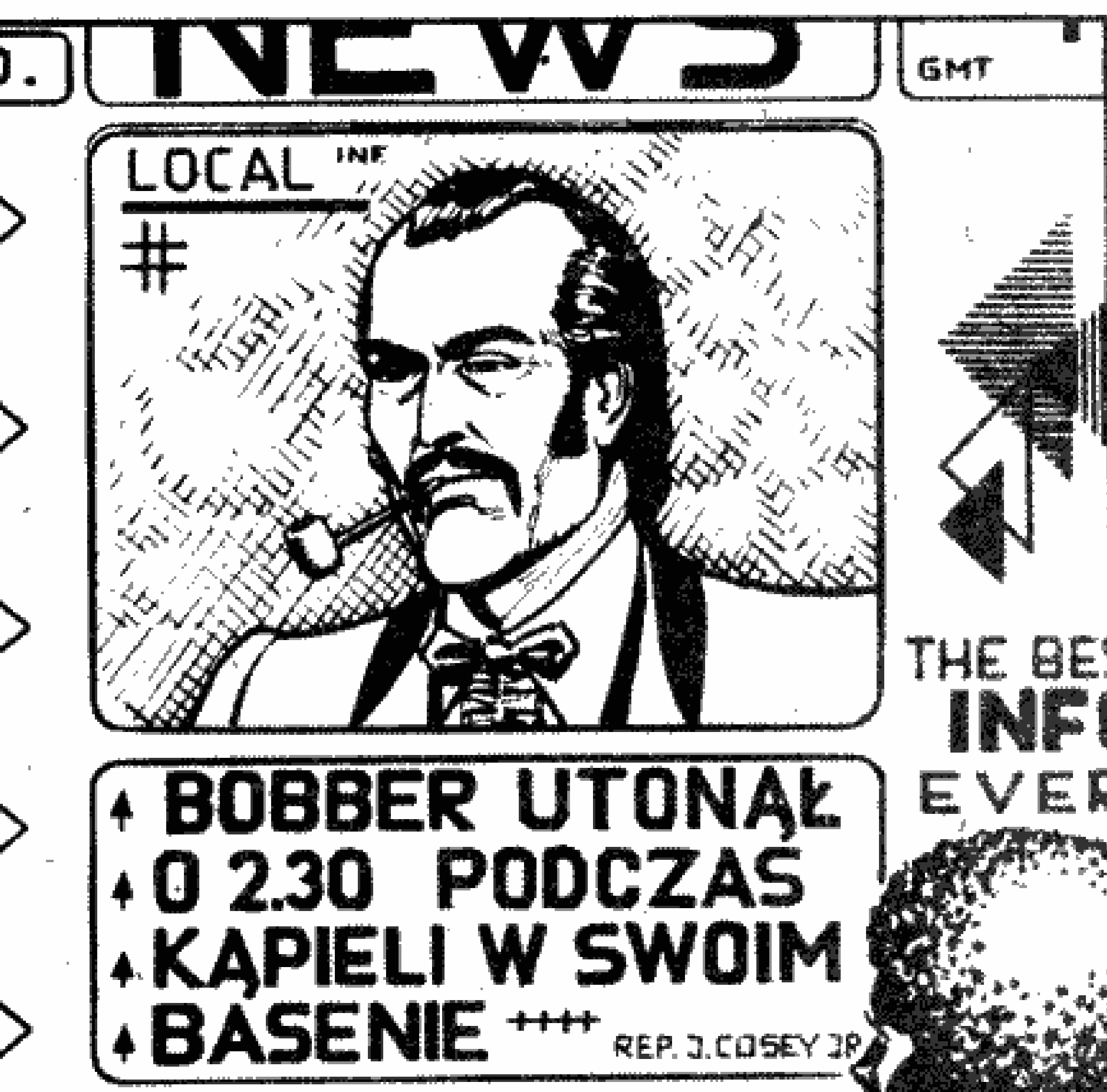

PANI, PANOWIE... ZANIM PAN VISA-VIÑEGO PRZEJDZIE DO SZCZEGÓŁÓW CHCĘ WYRAZIĆ NASZE NAJWYŻSZE UZNANIE DLA WASZYCH DOKONAŃ NA DB-4. OTO CAŁOROCZNE GRATYFIKACJE JAKO NAGRODA, ZA KTÓRĄ OPTOWAŁ PAN VISA-VIÑEGO. PONADTO WSZYSTKIE EKSKLUZYWNE RZĄDOWE OŚRODKI WYPOCZYNKOWE SĄ DO WASZEJ DYSPOZYCJI... CHCIAŁBYM TEŻ ODDAĆ HOŁD POLEGŁYM... PANI, PANOWIE, WASZE ZDROWIE!
GRATIFICATION CARD


PO AUDIENCJI...
NO, KONIEC TYCH PIESZCZOT! WTRĄCAJĄC SIĘ W NIESWOJE SPRAWY ZAPRZEPAŚCILIŚCIE UNIKALNĄ SZANSĘ DLA LUDZKOŚCI NA ZDOBYCIE SUPERBRONI!...
DLA LUDZKOŚCI?... WŁAŚNIE ROZWALALI TAM LUDZI!
SZANSĘ?! DLA KOGO?... DLA ZAKAZANEJ MAFII!


...I TAKI SUKINSYN JEST SEKRETARZEM PREZYDENTA?
ZOSTAW GO, FUNKY. FRAJER SPADA WŁAŚNIE Z DRABINY I DLATEGO SZALEJE... O PIĄTEJ POWIEMY O TYM INCYDENCIE SENATOROWI. POGONIĄ MU KOTA.

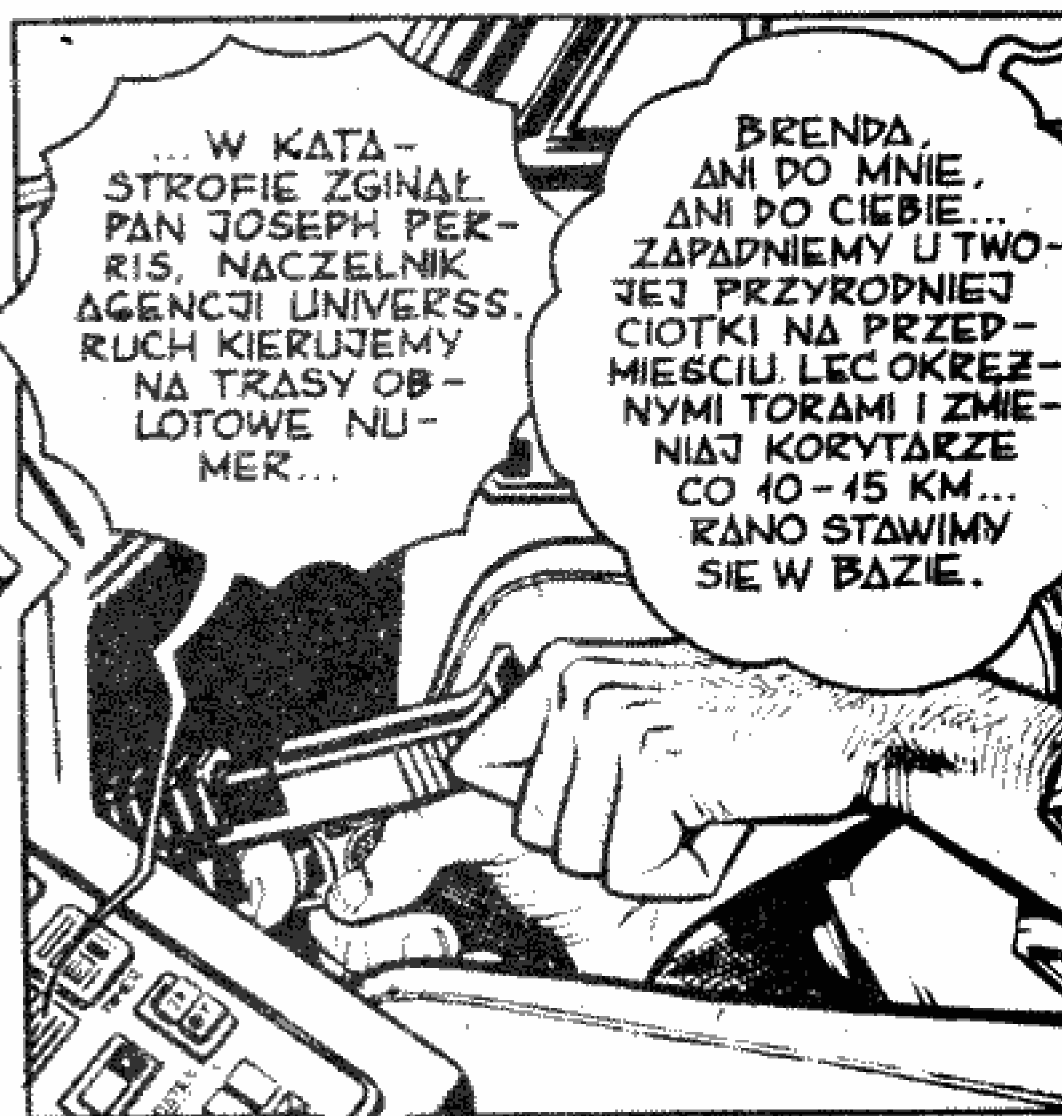

NAIWNIACZKI! TO BYŁA GRA NIE NA WASZE GŁOWY.
PAUL, JA MU ZARAZ...


PÓŁTOREJ GODZ. PÓŹNIEJ...
PAUL I RESZTA CZMYCHNĘLI NAD WODĘ I ŻADEN NIE POMOŻE KOLEDZE... POWIEM IM WIECZOREM CO O NICH MYŚLĘ...
!
BOBBER?! PATRZ FUNKY!!!
CCS NEWS
LOCAL
THE BEST INFO EVER!!
SEN. ANDREW BOBBER UTO-
HERTZ RENT-A-CAR
OS 215


NEWS
LOCAL
THE BES INF EVER
BOBBER UTONĄŁ O 2.30 PODCZAS KĄPIELI W SWOIM BASENIE
REP. J. COSEY JR.


BOŻE! BYLIŚMY UMÓWIENI NA PIĄTĄ!
PŁYWAŁ W BASENIE? Z GIPSEM?!... SZYBCIEJ, BRENDA, DO WOZU!


GDZIE LECIMY, DO CIEBIE, CZY DO MNIE, FUNKY?
ZARAZ, ZASTANAWIA MNIE...
UWAGA, KARAMBOL! TRASA WS185 ZABLOKOWANA!...


...W KATASTROFIE ZGINĄŁ PAN JOSEPH PERRIS, NACZELNIK AGENCJI UNIVERSS. RUCH KIERUJEMY NA TRASY OBLOTOWE NUMER...
BRENDA, ANI DO MNIE, ANI DO CIEBIE... ZAPADNIEMY U TWOJEJ PRZYRODNIEJ CIOTKI NA PRZEDMIEŚCIU. LEĆ OKRĘŻNYMI TORAMI I ZMIENIAJ KORYTARZE CO 10-15 KM... RANO STAWIMY SIĘ W BAZIE.


CIOCIU, CZY MOŻEMY UKRYĆ SIĘ TU DO RANA?
OCH, DROGIE DZIECKO, TEN DOM JEST DO TEGO STWORZONY. NIE WIEM, CZY CI OPOWIADAŁAM, ALE WUJ KAROL KIEDY BYŁ MŁODY PRZYGOTOWAŁ TU RÓŻNE TAKIE...


50 MIN. PÓŹNIEJ...
DOLATUJEMY FUNKY, ROZEJRZYJ SIĘ...
...JAK MYŚLISZ, KTO MA BYĆ NASTĘPNY?
KAŻDY Z NAS... JA, TY, BARLEY... CHOLERA, BEZ ZEGARKA NIE MAMY ŁĄCZNOŚCI Z GRUPĄ... TO BYŁ SPRZĘT...


U CIOTKI SALLY...
OS215 HERTZ


WIECZOREM...
...TO MIELIŚ-CIE TAM NIEZŁĄ ZABAWĘ. I TERAZ MYŚLICIE ŻE... TO CIĄG DALSZY?...
ZZZŻ! TIPPI-TIP! AHA, AHA... UWAGA!...
OBA-WIAM SIĘ... ŻE...TAK.
CO TO? JAKAŚ NO-WA REKLA-MÓWKA?
SONY MONSTERMATIC 3000


...UWAGA FUNKY GDZIEKOLWIEK JES-TEŚ! POMOC DOSTA-NIESZ W NASZYM PO-SELSTWIE NA KSIĘŻY-CU. DO HASŁA „TAK SAMO JAK LUDZIE..." DODASZ ZAKOŃCZE-NIE. POWTA-RZAM...


!? TO LEPSZY MAGIK... JAK ON WSZEDŁ NA WIZJĘ???
BARDZO PRZEPRASZA-MY ZA ZA-KŁÓCENIA...
ABS
TO BYŁ TEN DROLL Z DB-4? IDŹCIE, IDŹCIE... JA CHYBA CAŁĄ NOC NIE ZAŚNĘ Z WRAŻENIA...
OCH, DOŚĆ WY-DARZEŃ NA DZISIAJ. MUSIMY WYPOCZĄĆ, CIOCIU...


4 GODZ. PÓŹNIEJ W APARTAMENCIE MISS UNIVERSUM...
OCH, FUNKY... ŻY-JESZ! NARESZCIE CIĘ DOPADŁAM... SŁYSZAŁEŚ O OSTATNICH WYPAD-KACH?... MAJĄ WSZYS-TKIE WASZE ADRESY! TEN TAKŻE!... UCIEKAJCIE!
DZIEWCZYNO, WIESZ KTÓRA GODZINA?!... ZADZWOŃ RANO!...


20 SEKUND PÓŹNIEJ...
HALLO, RHOTAX?... ZAŁATWIONE! Z TEGO DOMU NIKT NIE WYSZEDŁ, A DOMU JUŻ NIE MA! KONIEC PRZYGÓD FUNKY KOVALA!
OK, ALE Z CZEGO SIĘ CIE-SZYSZ, PUSTAKU?.. KOVAL TO RÓWNY FACET. SZKODA, ŻE GRAŁ PO NIEWŁAŚCI-WEJ STRONIE... ....
M. PAROWSKI & J. RODEK © by B. POLCH '83


...DOBRA-NOC, LILLY!
! UWAGA, JEST POD-SŁUCH!
?!
SZYBCIEJ DZIECIAKI... WUJ KAROL W TAKICH SY-TUACJACH...

KONIEC (?)

z ostatniej chwili
FANTASTYKA
laureatką
nagrody
Eurocon 8



EVROPSKE NAGRADE - EUROPEAN AWARDS - 1 9 8 3 /18.september 1983/

NAJBOLJŠA REVIJA/BEST PROFESSIONAL MAGAZINE
ex aequo: - FANTASTYKA (Poljska/Poland)
- SOLARIS (ZR Nemčija/Federal Republic of Germany)

NAJBOLJŠA KNJIGA/BEST BOOK
ex aequo: - BAJT: Ljudje, zvezde, svetovi, vesolja (Jugoslavija/Yugoslavia)
- ŠČERBAKOV: Zvid (Sovjetska zveza/Soviet Union)

NAJBOLJŠE LJUBITELJSKO GLASILO/BEST FANZINE
ex aequo: - SHARDS OF BABEL (Nizozemska/Netherlands)
- KVAZAR (Poljska/Poland)

NAJBOLJŠI ZALOŽNIK/BEST PUBLISHER
ex aequo: - TEHNIŠKA ZALOŽBA SLOVENIJE (Jugoslavija/Yugoslavia),
- GALAKTIKA (Bolgarija/Bulgaria)

NAJBOLJŠI PISATELJ/BEST AUTHOR
ex aequo: - ISTVAN NEMERE (Madžarska/Hungary)
- CHRISTOPHER PRIEST (Velika Britanija/Great Britain)



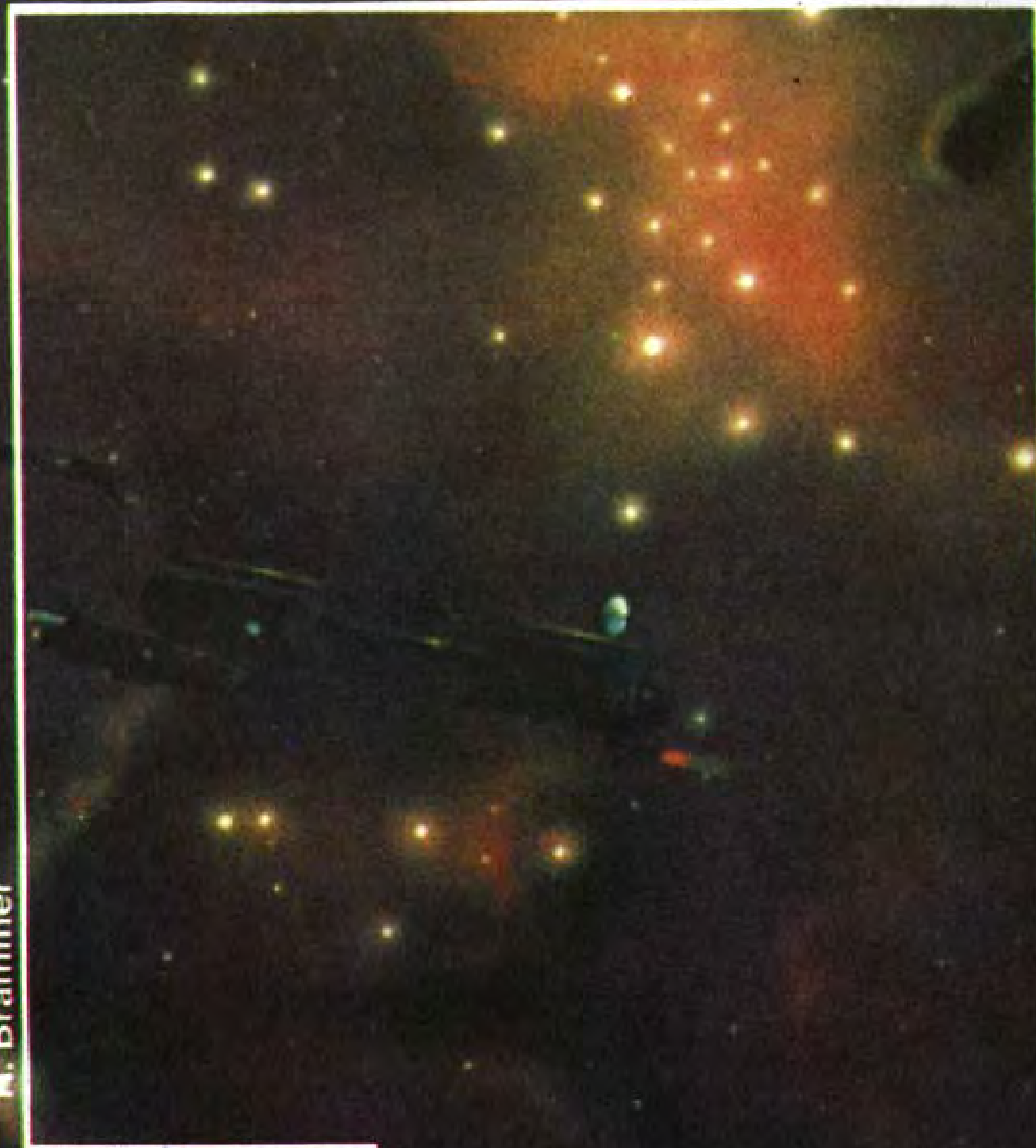
JUŻ za miesiąc

96 stron

* BOGATY DZIAŁ LITERACKI * OPOWIADANIA Z NASZEGO KONKURSU * ROZMOWA ZE STANISŁAWEM LEMEM * MACIEJ IŁOWIECKI O KLONOWANIU LUDZI

alfred bester

gwiazdy - moje przeznaczenie



fantastyka